

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Tej wojny nie wygra ciężka
artyleria • Nastaly czasy ludzi
bez grzechu • Toksyczny
seks Kościoła • Eksperyment
narkotykowy Portugalii



WYSOKIE OBCASY
Alicja Długolecka:
Niech żyje wulwa!
Chutnik: Czy Polska
jest gotowa?



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Julia
Przyłębska

WIERNA I SŁABA

Prezeska Trybunału Konstytucyjnego traci
poparcie nawet we własnym obozie

ILUSTRACJA: JACEK GAWŁOWSKI

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Śmierć wrogom
ojczyzny!**
U schyłku powstania
listopadowego tłum
złinczował carskich agentów

**Karolina
Lanckorońska**
i ocalone
Rembrandty

**Wysocki radzi
Kaczyńskiemu:**
Oto książki, które powinien
przeczytać każdy szanujący się
prezes ► 28

Roman
Imielski

PiS grzeje tylko swoich

Wielu się zastanawia, dlaczego tylko posiadacze pieców na węgiel dostaną od rządu 3 tys. zł. Władza mówi: bo węgiel najbardziej zdrożał. Prawda. I to aż o 300 proc., właśnie do 3 tys. zł za tonę, a przyczyna to inflacja i wojna w Ukrainie. Gospodarstwa domowe palily węglem z Rosji i słusznie, że rząd wstrzymał te dostawy, bo nie można karmić zbrodniarza. Ale też rząd obudził się z ręką w nocniku, bo nie zakontraktował dostaw z innych krajów.

Najpierw wymyślił więc ustawę, która miała nakazać sprzedawcom trzymać niską cenę, ale poszła do kosza i zamiast niej będzie jednorazowy dodatek. PiS potrzebuje bowiem szybko uspokoić nastroje wśród najwierniejszych wyborców, bo drożyzna i inflacja szaleją.

To z jednej strony emeryci, z drugiej – mieszkańcy wsi. I są to grupy często się zazębiające.

Jak pokazują dane GUS, ok. 63 proc. domostw wciąż ogrzewanych węglem jest właśnie na wsiach. Tamtejsze domy/

mieszkania są przeciętnie większe niż te w miastach, większy też jest odsetek budynków, które nie przeszły termomodernizacji. Ergo – potrzebują więcej węgla. Średnio na sezon potrzeba od trzech do pięciu ton, przy czym na wsi raczej pięć.

A wyniki ostatnich wyborów jasno pokazują, że wyborcy wsi to główny elektorat PiS i główni użytkownicy węgla. Największe zużycie było w PiS-owskich regionach północno-wschodnich: na Podlasiu, Warmii i Mazurach oraz od Małopolski po Podkarpacie.

Najmniej węgla zużywają zaś gospodarstwa domowe w województwach północno-zachodnich: pomorskim, kujawsko-pomorskim, wielkopolskim i zachodniopomorskim. Tak się składa, że i poparcie dla PiS jest tam na niskim poziomie.

Dlatego 3 tys. zł dodatku węglowego to nowy program socjalny PiS, która ma pomóc rządzącemu obozowi utrzymać się przy władzy. Koszt oszacowano na 11,5 mld zł, a pieniądze można wydać na dowolny cel, bo wybory tuż za miedzą, najpewniej w konstytucyjnym terminie – jesienią 2023 r. ●

Andrzej rysuje



Dallas Miłość i ring



FOT. RICHARD RODRIGUEZ/AP

Amanda Nunes całuje żonę Ninę, która trzyma na rękach swoją córkę Raegan Ann. Nunes właśnie wygrała z Julianną Peña w walce o tytuł mistrza wagi koguciej kobiet w mieszanych sztukach walki
Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na [Wyborcza.pl/zdjecia](https://wyborcza.pl/zdjecia)

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Nancy Pelosi Kobieta, koszmar Chin

Spikerka Izby Reprezentantów, która odwiedziła właśnie Tajwan, nie pierwszy raz utarła nosa Pekinowi.

W 1991 r., dwa lata po brutalnym stłumieniu przez chińskie władze protestów na placu Tiananmen, bez zapowiedzi rozwinęła na placu banner upamiętniający zabitych. Wściekli Chińczycy nie mogli zatrzymać członków delegacji, więc odreagowali, na krótko wtrącając do aresztu członków zagranicznych ekip telewizyjnych, które to relacjonowały.

Gdy w 1999 r. chiński premier Zhu Rongji złożył wizytę w USA, by rozmawiać o akcesji jego kraju do Światowej Organizacji Handlu, Pelosi naciskała na ówczesnego prezydenta Billa Clintona, by zaapelował do Rongjiego o uznanie protestów na Tiananmen za prodemokratyczne zrywy.

82-letnia polityczka Demokratów jest trzecią najważniejszą osobą w państwie po prezydencie Joe Bidenie i wiceprezydencie Kamali Harris. I jak dotąd jedyną kobietą, która piastowała stanowisko spikera Izby Reprezentantów.



FOT. J. SCOTT APPLEWHITE/AP

Za czasów Obamy odpowiadała za poparcie przez kongresmenów rozszerzenia publicznych ubezpieczeń zdrowotnych dla milionów Amerykanów. Za Bidena forsuje w Kapitolu kolejne reformy, m.in. obecnie klimatyczną.

Zasiada w Kongresie od 1987 r. Jej ojciec był kongresmenem Demokratów, później burmistrzem Baltimore. W jego ślady poszedł brat Pelosi, też demokrat. ●

Maciej Czarnecki

Chiny porozmawiają?



FOT. EFREMLUKATSKY/AP

Trwa kryzys wokół Tajwanu, ale prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski chce spotkania z przywódcą Chin Xi Jinpingiem. – To potężne państwo może wpływać na Rosję – powiedział Zełenski chińskim dziennikarzom.
► **Wyborcza.pl**

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Jak zaciskamy pasa

W zeszłym miesiącu przełamalam wstyd i wzięłam ze sklepu żywność dla Ukraińców. A w tym tygodniu po raz pierwszy zdarzyło mi się coś ukrąść. Przy automatycznej kasie czegoś nie zeskanowałam.
Reportaż Piotra Głuchowskiego



Ekonomia+

Śmierć podróżnika

Zgodnie z klimatycznym przykazaniem mamy żyć lokalnie, konsumować lokalnie i zapomnieć o podróżach. Jak chłop pańszczyzniany od kołyski aż po grób w jednym miejscu. To cena ochrony klimatu. Czy można ją jakoś ograniczyć?

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Diamentowe rekordy?

1 Na sobotnie zawody Diamentowej Ligi przylecą do Chorzowa najwybitniejsi lekkoatleci. Na pobicie rekordów świata zaszadzą się fenomenalny szwedzki tyczkarz Armand Duplantis oraz jamajska sprinterka Shericka Jackson, która chce wymazać czas na 200 m pochodzący jeszcze z dopingowych lat 80. To będzie najlepiej obsadzona impreza sportowa w tym roku w Polsce.



FOT. ASHLEY LANDIS, ALBERT ZAWADA, ŁUKASZ CYNALIEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Piątek

Feta polskiego rocka

2 Rusza Olsztyn Green Festival nad jeziorem Ukiel. Wśród wykonawców gwiazdy polskiego rocka. Festiwal rozpocznie Kult, a poza tym wystąpią Artur Rojek, Maria Peszek, Szczyl, Fisz Emade Tworzywo i wielu innych znanych muzyków. Oprócz koncertów będą także spotkania z artystami, warsztaty ekologiczne dla dzieci i dorosłych, spotkania propagujące ochronę środowiska czy zajęcia sportowe.



Piątek

Ziemia w burzy piaskowej

3 Deszcz meteorów zwanych Perseidami osiągnie maksimum w nocy z piątku na sobotę w przyszłym tygodniu. Ich źródłem są ziarenka pyłu, które pozostawia lodowa kometa Swifta-Tuttle'a. Ziemia wpada w ich chmurę co roku i pędzi przez nią niczym auto w burzy piaskowej. A drobinki płoną 80 km nad głowami. W tym roku nieco przeszkodzi blask Księżyca w pełni.



Cytat dnia

Ujawnił się przestępczy i niesamowicie wulgarny charakter tych działań. Polacy to zobaczyli i to opozycję skompromitowało. Dlatego przystąpiła do tworzenia zasłony dymnej, próby przykrycia tego wstydu



JAROSŁAW KACZYŃSKI
w tygodniku „Sieci”

500 dni w więzieniu Andrzeja Poczobuta

Wytrzymaj!

Białoruskie KGB aresztowało korespondenta „Gazety Wyborczej” w marcu 2021 roku.

Jak opisywałby swój kraj, gdyby był na wolności?

Wielński



„Gdyby Andrzej był na wolności” to fraza z gatunku zdań zupełnie nieprawdopodobnych. Zbrodnica białoruska dyktatura przerzuciła go do czwartego już więzienia. Piąte widać chyba na horyzoncie: to łagier, gdzie będzie odsiadywać wyrok za rzekome nawoływanie do waśni narodowościowych i propagowanie totalitaryzmu. To absurdalne zarzuty, ale grozi za to 12 lat. Proces ma się wkrótce rozpocząć, na litość reżimu Andrzej nie ma co liczyć, wszak odmówił wspaniałomyślnej oferty dyktatora Aleksandra Łukaszenki: wolność w zamian za ukorzenie się i banicję. Placi za to każdego dnia. Myśląc o tym, co by było gdyby, pocieszam sam siebie, bo przecież w sytuacji, gdy Łukaszenka użyczył Władimirowi Putinowi kraju, by prowadzić z jego terytorium ataki na Ukrainę, o żadnych gestach pod adresem Polski nie może być mowy. Poczobut najbliższe miesiące, jeśli nie lata, spędzi za kratami. Tylko dlatego, że był porządnym, niezależnym dziennikarzem.

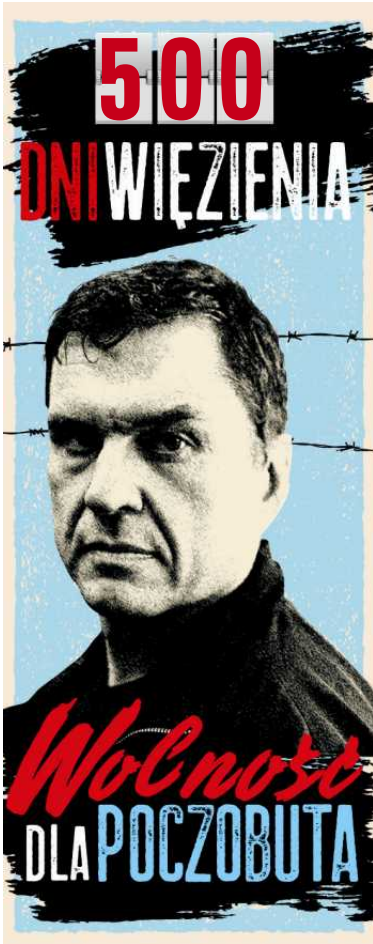
Gdyby Andrzej był na wolności, 24 lutego pewnie gnałby na granicę z Ukrainą, by pisać reportaż o wlewających się do sąsiedniego kraju kolumnach rosyjskich czołgów. Przepytowałby naocznych świadków, obdzwaniał niezależnych białoruskich ekspertów, pytając o konsekwencje. Podjeżdżałby pod białoruskie lotniska, z których korzysta rosyjskie lotnictwo, i pod bazy, gdzie rozmieszczono ro-

syjskie wyrzutnie rakiet. Powstałyby barwne korespondencje, które przedrukowywałyby zaprzyjaźnione z nami gazety w zachodniej Europie. Gdyby był na wolności, pisałby o białoruskich szpitalach, do których zwożono rosyjskich żołnierzy rannych w walkach pod Kijowem. I o workach z ciałami żołnierzy, którym życia nie udało się uratować. Worki zalegały w białoruskich kostnicach, Rosja nie kwapiła się ich odbierać. Poczobut pisałby o białoruskim ruchu oporu, który na wielką skalę niszczył urządzenia sterujące ruchem kolejowym, by w ten sposób utrudnić Rosjanom przerzucanie żołnierzy i zaopatrzenia do Ukrainy. Eksperci mówią, że to dzięki odwadze tych ludzi Łukaszenka nie zdecydował się na wysłanie swoich żołnierzy na wojnę. Zrozumiał, że w takiej sytuacji nawet najsurowsze represje nie byłyby w stanie zatrzymać wybuchu społecznego protestu.

Tymczasem Poczobut, czekając na proces, jest odizolowany od świata. Wiđenje z rodziną nie ma. Są tylko listy. Muszą być pisane po rosyjsku, a pisane po polsku od syna Poczobuta więzieniu na cenzura zatrzymuje. Można próbować pisać między wierszami, zdarza się nawet, że bliscy w listach przepisują więźniom artykuły z gazet. Nie wolno jednak wprost odnosić się do tego, co dzieje się w kraju czy na świecie. Jedno nieopatrzone zdanie i list ląduje w koszu. A gdy cenzor ma zły nastrój, wyrzuca listy, nawet ich nie czytając. Poczobut spotyka się jedynie z adwokatem. Ale adwokat musi też uważać na to, o czym rozmawia. Mówi raczej o śledztwie i procesie, a o tym, co dzieje się w Białorusi, Ukrainie czy Rosji, opowiada zdawkowo.

Wiedzę o tym, co się dzieje za murami, wolno czerpać tylko z oficjalnej propagandy. Są więzienna biblioteka,

państwowe gazety, w niektórych celach są telewizory (u Poczobuta, gdy siedział jeszcze w Żodino, akurat był popsuty). Po napaści Rosji na Ukrainę dostęp więźniów do wiadomości jeszcze bardziej ograniczono. Przypuszczam, że Andrzej wie o napaści Rosji na Ukrainę. Zdaje sobie sprawę, że Białoruś nie przyłączyła się do tej agresji – bo mówiłaby o tym propaganda – i że Ukraina się skutecznie broni, bo ciągle nie odtrąbiono zajęcia Kijowa. Dla siedzącego w celi dziennikarza to psychiczna



tortura równie dotkliwa co zamknięcie w celi w bloku śmierci, gdzie ostatnie dni życia spędzają skazańcy, którym białoruski kat ma przestrzelić potylicę. Andrzeja w ten sposób próbowano zmieknąć. Wytrzymał.

Wieczorem 24 marca 2021 r., osiem godzin przed aresztowaniem, Andrzej przysłał do redakcji ostatni artykuł. Udowadniał w nim, że próby oblaskiwania Aleksandra Łukaszenki przez polski rząd nie mają żadnego sensu, bo dyktator w głębi duszy Polski nienawidzi. Gdy Warszawa będzie próbowała się dogadać, on ją wykorzysta, oszuka, wbije nóż w plecy. To gorzkie podsumowanie białoruskiej polityki rządu PiS, który od 2016 r. ocieplał relacje i wysyłał do Mińska swoich ówczesnych najważniejszych polityków, m.in. marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego (mówił potem, że Łukaszenka to ciepły człowiek), szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego, wicepremiera Mateusza Morawieckiego. Rządzący liczyli na inwestycje w Białorusi, w zamian byli gotowi przyciąć wsparcie dla żyjących tam Polaków i białoruskiej opozycji. Andrzej najwyraźniej bał się powtórki, że po wzmożeniu wywołanym sfalszowaniem przez Łukaszenkę wyborów i zduszeniu obywatelskiej rewolucji w Warszawie zatriumfują „realiści” i będą szukać pragmatycznych rozwiązań... Myślę, że gdyby Andrzej Poczobut był dziś wolnym człowiekiem, podobne przestrogi pisałby pod adresem tych wszystkich „pragmatyków”, którzy wzywają Zachód, by przestać zbroić Ukrainę i zmusić ją do ustępstw wobec Rosji. Putin jest przecież równie wiarołomnym człowiekiem co Łukaszenka. Tylko na rękach ma więcej krwi...

Spędziłeś za kratami już 500 dni. Andrzeju, jesteśmy z Tobą, wytrzymaj! ●
Bartosz T. Wielński

CO TERAZ UGOTUJE PRZYŁĘBSKA

**Od dłuższego czasu w obozie PiS toczy się dyskusja,
kiedy kończy się kadencja prezeski Trybunału Konstytucyjnego**

U Julii Przyłębskiej w Trybunale nastąpił cud: na kon-
ta sędziów spływa złoty deszcz w postaci niespodzie-
wanej, a zarazem sporej gotówki. – To Julia P. – jak
nazywa ją Michał Dworczyk – zabiega o względy sę-
dziów, którzy mogą ją wyrzucić ze stanowiska preze-
ski. Ma sporą opozycję w Trybunale, więc stara się ją
oblaskawić. Wystarczyło tylko zmienić interpretację
przepisów o dodatkach mieszkaniowych – słyszymy
w trybunalskich kuluarach.

PRZYJAZNA, LUBIANA I KIEPSKA

Julia Przyłębska to podobny przypadek do Andrzeja
Dudy i innych polityków władzy. Zanim na stałe zwią-
zała się z PiS, miała poglądy umiarkowane, a jej ży-
ciorys mógłby być obiektem ataku zagorzałych PiS-
owskich antykomunistów: ojciec był w PZPR, ona
należała do Socjalistycznego Związku Studentów Pol-
skich, przybudówki PZPR. Onet odnalazł tę informac-
ję w IPN, w dokumentach paszportowych. Przyłęb-
ska pomija tę informację w oficjalnym biogramie.
Wpisuje przynależność do Niezależnego Związku
Studentów, organizacji opozycyjnej wobec PRL. Z ko-
lei „Newsweek” napisał, że w latach 90. razem z mę-
żem, ambasadorem Polski w Niemczech Andrze-
jem Przyłębskim bywali na spotkaniach Stowarzysze-
nia na rzecz Państwa Neutralnego Światopoglądowo
„Neutrum”, opowiadającego się za aborcją na życze-
nie i przeciwko religii w szkołach.

Jednak Przyłębska była rozgoryczona, że inni sę-
dziowie jej nie cenią i wytykają wpadki. Poczuła się
niedoceniona. Dołączyła więc do środowiska, które
wydało sędziom wojnę. Podporządkowała się polityce
PiS i wiernie pełni służbę. To częsta motywacja praw-
ników z obozu PiS.

W późnych latach 80. zrobiła aplikację sędziowską
i asesurę, potem była sędzią Sądu Rejonowego oraz
Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu. Zrzekła się stano-
wiska, bo przez dziesięć lat pracowała w służbie dy-
plomatycznej w Niemczech.

– Julia była osobą bardzo wesołą, pełną energii,
przyjazną w kontaktach towarzyskich, była lubiana.
Tak ją zapamiętałem. Natomiast nikt nie miał wąt-
pliwości, że jest słabym sędzią – mówi jeden z moich
rozmówców, który zna ją z czasów studiów i pierw-
szego etapu sędziowskiej kariery.

„Brak stabilności orzecznictwa”, „przetermino-
wanie uzasadnień”, „wysoka absencja w pracy” – to
główne zarzuty, jakie formułowali sędziowie z Pozna-
nia, kiedy w 2001 r. opiniowali jej wniosek o powrót
do stanu sędziowskiego. Przyłębska starała się o to po
zakończeniu pracy w ambasadzie w Berlinie.

W 2007 r. dzięki decyzji prezydenta Lecha Kaczyń-
skiego powróciła na stanowisko sędziego Sądu Okrę-
gowego w Poznaniu. W grudniu 2015 została wybra-
na na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Ówczes-
ny prezes Andrzej Rzepliński dopuścił do orzekania
ją, a także innego nominata PiS Piotra Pszczółkow-
skiego. Ale nie zrobił tego wobec trzech pozostałych
PiS-owskich dublerów, którzy chcieli zająć miejsce le-

galnie wybranych wcześniej sędziów. W tym czasie
i Przyłębska, i Pszczółkowski atakowali Rzeplińskie-
go, wielokrotnie podkreślali, że Trybunał Konstytu-
cyjny powinien działać na podstawie ustawy znoweli-
zowanej przez PiS.

Niedługo potem na Nowogrodzkiej zdecydowano,
kto będzie przyszłym prezesem. – Padło na Przyłęb-
ską, bo ona przynajmniej była sędzią w odróżnieniu
od innych chętnych na to stanowisko – tłumaczył mi
jeden z posłów PiS.

RZECZYWIŚCIE BARDZO DOBRZE GOTUJE

– Pszczółkowski był pewien, że on zostanie prezesem.
Ale tak się nie stało, więc przeszedł na drugą stro-
nę barykady – dodaje mój rozmówca. Teraz ten sę-
dzia często zgłasza zdania odrębne i nie słucha po-
leceń Nowogrodzkiej, orzeka wedle własnego uzna-
nia. Jest często w opozycji do obecnej większości try-
bunalskiej.

Podobne aspiracje miał też Mariusz Muszyński,
który uważał, że ma o wiele większe doświadczenie
prawnicze i wiedzę niż Przyłębska. Znal ją zresztą
z czasów berlińskich – mówi mi jeden z posłów PiS.
W odróżnieniu od Pszczółkowskiego pozostał jednak
w kręgu obozu PiS.

Przy czym Muszyński oprócz tego, że jest duble-
rem, nie nadaje się na sędziego TK również z racji
swojej aktywności politycznej i niewyparzonego je-
zyka. O działacze PO napisał na Twitterze, że jej opi-
nie to efekt „braku seksu i nadmiaru alkoholu u ko-
biet w średnim wieku”. Wytykał „niepolskie” pocho-
dzenie posłom Nowoczesnej i kazał „spier...” byłemu
ministrowi PO.

Muszyński rozpoczynał dyplomatyczną karierę
pod koniec lat 90. właśnie w Berlinie. W „Wyborczej”
pisałem, że w 1993 r. został przyjęty do UOP i skiero-
wany na szkolenie w Ośrodku Kształcenia Wywiadu
w Starych Kiejkutach. Ukończył je w 1994 r., po czym
przez rok pracował w centrali w Warszawie. W am-
basadzie w Berlinie objął funkcję szefa działu praw-
nego. Zdaniem naszych informatorów była to przy-
krywka dla drugiego etatu – oficera służb. Opozycja
podnosiła, że ten fakt stawia pod znakiem zapytania
jego niezależność jako sędziego.

Mój rozmówca z PiS wyjaśnia, że Muszyński za-
kładał, iż będzie sterował Przyłębską z tylnego sie-
dzenia jako wiceprezes TK. Przez jakiś czas faktycz-
nie tak było. Tandem działał zgodnie. Muszyński był
wtedy uważany za człowieka Ziobry. Niedługo okaza-
ło się jednak, że Przyłębska dzięki kolacjom z preze-
sem Kaczyńskim już nie musi się słuchać swojego za-
stępcy.

W połowie 2019 r. „Wyborcza” ujawniła, że w swo-
im mieszkaniu prezeska TK cyklicznie urządza kola-
cje, na których bywają Kaczyński i Morawiecki. Po-
litycy PiS mówili wprost: To ważny ośrodek władzy.
– Ona ma umiejętność otorbiana swego patrona, po-
zyskiwania jego łaski dzięki demonstracji bezwzględ-

nej lojalności. Jest niezwykle sprytna, bo nie każdy
doznał tego zaszczytu, by prezes PiS nazywał go „od-
kryciem towarzyskim”. Po tej deklaracji Kaczyńskiego
wszyscy pamiętali o urodzinach czy imieninach pa-
ni prezes i slali kwiaty, jak Daniel Obajtek – śmieje się
były polityk PiS.

W niedawnej rozmowie z Politico Przyłębska była
pytana o kontakty z prezesem PiS. Przyznała, że z Ka-
czyńskim łączy ją przyjaźń, jednak podczas prywat-
nych spotkań nigdy nie rozmawiają o polityce. Doda-
ła, że rzeczywiście bardzo dobrze gotuje i nie zamie-
rza się tego wstydzić. Tak odniosła się do złośliwych
uwag opozycji, że jest „kucharką prezesa”. Potem wy-
dała oświadczenie, że wywiad zmanipulowano.

„PREZES JP TO MOŻE BYĆ NASZ DOBRY SOJUSZNIK”

Frakcją, która najbardziej liczyła się z jej zdaniem, by-
ło otoczenie premiera Morawieckiego. Od kilku lat
Przyłębska w sporze Ziobro – Morawiecki stawiała za-
wsze po stronie tego drugiego. Wojna między pre-
mierem a ministrem sprawiedliwości i frakcją mini-
stra aktywów państwowych Jacka Sasina, która toczy
się w Zjednoczonej Prawicy, rozlała się więc na Try-
bunał. To z maili szefa kancelarii premiera Michała
Dworczyka wynika, że relacje między frakcją premie-
rowską a prezeską Trybunału są bardzo dobre. Dwor-
czyk omawiał z Przyłębską terminy rozpraw w spra-
wach, które są kosztowne dla budżetu państwa.

„Mateusz, odwiedziłem dziś (wkrótce po Twojej
rozmowie) p. Julię P. Omówiłem z panią prezes 3 te-
maty” – pisze Dworczyk do Morawieckiego w stycz-
niu 2019 r. w mailu zatytułowanym „TK”.

„1. rocznik 53 – na razie odroczone (Kieres,
250 mln – 1,5 mld)

2. Świadczenie opiekuńcze na razie odroczone
(Muszyński) do 19 lutego (ok. 5 mld)

3. Służebność gruntów dot. przesyłu na razie odro-
czone (Muszyński) (kilkanaście mld)

Numerem 2 zajmuje się podobno już Tomek Fill,
więc wejdę z nim w kooperację”.

Rząd starał się opóźnić rozprawę, bo zbliżały się
wybory i PiS chciał pod swoim szyldem rozdać dużo
pieniędzy. Dlatego musiał oszczędzać gdzie indziej.
Wyroki zapadły w sprawach nr 1 i 2. Ostatnia spra-
wa, która najmocniej obciążałaby budżet państwa,
wciąż czeka na rozstrzygnięcie. Przy czym w drugiej
sprawie rozprawy były przekładane, a wypłata pienię-
dzy dla opiekunów chorych osób ostatecznie opóźni-
ła się o rok.

I tu na scenę ponownie wkracza Mariusz Muszyń-
ski. „W związku z licznymi publikacjami dotyczącymi
rzekomych maili min. Dworczyka o jego spotkaniach
z Prezes TK, w których w informacjach podobno uzy-
skanych od Prezes TK pojawia się moje nazwisko,
uprzejmie proszę, by nie łączyć mnie z ustaleniami,
jakie mogły zapasć na tych spotkaniach (jeśli tako-
we miały miejsce). Obie wymienione w mailu sprawy,
połączone z moim nazwiskiem, znam. W obu byłem

DOMINIKA
WIELOWIEJSKA





przewodniczącym składu orzekającego. Więcej na temat procedowania w tych sprawach i ew. prób wpływów mogą powiedzieć po zwolnieniu z tajemnicy służbowej przez stosowne organy” – napisał na blogu. I odciał się od poglądów Przylebskiej: „Nie podzielam spojrzenia Pani Prezes na rolę TK, sposób procedowania przed TK, jak i na rolę sędziego w życiu polityczno-społecznym Polski. A przede wszystkim uważam, że moja znajomość i rozumienie Konstytucji różni się jednak horrendalnie od znajomości i rozumienia tego aktu przez Panią Prezes”.

W kolejnym oświadczeniu dubler stwierdza, że „jako obywatel poglądów Premiera na kierunek polityki państwowej nie podziela”.

Faktycznie Muszyński złożył zdanie odrębne do wyroku z czerwca 2019 r. dotyczącego opiekunów osób chorych. Skrytykował półroczne odroczenie wypłat. TK tłumaczył je koniecznością oszacowania kosztów świadczeń pielęgnacyjnych, ale zdaniem Muszyńskiego byłoby uzasadnione, gdyby chodziło o lukę prawną, która wymaga prac ustawodawczych. Można więc domniemywać, że w tej sprawie mieliśmy do czynienia z naciskami ze strony rządu, który był zainteresowany opóźnieniem sprawy. Przy odpowiednich zeznaniach Muszyńskiego w prokuraturze, gdyby doszło kiedyś do badania tej sprawy, Przylebskiej może grozić odpowiedzialność karna, np. za złamanie przepisów o Trybunale i przekroczenie uprawnień.

Przylebska już wcześniej pojawiała się w korespondencji Dworczyka. Gdy latem 2018 toczył się bój o to, kto zostanie szefem Polskiej Grupy Zbrojeniowej, szef kancelarii premiera pisał do Morawieckiego: „Ja pomyślałem, że porozmawiam również z p. prezes JP – to może być nasz dobry sojusznik”. Chciano, aby Kaczyński zgodził się na kandydaturę Michała Kuczmierowskiego (w końcu szefem PGZ nie został). W innym mailu z 2018 r. Dworczyk informuje premiera: „Kiedy rozmawialiśmy o zmianie w Prokuraturii, prezes Julia z sędziami rekomendowali na prezesa Marka Millera”. Miller został później p.o. prezesa Prokuratury Generalnej. To z prezeską TK otoczenie szefa rządu omawiało też kandydaturę na prezesa nowej Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego.

PREZES TK ŚWIECZKOWSKI BOGDAN?

Zbytne sprzyjanie Morawieckiemu sprawiło, że w samym Trybunale narastała opozycja wobec Przylebskiej. Tak twierdzą ziobrać w rozmowie z „Wyborczą”. Ale to irytuje też samego Ziobrę. Ledwo udało mu się wprowadzić kolejnego swojego człowieka do Trybunału, i to nie było kogo, bo samego Bogdana Świeczkowskiego – za pierwszych rządów PiS szefa ABW, ostatnio prokuratora krajowego – ale musiał w tym celu zabezpieczyć kilka głosów Konfederacji. PiS nie zagwarantował w tym głosowaniu większości, a posłowie Pawła Kukiza nie chcieli poprzeć Świeczkowskiego. Bez konfederatów zaufany człowiek Ziobry by przepadł.

Ale gdy już dostał się do Trybunału, to – jak twierdzi Onet – zamarzył o stanowisku prezesa. Od dłuższego czasu w obozie PiS toczy się dyskusja, kiedy kończy się kadencja Przylebskiej. Bo PiS zmienił reguły dotyczące prezesa TK i wprowadził sześcioletnią kadencję. Niemniej Przylebska została wybrana wte-

Znajomy ze studiów i początku sędziowania: Julia jest wesoła, pełna energii, przyjazna, była lubiana. Natomiast nikt nie miał wątpliwości, że jest słabym sędzią

Tymczasem w innym mailu Dworczyka znalazła się informacja, że Muszyński miał kontaktować się z premierem za pośrednictwem prywatnego konta, pod pseudonimem.

„Dzwonił sędzia Muszyński, aby upewnić się, że jego mail dotarł do Ciebie – uprzedzał (i prosił o przekazanie Ci, abyś nie był zaskoczony), że wysłał Ci listy z adresu Lucius Domitius” – pisał Dworczyk. Morawiecki odpisał: „Tak – doszedł. Rzeczywiście z dziwnego adresu”. Muszyński potem twierdził, że żadnych maili nie wysłał.

W obozie PiS mówiono wówczas, że Przylebska się przestraszyła odpowiedzialności karnej. Zrobiła więc rundę po mediach przyjaznych rządowi. Najpierw podnosiła, że to rosyjska propaganda ujawnia maile, potem zmieniła taktykę i mówiła w kanale wPolsce.pl braci Jacka i Michała Karnowskich: „Nie pamiętam takiej rozmowy, natomiast kwestie pytań, co się dzieje w sprawie, zdarzają się”, a nawet jeśli taki mail byłby prawdziwy, „to nie zawiera żadnych takich informacji, które wskazywałyby w jakimkolwiek procencie, że tu byłoby umawianie czegokolwiek”.

To oczywista nieprawda: chodzi o opóźnienie wypłaty 20 mld zł z budżetu. – Nie wiem, czy można sformułować zarzuty o odpowiedzialność karną, wiele zależy od tego, co zeznałby Muszyński. Ale na pewno powinno zostać wszczęte postępowanie dyscyplinarne, no ale panuje bezprawie, więc nic się w tej sprawie nie dzieje – mówi mi anonimowo jeden z sędziów.

dy, gdy ustawa już została opublikowana, ale w okresie vacatio legis. Utrzymywała więc, że jej ta zmiana nie dotyczy i będzie prezesem wedle starych zasad, czyli do końca dziewięcioletniej kadencji jako sędzię TK. A ta kończy się w grudniu 2024. Na marginesie, to jeden z przykładów niechlujstwa legislacyjnego PiS i dowód, że kolejne nowelizacje ustaw dotyczących TK pisano na kolanie.

Interpretacja Julii Przylebskiej jest jednak chybiona. Były sędzia TK Stanisław Biernat napisał w „Rzeczpospolitej” w zeszłym roku, że kadencja prezesa kończy się już w tym roku w grudniu, a więc za kilka miesięcy. Stwierdził, że powoływanie się przez służby prawne na zasadę praw nabytych jest bez sensu, bo prawa nabyte mają obywatele, a nie funkcjonariusze publiczni. – Natomiast w dniu powołania Julii Przylebskiej na stanowisko prezesa TK nie obowiązywała już poprzednia ustawa o TK – wskazuje Biernat.

– Przepisy wprowadzające sześcioletnią kadencję prezesa TK zostały przyjęte i ogłoszone w Dzienniku Ustaw nie tylko przed dniem powołania obecnego prezesa na to stanowisko, ale również przed odbyciem się Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK, które miało wyłonić kandydatów. Oznacza to, że zarówno osoby uczestniczące w Zgromadzeniu Ogólnym, prezydent dokonujący aktu powołania, jak i sama Julia Przylebska od samego początku działali, mając świadomość nowej konstrukcji sześcioletniej kadencyjności tego organu – argumentuje prof. Biernat. Na nasze pytania do Pałacu Prezydenckiego, kiedy kończy się kadencja Julii, nadeszła odpowiedź niejednoznaczna: „To bardziej skomplikowana sprawa”.

Tymczasem szef komisji sprawiedliwości, poseł PiS Marek Ast na antenie TOK FM wypowiedział opinię taką samą jak prof. Biernat. Przy czym warto od-

notować, że Ast był uczestnikiem spotkań w Ministerstwie Aktywów Państwowych u Sasina, gdzie spiskowano, w jaki sposób obalić, a przynajmniej osłabić Morawieckiego, z którym przecież Przylębska trzyma. Stanowisko Asta więc nie zaskakuje. Natomiast Ziobro w Polsce powiedział, że nie wie, kiedy się kończy kadencja pani prezes. To był sygnał, że on także zostawia sobie otwartą furtkę, by ewentualnie zawalczyć o zdegradowanie Przylębskiej.

Prezesa TK przyjęła w związku z tym sprytną taktykę: przedstawiała siebie jako ofiarę nagonki Tuska, który mówił, że zajmuje fotel szefowej Trybunału bezprawnie i trzeba ją usunąć, a tego typu zmiany będą wprowadzane „środkami administracyjnymi”. Gdy Justyna Dobrosz-Oracz na łamach „Wyborczej” zapytała Tuska, co będzie, gdy „pani Przylębska przykuje się do fotela”, od-

ka uznała, że jako bliski człowiek Ziobry jest nie do końca przewidywalny.

Prezes PiS jednoznacznie stanął po stronie Przylębskiej i Dworczyka: „Radziłbym zaniepokojonym, by zajrzeli do ustawy. Wtedy, gdy wyrok TK może spowodować negatywne zmiany w finansach publicznych, to konieczna jest konsultacja z rządem. Tylko tyle i aż tyle. Nie ma w ustawie napisane, że wszystko musi być na piśmie. Jest mowa o zwróceniu się – myślę, że szef KPRM jest dobrym przedstawicielem rządu, by się zwrócić do niego w tej sprawie. Zresztą z tych trzech spraw opisanych w mailach dwa wyroki zapadły, można skrótkowo powiedzieć, na niekorzyść rządu. Nie ma o czym mówić”. Argumentacja Kaczyńskiego dla każdego prawnika jest kuriozalna: sędziowie nie mogą w ten sposób prowadzić konsultacji w sprawie wyroków. Nie ma

składali, natomiast z automatu dostali rzekomo nadpłacone składki ZUS.

OSZCZĘDZA NAWET 12 TYS. ŻŁ ROCZNIE

Do sprawy nadpłat odniosła się tajemnicza postać o nazwisku Stefan Drzazga junior na stronach Monitora Konstytucyjnego. Przy tekście nie ma notki na temat autora. Strona Monitor Konstytucyjny.eu to miejsce, w którym prawnicy krytycznie komentują łamanie zasad praworządności w Polsce. Piszą tam prof. Ewa Łętowska, prof. Stanisław Biernat i inni znani eksperci.

Stefan Drzazga zdaje się bardzo dobrze poinformowany o tym, co dzieje się w Trybunale. Jego wyliczenia i interpretacje potwierdziliśmy w drugim źródle.

tej zmiany. Wygląda na to, że jest to autorski pomysł Prezes Trybunału Konstytucyjnego Julii Przylębskiej oraz jej urzędników”.

„Dlaczego Prezes TK podejmuje tak kontrowersyjne decyzje?” – pyta Drzazga. Od razu odpowiada: „Złośliwi powiedzą, po pierwsze, że to osobliwy przykład tarczy antyinflacyjnej sędziów Trybunału Konstytucyjnego”, i zastanawia się, czy interpretacja przepisów o dodatkach mieszkaniowych będzie przedmiotem kontroli organów skarbowych i NIK.

PAN PŁACI, PANI PŁACI... 6,5 TYS. ŻŁ ZA MIESZKANIE

Obok nieformalnych konsultacji z rządem i wątpliwych decyzji podatkowych na koncie Julii Przylębskiej zalega jeszcze inna sprawa: oświadczenie majątkowe.

Początkowo zostało utajnione, bo Przylębska nie chciała ujawnić stanu posiadania. Mówiła: „Jesteśmy z mężem ofiarami nagonki. Przychodzi się do naszego mieszkania, uniemożliwia się nam normalne prywatne życie. Prowadzi się do sytuacji zagrożenia życia”. Ale nic nie słychać, aby złożyła zawiadomienie na policję. Powody utajnienia są zgola inne. Otóż Przylębska pobiera dodatek mieszkaniowy. Początkowo nie było w tym nic nadzwyczajnego, dodatek jej przysługiwał. Ale od roku ma dom pod Warszawą, z którego spokojnie mogłaby dojeżdżać do pracy. Dodatek nadal formalnie jej przysługuje, bo posiadłość jest poza granicami administracyjnymi stolicy. Ale odległość między jej mieszkaniem służbowym a własnym domem to 25 km. Dyrektor kancelarii TK Zofia Hoffmann podczas sejmowej komisji sprawiedliwości powiedziała w 2021 r., że „Trybunał ponosi koszty wynajmu mieszkania pani prezes w wysokości 6,5 tys. zł miesięcznie”.

Wydaje się, że cała operacja z oświadczeniem majątkowym miała jeden cel: ukryć fakt, że korzysta nadal z drogiego służbowego mieszkania. W „Wyborczej” pisaliśmy też, że ma najdroższą ochronę SOP, bo często podróżuje do Berlina, gdzie urzęduje jej mąż jako ambasador. Podobno dostała ją najpierw ze względu na brak rozstrzygnięć w sprawie ustawy dezubekizacyjnej. A potem z powodu protestów społecznych po decyzji TK, która w praktyce delegalizuje aborcję.

SIEDEM WYROKÓW PRZEZ PÓŁ ROKU

Gdy PiS pacyfikował Trybunał Konstytucyjny, politycy tej partii jako jeden z powodów zmian wskazywali zbytnią opieszałość tego sądu. Za kadencji Przylębskiej to jedna z najbardziej rozleniwionych instytucji sądowniczych. Ostatnio analizował to w OKO.press Maciej Pach, asystent w Katedrze Prawa Ustrojowego Porównawczego UJ: „Trybunał praktycznie nie orzeka: w pierwszym półroczu tego roku wydał siedem wyroków. Przyzwyczailiśmy już do niskich standardów. Jednak to, co dzieje się w nim obecnie, przekracza kolejne granice”. A Drzazga pisze, że „na niektóre uzasadnienia wyroków przychodzi czekać już blisko dziewięć miesięcy, mimo że termin na sporządzenie uzasadnienia wynosi jeden miesiąc”.

Chodzi o orzeczenie w sprawie wyższości konstytucji nad prawem unijnym. „To orzeczenie zapadło przy tym dość szybko – około sześciu miesięcy od złożenia wniosku. Ale wniosek złożył Prezes Rady Ministrów w ramach wojny z Unią Europejską. Zwykli obywatele nie mają tyle szczęścia – zalegają tam skargi konstytucyjne złożone np. pięć lat temu. Już osiem lat leży w Trybunale jedna ze spraw gotowa do rozstrzygnięcia w styczniu 2017 r., która nie może się doczekać załatwienia. Problem jest również z odpowiedzią na pytania prawne sądów – przykładowo Trybunał od 2018 r. zmagą się z pytaniem prawnym Sądu Okręgowego w Warszawie dotyczącym emerytur i rent byłych funkcjo-

Jej życiorys mógłby być obiektem ataku zagorzałych PiS-owskich antykomunistów: ojciec był w PZPR, ona należała do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich

powiedział: „To trzeba odkuć. Po prostu”.

Zastrzeżenia opozycji mają podstawy prawne, bo Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK, które przedstawia prezydentowi kandydatury, było wtedy zwolane przez osobę nieuprawnioną. Nie brali w nim udziału wszyscy sędziowie, brali natomiast sędziowie dublerzy, choć nie mieli uprawnień. W głosowaniu udział wzięła mniej niż połowa uprawnionych sędziów. Wobec tego w świetle prawa nie została podjęta uchwała o przedstawieniu kandydatur prezydentowi. Andrzej Duda jednak to zlekceważył i nominacja prezesa TK stała się faktem.

Przylębska w trakcie ostatniego tournée po rządowych mediach rozdzierała szaty, mówiła o łamaniu konstytucji i bezprawiu. W końcu użyła bomby atomowej: „Mamy do czynienia z seksistowskim atakiem grupy mężczyzn, którzy postanowili zniszczyć starszą panią, która kieruje Trybunałem Konstytucyjnym”. Argumentacja śmieszna, ale przemyślana: chodziło o to, by kolegów z obozu PiS, którzy chcą ją pozbawić stanowiska, wrzucić do jednego worka z Tuskiem i opozycją. To w dużej mierze sparaliżowało jej wrogów w Zjednoczonej Prawicy. A poza tym w PiS wiedzą, że prezes generalnie źle znosi to, gdy ktoś atakuje zaprzężoną z nim kobietę.

I w końcu nastąpiło coś, co było nieuniknione.

„KONIECZNA JEST KONSULTACJA Z RZĄDEM”

Kaczyński w wywiadzie dla Interii orzekł: „Jest oczywiste, że w momencie wyboru pani prezes obowiązywała zasada do końca dziewięcioletniej kadencji TK wybranego na prezesa sędziego i wobec tego w stosunku do pani prezes obowiązuje ona nadal”. Nie obowiązywała, ale Kaczyński nie będzie się tym przejmował. W tej samej rozmowie zaznaczył, że owszem, są ludzie, którzy Morawieckiego zwalczają, ale on, prezes, panuje nad sytuacją i nie zamierza rezygnować z premiera.

Decyzja Kaczyńskiego jest zrozumiała: Przylębska nigdy go nie zawiodła, wykonywała wszystkie rozkazy. Dlatego więc miałby ryzykować powołanie nowej osoby, która mogłaby go zdradzić, jak sędzia Pszczółkowski. Podobno Świączkowski nawet chodził do prezesa, aby sobie załatwić kierowanie Trybunałem, ale Nowogrodz-

wątpliwości, że Przylębska wielokrotnie łamała obowiązujące sędziego TK standardy.

A przede wszystkim prezes, Sejm czy prezydent proceduralnie nie decydują, kiedy kończy się kadencja szefowej Trybunału. Kaczyński bez zażenowania odgórnie zdecydował, co Trybunał ma zrobić, jasno pokazując stan trójpodziału władzy w Polsce. Tymczasem zgodnie z przepisami prezesa Trybunału powołuje prezydent spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK. Od dnia wakatu 20 grudnia do czasu powołania prezesa pracami Trybunału kieruje sędzia z najdłuższym stażem. I to on zwołuje posiedzenie Zgromadzenia, które ma wskazać kandydatów. Natomiast obradom Zgromadzenia przewodniczy najmłodszy stażem sędzia, i w zasadzie to od niego zależałoby, jak się potoczą sprawy. – Ale Przylębska już tego sędziego przeciągnęła na swoją stronę. To Wojciech Sych, który – gdyby nawet doszło do zwolania wyborczego Zgromadzenia przez wrogów Przylębskiej – i tak poprowadziłby obrady w ten sposób, że do żadnych wyborów by nie doszło – spekuluje mój rozmówca znający kulisy pracy w Trybunale.

Poza tym Przylębska zadbała o przychylność sędziów jeszcze w inny sposób – finansowy.

Otóż, jak dowiaduje się „Wyborcza”, sędziowie TK, także ci w stanie spoczynku, mogli otrzymać albo już otrzymali spore sumy – od kilku do kilkudziesięciu tysięcy złotych – z tytułu nadpłaty podatku dochodowego i składek ZUS. Sprawcy tego cudu Julia Przylębska doszła do wniosku, że od wartości dodatków mieszkaniowych, które przysługują sędziom, wcale nie trzeba płacić podatków ani składek. Według naszych informacji podjęła tę decyzję wbrew opiniom trybunalskich urzędników. Składki były zwracane na konta sędziów automatycznie, natomiast w sprawie nadpłaty podatku dochodowego trzeba było złożyć PIT. I sędziowie to zrobili.

Zapytaliśmy sędziów w stanie spoczynku, co sądzą na ten temat i czy zamierzają dopełnić formalności. Na razie nie chcą wypowiadać się publicznie. Wysłali pismo do dyrektora Biura TK z prośbą o wyjaśnienie podstaw prawnych i udostępnienie dokumentacji. Gdy już dostaną odpowiedź, podejmą decyzję, co dalej. Nie wykluczają publicznego wystąpienia. Natomiast nieoficjalnie dowiadujemy się, że mają sporo wątpliwości. Na razie dodatkowych PIT-ów nie

nariuszy pełniących służbę na rzecz totalitarnego państwa (P 4/18)”.

Jak pracował Trybunał przed Przyłębską, w latach 2011-15? Wydawał rocznie od 60 do 70 wyroków. Istotną część wyroków z lat „pisowskich”, czyli 2017-19, przygotowali jako sprawozdawcy – choć byli już w Trybunale w mniejszości – „starzy” sędziowie TK, wybrani przed 2015 r. Weźmy rok 2018 – niepisowscy sędziowie przygotowali 16 z 36 orzeczeń.

W czasie czwarcowego nieformalnego spotkania z dziennikarzami przedstawiciele Pałacu Prezydenckiego nie zostawili suchej nitki na Trybunale Przyłębskiej, zwracając uwagę na niespotykaną wręcz opieszałość tej instytucji. Obecni na spotkaniu przedstawiciele prorządowych mediów byli wręcz zdumieni tak surową oceną.

Sztandarowym przykładem tej opieszałości jest wspomniana przez Drzazgę tzw. ustawa dezubekizacyjna. W jej sprawie prawdopodobnie Przyłębskiej jest trudno sformować większość na rzecz rządu. Cemu, wyjaśniła wybitna dziennikarka prawa na Ewa Siedlecka na swoim blogu:

„Mariusz Muszyński został wyłączony ze składu sądującego sprawę drugiej ustawy dezubekizacyjnej. Służby Trybunału Przyłębskiej ukrywają powód. Można się domyślać, że chodzi o pogłoski o jego rzekomej agenturalnej przeszłości, o której w 2017 r. pisała »Wyborcza«. Bo mało prawdopodobne, by powodem wyłączenia był fakt, że jest dublerem, gdyż nie wyłączono pozostałych: Jarosława Wyrembaka i Justyna Piskorskiego. Ale może być jeszcze ciekawiej – że powód wyłączenia Muszyńskiego jest tylko pretekstem. A naprawdę może chodzić o usunięcie go po to, by uzyskać pożądany wyrok. Z dokumentu, który posiadam, wynika, że sześciokrotnie dokonywano zmian w składzie sądującym sprawę P 4/18 (pytanie prawne Sądu Okręgowego w Warszawie w związku z drugą ustawą dezubekizacyjną), w tym dwa razy wymieniono sprawozdawców”.

Niedawno Europejski Trybunał Praw Człowieka wydał wyrok orzekający, że Polska narusza europejską konwencję praw człowieka, ponieważ TK tak długo zwleka z rozpatrzeniem tego wniosku.

Natomiast wnioskiem o ujawnienie majątków współmałżonków polityków Trybunał się zajął szybko i była to jedna z najbardziej kuriozalnych, urągających zasadom prawa rozpraw. PiS obiecał, że uchwali przepis, który nakaze politykom ujawnianie majątków żon. Było to po serii publikacji „Wyborczej” na temat żony premiera Morawieckiego. Morawiecki, wchodząc do polityki, zdecydował się na rozdzielenie majątkową. Było oczywiste, że szef rządu nie chce się dzielić informacjami o swoim stanie posiadania. Było to powszechnie krytykowane przez opozycję, więc Kaczyński postanowił zareagować. Jednak partia rządząca napisała ustawę tak, aby dać pretekst do zakwestionowania przepisów pod kątem zgodności z konstytucją: dorzuciła tam obowiązek ujawniania majątków dzieci.

Prezydent zaskarżył ustawę, zwracając uwagę, że ów nakaz może być nie do wyegzekwowania. A Trybunał rzutem na taśmę uznał, że ujawnienie majątku żon lub mężów polityków również jest niekonstytucyjne. Przyłębska zadziałała jak wierna trybunalska atrapa. Potem politycy PiS mogą tłumaczyć, że oni bardzo chcieli np. ujawnić majątek żon, no ale niestety Trybunał miał inne zdanie.

Ten przypadek pokazuje jasno, że Kaczyński używa Trybunału w sytuacjach, gdy nie chce, aby Sejm podejmował określone decyzje, i woli, aby ciężar niektórych zmian lub braku zmian wzięła na siebie trybunalska atrapa. Potem politycy PiS mogą tłumaczyć, że oni bardzo chcieli np. ujawnić majątek żon, no ale niestety Trybunał miał inne zdanie.

Drugą tego typu sprawą była głośna decyzja Trybunału, która praktycznie zdelega-

lizowała aborcję. Wniosek posłów PiS przeleżał wiele lat. Sprawa została odpalona jesienią 2020 r. Wtedy gdy Kaczyński zaczął mieć poważne problemy ze swoimi ultra-konserwatywnymi posłami i klub zaczął mu się buntować. Dał sygnał Przyłębskiej, że można zająć się aborcją, i to spacyfikowało bunt w szeregach. Manewr Trybunału wywołał masowe demonstracje, które powtórzyły się kilkanaście miesięcy później, gdy 30-letnia Izabela z Pszczyny zmarła po odmowie wykonania aborcji, a lekarz stwierdził, że nie wykona zabiegu z lęku przez ostrym prawem antyaborcyjnym. Lecz Kaczyńskiemu takie masowe protesty się opłacają – każda wojna religijno-obyczajowa polaryzuje społeczeństwo, a w czasie wojny obóz konsoliduje się wokół przywódcy. Dzięki Przyłębskiej zażegnał kryzys w partii.

BUNTUJE SIĘ NAWET SĘDZIA DUBLER

Przyłębska łamała procedury wielokrotnie – i właśnie dlatego jest nie do ruszenia. Bo łamie je, by spełnić oczekiwania prezesa.

W 2017 r. „Newsweek” napisał, że „o składach sędziów faktycznie decyduje minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, a wszystkim rządził figurantka i człowiek z przeszłością w wywiadzie”.

Szczególnie w początkowej fazie funkcjonowania Trybunału Przyłębskiej było to istotne, bo zasiadali w nim starzy sędziowie. Potem Przyłębska poróżniła się z Muszyńskim, uważanym za człowieka Ziobry, i sama manipulowała składami. Kilka lat temu Fundacja Batorego przyjrzała się obyczajom w TK i stwierdziła, że nie było wymaganych ustawowo uzasadnień zmian składu.

Prezeska TK naruszała zasadę „nikt nie może być sędzią we własnej sprawie”. Zmiany składu następowały wtedy, gdy sprawy były w trakcie rozpoznania. „Niemal od początku sprawowania przez Panią funkcji Prezesa TK obserwujemy praktykę kształtowania składów orzekających Trybunału, w której znajdujemy nieprawidłowości” – napisali już w 2018 r. w oficjalnym piśmie sędziowie TK Leon Kieres, Piotr Pszczółkowski, Małgorzata Pyziak-Szafnicka, Stanisław Rymar, Piotr Tuleja, Sławomira Wronkowska-Jaśkiewicz i Marek Zubik.

Prawdziwą bombą był jednak głos Jarosława Wyrembaka, którego PiS wybrał do TK w 2018 r. Jego batalię z Przyłębską opisali reporterzy programu TVN „Czarno na białym” oraz Onet. W 2019 r. w liście wysłanym do kolegów z TK sędzia dubler wezwał prezeskę do dymisji. „Za bezwzględnie niedopuszczalne uznaję zarządzenie wyniesienia z gabinetu sędziego w czasie jego nieobecności, i bez porozumienia z nim, dokumentacji wielu spraw pozostających w toku rozpoznawania – wraz z projektami merytorycznych rozstrzygnięć” – napisał, dając dowód, że nie tylko starych sędziów oburzają praktyki Przyłębskiej.

Zarzuty dotyczą także tego, w jaki sposób Trybunał wydaje wyroki i w jakiej kolejności rozpatruje sprawy. „Za bezwzględnie niedopuszczalne uznaję blokowanie możliwości rozpoznania przez TK jakiegokolwiek sprawy w oparciu o argument kalendarza wyborczego. Niedopuszczenie do rozpoznania wniosku grupy posłów, dotyczącego ochrony płodu ludzkiego z uwagi na wybory parlamentarne, według mojego stanowiska może być oceniane jako forma aktywności politycznej, z nadużyciem uprawnień” – napisał Wyrembak. Przyłębska odblokowała ten wniosek w 2020 r., gdy Jarosław Kaczyński dał zielone światło – czyli po wyborach parlamentarnych 2019. A warto zauważyć, że sprawa aborcyjna kosztowała PiS w sondażach kilka punktów procentowych.

Zbuntowany dubler opisał także kulisy wydania niezwykle ważnego dla rządzących wyroku dotyczącego nowej Krajowej Rady Sądownictwa. Trybunał orzekł jednogłośnie po myśli rządzących, że nowa KRS, powołana przez polityków, a nie przez sędziów, została wybrana zgodnie z konstytucją. Wyrembak miał zostać usunięty ze

składu orzekającego, bo z wyrokiem się nie zgadzał i zapowiedział zdanie odrębne. „Za bezwzględnie niedopuszczalne uznaję usuwanie sędziego ze składu orzekającego w jakiegokolwiek sprawie bez żadnych ważnych przyczyn”. Jak twierdzi Wyrembak, Przyłębska w tej sprawie wydała sędziom zakaz składania zdań odrębnych.

I opowiada, że gdy w czasie wrześniowego Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK chciał dyskutować o „utrzymywaniu stanu daleko idącej niejasności co do zasad, jakimi kieruje się Pani Prezes, wyznaczając składy orzekające oraz ustalając terminy narad i rozpraw”, jego próba „spotkała się z bardzo ostrą i stanowczą reakcją Pani Prezesa – a nawet próbowano zakrzyczeć moją wypowiedź”.

W innym piśmie Wyrembaka, wysłanym do Przyłębskiej, czytamy: „Kilka-krotnie miesięcy sprawowania służby sędziego TK pozwoliło mi poznać i zrozumieć rzeczywistość różnych praktyk wpisujących się w funkcjonowanie TK. Narzucają mi one konieczność złożenia wniosku o przeprowadzenie w trakcie najbliższego posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK dyskusji i głosowania nad uchwałą apelującą do Pani Prezesa Trybunału o zrzeczenie się stanowiska Prezesa Trybunału”. Zgromadzenie, na którym Wyrembak chciał zgłosić swój wniosek, nie zostało zwołane.

Dzięki swojej decyzji przez 9 lat kadencji prezes Przyłębska może zaoszczędzić, według przybliżonej symulacji, nawet około 100 tys. zł

To właśnie bunt Wyrembaka (zresztą zagrożonego planem opozycji, by po wygranej usunąć dublerów na podstawie wyroku TK z grudnia 2015, który zakwestionował legalność nieco wcześniejszego grudniowego wyboru dwóch sędziów, i wprowadzić tam legalnie wybranych sędziów) sprawił, że Kaczyński kazał wybierać sędziów, co do których karności nie będzie żadnych zastrzeżeń. Dlatego w TK znaleźli się tacy wierni żołnierze prezesa jak Krystyna Pawłowicz czy Stanisław Piotrowicz, choć partia miała opory, bo Pawłowicz „to zwykła hejterka”, jak powiedział mi wprost jeden z posłów PiS.

Na takich sojuszników Przyłębska zawsze może liczyć. Jej styl zarządzania polega na tym, że przymila się do sędziów, bo od nich zależy jej los, a tych, którzy są jej zdecydowanymi krytykami, po prostu unika. Ze „starymi” sędziami na początku urzędowania potrafiła nie rozmawiać miesiącami.

KACZYŃSKI NIE ZABETONOWAŁ DO KOŃCA

Jarosław Kaczyński stworzył system, który trudno będzie zdemontować. Instytucja, choć zwana przez wielu prawników atrapą Trybunału, ma jednak zdolność blokowania jakichkolwiek prób przywrócenia praworządności również wtedy, gdy PiS przegra wybory. Przelamanie tego wymagałoby zmiany konstytucji, zaś na razie sondaże nie wskazują, by opozycja mogła zdobyć aż tak dużą większość w parlamencie. A nawet jeśli na podstawie wyroków sądów da się usunąć z Trybunału dublerów, to i tak większość będą stanowili sędziowie legalnie powołani przez większość PiS-owską.

To oznacza, że grupa już opozycyjnych posłów PiS będzie mogła w każdej chwili zaskarżyć jakąś ustawę do Trybunału Przyłębskiej, a ten ją zablokuje. Według prof. Wojciecha Sadurskiego PiS będzie miał większość w TK aż do 28 czerwca 2026, kiedy to odejdzie Andrzej Zielonacki, ósmy z sędziów powołanych przez PiS. Jeżeliby nawet uznać, że skruszony sędzia Pszczółkowski będzie nadal głosował w sposób uczciwy, a nie tak, jak nakazuje PiS, to i tak zmiana większości Trybunału nastąpi dopiero 20 grudnia 2025, kiedy odejdzie sędzia Michał Warciński. Innym, osobnym problemem jest ewentualne weto prezydenta do ustaw uchwalanych w przyszłości przez obecną opozycję. Kadencja Andrzeja Dudy kończy się w 2025 r.

Usunięcie samej Przyłębskiej też niewiele da, bo w Zgromadzeniu sędziów większość będzie miał PiS i zgłosi prezydentowi swoje kandydatury.

Zapowiedzi Tuska o przywracaniu praworządności środkami administracyjnymi budzą wątpliwości także po stronie opozycyjnej. – Naginanie zasad i woluntaryzm nawet w służnej sprawie będą psuciem państwa takim samym, jakie uprawia PiS – argumentują krytycy.

Co prawda prawnicy broniący praworządności, tacy jak prof. Marcin Matczak, uspokajają, że gdy zmieni się władza, duża część osób zasiadających w Trybunale zmięknie, gdyż to koniunkturaliści służący każdej aktualnej władzy. Ale sceptycy – jak choćby prof. Wojciech Sadurski – zauważają, że wśród nominatów PiS dominują fanatycy, a nie koniunkturaliści.

Z trzeciej strony warto zauważyć, że w sprawie ujawniania majątku współmałżonków polityków zdanie odrębne złożyli nie tylko Piotr Pszczółkowski, ale także sędziowie Zbigniew Jędrzejewski i Jakub Stelina. Jednocześnie i Stelina, i Jędrzejewski, i Wyrembak są podpisani pod decyzją w sprawie aborcji. To może wskazywać, że w sprawach obyczajowych panuje jedność poglądów, bo sędziami są konserwatyści – ale już we wszystkich innych kwestiach może być różnie.

W kuluarach partyjnych można też usłyszeć, że opozycja ma jeszcze inne pomysły, jak poradzić sobie z systemem zabetonowanym przez Kaczyńskiego, ale nie chce zdradzać szczegółów, aby PiS nie mógł się zabezpieczyć. – Pomysł przeniesienia kompetencji z TK na Sąd Najwyższy nie rozwiązuje sprawy wobec przejmowania stopniowego SN przez nowych sędziów, plus potrzebna jest zmiana konstytucji. Jedynym wyjściem jest tzw. rozproszona kontrola konstytucyjności ustaw dokonywana przez sądy w konkretnych sprawach, bez występowania do TK. To się już dzieje – tłumaczy mi jednak jeden z byłych sędziów TK.

Julia Przyłębska może więc być zadowolona ze zwycięstwa nad wrogami w obozie PiS, ale nie może być pewna swych losów, gdyby opozycja wygrała za rok wybory. W kuluarach trybunalskich pojawiają się też przypuszczenia, że gdyby przestała być prezeską, to przejdzie w stan spoczynku ze względu na stan zdrowia, nie czekając na koniec kadencji. To także może nieco zmniejszyć układ sił w Trybunale. ●

Mapa ukraińskich surowców strategicznych i krytycznych



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: UKRAIŃSKI URZĄD GEOLOGICZNY

PUTIN WIE,
CO ROBI

W 2014 Rosja zaatakowała, gdy Ukraina prowadziła rozmowy o wydobyciu ropy z Shellem. W 2022, gdy zaczęła aukcje licencji na wydobycie litu, tytanu, niklu, kobaltu, chromu, złota, grafitu

Andrzej Lubowski

Dicie się w piersi własne, a nie cudze, w okolicznościach inne niż religijne, to dziś zjawisko powoli zamierające, i choćby z tego powodu zasługuje na odnotowanie. Ta cnota wszakże robi się mniej cnotliwa, jeśli bijemy się w piersi za błędy lub grzeszki drobne i pospolite, popełniając przy tym błędy lub grzechy poważniejszej natury.

W długiej rozmowie o wszystkim nasz ulubiony spolszczony Niemiec, czyli Klaus Bachmann, z masochistyczną wręcz lubością wymienia listę swych pomyłek: czego nie przewidział, czego nie docenił, a co przecenił, z czym się nie liczył, a powinien. Darujemy mu te

omyłki, jako że niemal wszystkich patrzących na wojnę Rosji przeciwko Ukrainie zaskoczył skuteczny heroizm Ukraińców, mądrość Zelenskigo, bałagan i niekompetencja wojsk rosyjskich, chybione kalkulacje Putina i zdecydowana postawa Zachodu.

We mnie pozostanie natomiast zaskoczenie, jakie zgotował mi Bachmann w kilku ważnych sprawach. A konkretnie w następujących:

1. Postawił się w roli doradcy Ukrainy i zalecił jej, aby spisała na straty Donbas.

2. Opowiada się za tym, aby pozostawić Nord Stream 2 i broń Bożą go nie rozmontowywać.

3. Stwierdził, że to ciekawe czasy, żeby uznać porównanie z Kissingerem za obraźliwe.

Po kolei zatem spróbuję przekonać Klausa Bachmanna, że wszystkie trzy tezy są błędne, i jeśli już bić się w piersi, to za nie właśnie.

SPISAĆ NA STRATY DONBAS?

Prowadzący rozmowę Grzegorz Wysoki zacytował wcześniejszy tekst Bachmanna, stwierdzający, że Ukraina „wiele by zyskała, gdyby zrezygnowała z Krymu i Donbasu”. Bachmann śpieszy dodać: „Ja to mówię od wielu lat, nie tylko w tym kontekście i nie tylko o Donbasie. Uważam, że jeśli coś jest nie do odzyskania, to trzeba z tego szybko zrezygnować, inaczej tylko ogranicza nasze pole manewru”. I dalej o Don-

basie: „Teraz nie ma o czym dyskutować: tam już nic nie ma. Same ruiny. Gdyby to był step albo dżungla, można by budować od zera. (...) Krym to jeszcze rozumiem – można sobie kupić daczę nad morzem. Ale w Donbasie?”.

Nie wiedzieć czemu, przypomina mi się rada pana Zagłoby dla starosty kałuskiego Jana Sobiepana Zamoyskiego, który na całą salę zakrzyknął: „A ja ofiaruję jego szwedzkiej jasności Niderlandy!”.

Putin napadł niepodległe państwo z rozmaitych powodów. Przede wszystkim gnany strachem: sen z oczu spędzała mu wizja sąsiadów w Unii Europejskiej, bo nie może sobie pozwolić, żeby tuż pod jego nosem Ukraina stała się krajem demokratycznym, w miarę nowoczesnym i zasobnym, gdy ulice i sklepy w Kijowie będą przypominały Nowy Świat czy Galerię Mokotów w Warszawie. To byłaby tragedia, bo Rosjanie wtedy zapytają: czemu tak nie może wyglądać Rosja? Stąd świadome i przemyślane niszczenie tkanki materialnej Ukrainy. Putin chce sprawić, żeby Ukraina przez dekady podnosiła się z gruzów.

Najechał także w imię restauracji dawnego imperium, którego rozpad uznaje za największą katastrofę XX wieku.

Ale nie bez znaczenia w kalkulacjach Kremla był potencjał gospodarczy Ukrainy, stanowiący w wielu przypadkach, już po rozpadzie ZSRR, zaplecze przemysłu Rosji, zwłaszcza przemysłu obronnego i sektora badania kosmosu. 14 kwietnia 2014 r. Deutsche Welle – żeby powołać się na źródło niemieckie – pisało, że 12 typów rosyjskich międzykontynentalnych rakiet pochodzi z jednego ukraińskiego miasta – Dniepropietrowska. W Donbasie wytwarzano specjalną stal dla rosyjskich czołgów. Większość rosyjskich helikopterów wojskowych wyposażona była w silniki z Zaporozcza, 90 kilometrów od Doniecka.

Donbas był od wielu dziesięcioleci sercem przemysłu ciężkiego i energetyki Ukrainy. To prawda, że naloty i ataki rakietowe zamieniły sporą część tego potencjału w perzynę. Ale nie zniszczyły tego, co pod ziemią, a czego najwyraźniej nie zauważył Bachmann.

Poza całą mitologią, w jaką opakowuje Putin swą opowieść o „specjalnej operacji”, pozostaje chłodna, często niedoceniana kalkulacja – jak wynik wojny wpłynie na przyszłość gospodarczą Rosji i Ukrainy.

Rod Schoonover, były dyrektor sekcji środowiska i zasobów naturalnych amerykańskiej Narodowej Rady Wywiadu (U.S. National Intelligence Council), agencji będącej pomostem między wywiadem i formułowaniem polityki, a obecnie prezes Ecological Futures Group, powiedział, że nie był to zapewne główny motyw inwazji – ale bez wątpienia bogactwo mineralne Ukrainy to jeden z powodów, dla których ten kraj ma dla Rosji tak wielkie znaczenie. Innymi słowy, bogactwa naturalne Ukrainy spotęgowały jedynie apetyt Putina.

Wedle wielu opracowań sprzed inwazji Ukraina ma szansę stać się „potęgą mineralną”. Około 80 proc. jej zasobów ropy, gazu i węgla znajduje się w obwodach donieckim i dniepropietrowskim. Ukraina ma drugie co do wielkości w Europie złoża gazu – 1,2 biliona metrów sześciennych udokumentowanych i kolejne 5,4 biliona możliwych w szelfie Morza Czarnego, do których dziś prawo rości sobie Rosja. W Ukrainie znajdują się największe w Europie złoża uranu, zapewne największe w Europie złoża rzadkich metali, w tym litu niezbędного do produkcji baterii do samochodów elektrycznych, smartfonów, pamięci komputerów.

Zdaniem wielu analityków ani moment agresji, ani wybór terytoriów, na jakich koncentruje się agresor, nie są dziełem przypadku. W momencie aneksji Krymu w 2014 r. Ukraina prowadziła rozmowy z Shell Oil Co. i Chevron Corp. w sprawie wydobywania zasobów gazu z dna Morza Czarnego, odkrytych jeszcze za czasów ZSRR. Rosyjska agresja zatrzymała te plany.

Tym razem agresja nastąpiła wkrótce po tym, gdy Ukraina rozpoczęła aukcje licencji na eksplorację i eksploatację swych zasobów mineralnych. Zeszłoroczna prezentacja szefa ukraińskiego Urzędu Geologii – dostępna pod adresem <https://poland.mfa.gov.ua/storage/app/sites/61/pdac-2021-final.pdf> – pokazuje udokumentowane zasoby takich metali jak lit, miedź, nikiel, kobalt, tytan, chrom, tantal, beryl, molibden, złoto, grafit. Cztery pierwsze odgrywają krytyczną rolę w technologiach czystej energii niezbędnych do odchodzenia od kopalin.

„Głęboko pod powierzchnią ukraińskiej ziemi, tam, gdzie Rosja kontynuuje agresywny atak, leży ogromne, nieruszone dotychczas mineralne bogactwo, które może być kluczem do lukratywnej czystej energii”. Tak zaczyna się opublikowany 2 marca w „New York Timesie” tekst Hiroko Tabuchi, laureatki Pulitzera.

Obecność bogatych zasobów rzadkich metali w południowo-wschodniej Ukrainie potwierdzili też polscy eksperci, m.in. prof. Adam Piestrzyński z Wydziału Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska z AGH w Krakowie oraz dr Karol Zglinicki z Państwowego Instytutu Geologicznego, który wskazał rejon Azowa i Mariupola jako miejsce bogatych i udokumentowanych złóż pierwiastków ziem rzadkich.

W listopadzie australijska firma European Lithium była blisko zapewnienia sobie praw do dwóch obiecujących złóż litu: Szewczeniwske w regionie donieckim i Dobra w Kirowogradzie (Kropywnycki),

Putin nie może pozwolić, żeby ulice i sklepy przypominały Nowy Świat czy Galerię Mokotów w Warszawie

w centrum kraju. W tym samym miesiącu chińska firma Chengxin Lithium zwróciła się do władz ukraińskich o prawa eksploatacji złóż litu w tych samych dwóch miejscach. Chengxin jest producentem litu do baterii w autach elektrycznych. Żadna z tych transakcji nie została sfinalizowana – nadeszła wojna.

Czyli Donbas to wprawdzie ani step, ani dżungla, ale jest się o co bić. Spisywanie go na straty, bo tak podpowiada teoria gier, to błąd, na który Ukraina nie może sobie pozwolić.

ZOSTAWIĆ NORD STREAM 2?

„Jeśli go rozmontujemy, to będzie znak, również dla Rosjan, że uważamy, że Rosja nigdy nie będzie demokratyczna, nigdy nie będzie obliczalna, nawet jeśli Putin ustąpi albo umrze” – mówi Bachmann.

Wśród wielu słabości Unii nic dziś tak nie razi jak zależność od rosyjskiego gazu i ropy. Ta zależność, podobnie jak chińska dominacja na rynku rzadkich metali, których świat będzie potrzebował coraz bardziej, to produkty krótkowzroczności Zachodu i decyzji moralnie wątpliwych. I nie mamy tu do czynienia z „czarnym labędziem” – nieoczekiwanym zdarzeniem o ogromnych konsekwencjach. To, co się zdarzyło, nie jest ani niespodzianką, ani wynikiem misternego manewru szachowego arcymistrza. Mamy do czynienia z „szarym nosorożcem” – zagrożeniem oczywistym, od dawna widocznym, wysoce prawdopodobnym, a mimo to ignorowanym.

Dramat wokół gaziociąg NS 2 pokazał determinację Kremla i słabość Zachodu.

Budowę ukończono wbrew woli Parlamentu Europejskiego, wbrew naleganiom Francji, krajów skandynawskich, bałtyckich i Polski. I wreszcie wbrew stanowisku Białego Domu i Kongresu USA. Był to od początku projekt geopolityczny, obliczony na zwiększenie wpływu Rosji na rynek energii w Europie, zagrażający bezpieczeństwu krajów Unii i suwerenności Ukrainy.

Nord Stream 2 kierował Matthias Warnig, były oficer Stasi, znajomy Putina z młodości. Berlin, nie bez udziału innych rządów europejskich, wystawił miliony Europejczyków na łaskę i niełaskę Kremla. Trudno uwierzyć, że to naiwność wepchnęła Niemcy na śliską ścieżkę. Katastrofa w Fukushima w 2011 r. przestraszyła Niemców tak, jakby żyli w strefie nieustannych wstrząsów sejsmicznych i groziło im tsunami. Z dnia na dzień zamknęli 8 z 17 elektrowni atomowych i postanowili zamknąć pozostałe do końca 2022. Pewno nigdy do końca nie rozsuplemy zagadki, ile w tym było autentycznych obaw, a ile działania Moskwy.

W sytuacji, gdy Europa wreszcie rozumiała konieczność uniezależnienia się od rosyjskiej energii, Bachmann namawia nas, aby zostawić Nord Stream 2, by, gdy przyjdzie pora, wspierać demokratyczną Rosję. Jakbym słyszał Gerharda Schrödera. Mamy brnąć dalej w zależność od rosyjskiej energii, i to energii szkodliwej dla środowiska.

Niech będzie, byłaby to energia kupowana od demokratycznej Rosji. Ale nadal brudna. Gdy naukowcy mówią o pilnej

potrzebie odchodzenia od spalania kopalin i przechodzenia na paliwa odnawialne, Bachmann zaleca, aby poczekać na demokratyczną Rosję i od niej kupować gaz.

TO CIEKAWE CZASY, KIEDY PORÓWNANIE Z KISSINGEREM MOŻE BYĆ OBRAŻLIWE

Czasy rzeczywiście mamy ciekawe, lecz nie dlatego porównanie z Kissingerem jest obraźliwe. Także w czasach nudnych (choć takich sobie nie przypominam) dla bardzo wielu ludzi byłoby obraźliwe. Kissinger, mistrz intrygi, manipulacji i autoreklamy, powiedział kiedyś politologowi Johnowi Stoessingerowi, koledze z Harvardu, parafrazując Goethego: „Gdybym miał wybierać między sprawiedliwością i nieporządkiem z jednej strony a niesprawiedliwością i porządkiem z drugiej, zawsze wybiorę to drugie”.

Obserwatorów działań Kissingera uderza zdumiewająca mieszanek błyskotliwego umysłu i niespożytej energii z niepomowanym oportunizmem, wciąż nienasyconą ambicją i infantylną niemal próżnością. Jego bardzo bliski współpracownik, Helmut Sonnenfeldt, stwierdził: „Kissinger kłamie nie dlatego, że to w jego interesie, ale dlatego, że leży to w jego naturze”. Podobnie Putin. Może to powinowactwo charakterów sprawiło, że panowie przypadli sobie do gustu od pierwszego spotkania, gdy Putin był jeszcze urzędnikiem w administracji Petersburga?

W 2002 r. Christopher Hitchens opublikował książkę „The Trial of Henry Kissinger” (Proces Kissingera) z tezą, że jej boha-

ter to zbrodniarz wojenny i gdyby nie to, że był szefem amerykańskiej dyplomacji, i nie jego wspaniałe koneksje, podzieliłby los Slobodana Miloševicia i trafił przed Trybunał w Hadze. Hitchens przypomina nie tylko Chile, Laos, Kambodżę, Wietnam, ale także krwawą inwazję na Timor Wschodni dokonaną w 1975 r. przez Indonezję za wyraźnym przyzwoleniem Kissingera.

Od wielu lat opisuje się rolę, jaką Kissinger odegrał w upadku rządu Salvadora Allendego w Chile. Uczestniczył aktywnie w planach niedopuszczenia Allendego do objęcia urzędu. Kontrowersje dotyczą także tzw. operacji „Condor” – kampanii represji politycznych, łącznie z morderstwami, przeciwko socjalistom i komunistom, prowadzonej w 1975 r. w Argentynie, Chile, Urugwaju, Paragwaju, Boliwii i Brazylii. Działania miały ściśle tajny charakter i brak dokładnych danych na temat liczby ofiar, ale szacuje się ją na minimum 60 tysięcy. Kissinger uchylał się od wezwań organów śledczych Francji, Hiszpanii, Chile i Argentyny w kwestii tej operacji.

Gdy ujawniono taśmy z archiwum Nixona, okazało się, że po spotkaniu Nixona i Kissingera z Goldą Meir w 1973 r., w czasie którego premier Izraela prosiła o pomoc dla sowieckich Żydów, Henry powiedział do prezydenta: „Jeśli wsadzą Żydów do komór gazowych w Związku Radzieckim, to nie jest to sprawa Ameryki. Może kwestia humanitarna”.

W odróżnieniu od Brzezińskiego, który chciał hamować mocarstwowe aspiracje Kremla, bo wiedział, że nie mają granic, spotykał się z dysydentami, wspierał Wolną Europę i radio Swoboda, Kissinger chciał zaklepać panujący porządek, dogadać się z oponentem, podzielić sfery wpływów i nie zagładać sobie nawzajem pod koldrę. Rozmawiać z tymi, co się liczą. Nie tracić czasu na słabszych. Dlatego nie znalazł go dla Solżenicyna, co wypominał mu Ronald Reagan.

Gdy w listopadzie 2002 r. prezydent George W. Bush mianował Kissingera przewodniczącym komisji do zbadania niedostatków w systemie bezpieczeństwa państwa, które umożliwiły atak 11 września 2001 r., znany komentator Mark Shield napisał, że to tak, jakby księciu Drakuli powierzyć nadzór nad bankiem krwi. Kissinger szybko zrezygnował, gdyż, jak stwierdził, śledztwo rodziło groźbę konfliktu interesów z działalnością jego firmy doradczej.

Omawiając w „Financial Timesie” książkę Kissingera „On China”, Chris Paten, ostatni brytyjski gubernator Hongkongu, zwraca uwagę, że w swej fascynacji Mao Kissinger przechodzi do porządku dziennego nad skalą terroru, okrucieństwa i ludzkich strat, jakie pociągnęły za sobą rządy Wielkiego Sternika.

Mimo rewolucyjnych zmian na świecie w minionym półwieczu Kissinger pozostaje niewzruszony w swym przekonaniu o nadrzędności porządku i interesu nad uniwersalnymi wartościami humanistycznymi.

Bachmann, owszem, przyznaje, że „problemy zaczynają się, gdy naukowcy czy politycy wychowani na realizmie, jak Kissinger, tworzą na podstawie teorii naukowej postulat, jak prowadzić politykę. Szybko robi się niemoralnie i nieludzko. Liczą się tylko równowaga między państwami i układ sił, a nie to, czy sami zainteresowani są zadowoleni”. Ale to sugeruje, że jest chyba niekonsekwentny, bo zakładam, że jeśli kogoś porównać do postaci głęboko niemoralnej, to może, a nawet powinien uznać takie porównanie za obraźliwe. I nie jest to znajmę „ciekawych czasów”. ●

TOKSYCZNY SEKS KOŚCIOŁA

Jeśli św. Stanisław Kostka mdlał przy wulgaryzmach, to kontakt z dojrzałą kobietą musiałby go przerażać

Tomasz Żukowski

Kościół katolicki jest oficjalnie oazą czystości. To raczej po stronie „cywilizacji śmierci” należy szukać erotycznego rozpasania, tam dogadza się ciało i żądzom oraz znajduje upodobanie w perwersjach. Pamiętam, jak już po komunii, ale na pewno jeszcze w szkole podstawowej, pokazywano nam przezroczą o Dekalogu. Przy szóstym przykazaniu oglądaliśmy ujęcie z czerwonej dzielnicy w Amsterdamie albo Hamburgu, oczywiście z daleka i bez szczegółów, ale ten nocny pejzaż był wyraźnie piekielny. Towarzyszył mu obrazek z chłopcem – o seksualności kobiet cisza – który nie mógł się uwolnić od pornograficznych fantazji układających się w jakieś sennie koszmary. Mieliśmy się trzymać od tego z daleka.

A jednak wprowadzono nas w seks, i to znacznie wcześniej, jeszcze w pierwszej klasie szkoły podstawowej, na drodze krzyżowej. Stacja IX „Jezus z szat obnażony” miała kierować myśli w stronę erotyki:

Stoi Pan Jezus odarty z sukni.
O, jakże cierpi, jak bardzo smutny.
Za moje brzydkie myśli i czyny
Cierpi tak bardzo Jezus niewinny.

Choć nie bardzo wiedziałem, co to są „brzydkie myśli i czyny”, już było jasne, że erotyzm to przemoc. Sprawialiśmy nim ból Jezusowi.

Pamiętam swoje zaskoczenie: przyjemność seksualna – wtedy tylko przeżywana – miała być gwałtem na niewinnie cierpiącym Zbawicielu. Zanim doświadczyliśmy pierwszej erotycznej fascynacji, nauczyliśmy się fantazjowania o torturach z erotycznym i sadystycznym zabarwieniem. Odzieranie Jezusa z szat było bolesne, siostra Angelina tłumaczyła, że materiał przywarł do poranionego biczowaniem ciała, a teraz rany zostały na nowo otwarte. Rozwodzono się nad jego wstydem, a ten wstyd był niczym innym jak przeczcieniem gwałtu. Nagi Jezus stawał się tym bardziej bezbronny.

SEKS EGOISTÓW

Droga krzyżowa wzbudzała w nas poczucie winy, bo to my byliśmy gwałcicielami. Nasze „brzydkie myśli i czyny” – czyli pierwsze seksualne przeżycia – raniły i nie były niczym dobrym dla wystawionego na erotyczne spojrzenie ciała, krzywdziły je i masakrowały. Własną przyjemność – choć spontanicznie odczuwaliśmy ją zupełnie inaczej – mieliśmy przeżywać jako kaci odzieranego z szat Jezusa. Erotyzm stawał się sprawą między oprawcą a niewinną ofiarą. Kościół chciał, żebyśmy weszli w dojrzałość właśnie tymi drzwiami.

Trudno się dziwić, że Eros musiał być „brzydki”. To była samospełniająca się przepowiednia: oddzielony od czułości i radości oraz połączony z okrucieństwem rzeczywiście wydawał się wstrętny.

Seks wracał jako obsesja katolików niemal zawsze w połączeniu z przemocą. Dopatrywano się w nim ciągle egoizmu, który „uprzedmiotawia drugiego człowieka”. Na dobrą sprawę sama przyjemność była uprzedmiotowieniem i wykorzystaniem kogoś drugiego. Seks z definicji dzielił, a nie łączył ludzi i nie sposób było tego uniknąć, nawet w małżeństwie i monogamicznym związku. Dlatego wmawiano nam, że jest smutny. Ile razy słyszałem od księży katechetów: omne animal triste post coitum – każde stworzenie jest smutne po seksie. Sytuacja, w której po orgazmie można być zadowolonym i wspólnie się śmiać, była w katolickich wyobrażeniach o seksie nie do pomyślenia. Erotyzm okazywał się przeciwieństwem wobec tego, co w nas zwierzęce, a więc brutalne i egoistyczne.

Etyka seksualna, którą mi później wykładano, opierała się na założeniu, że tylko prokreacja jako cel seksu usuwa egoizm. Oczywiście w małżeństwie, bo stosunki przed ślubem były surowo wzbronione. Tak się jakoś składało, że wszyscy panicznie baliśmy się niechcianej ciąży, a tak naprawdę w ogóle dzieci. Posiadanie potomstwa – choć tak zalecane – kojarzyło się z serią koniecznych, choć przykrych wyrzeczeń, ceną za przyjemność czy wręcz pokutą, dzięki której mogliśmy zadośćuczynić nieodłącznemu od erotyki egoizmowi.

Stosunki seksualne zamieniały się w rosyjską ruletkę, w której dziecko okazywało się samobójczym strzałem. Relacja kat – ofiara powracała: kochankowie ryzyko-

których moje koleżanki sypały kwiaty przed Najświętszym Sakramentem. Wszystkie w białych długich sukienkach od komunii, z wiklinowymi koszykami pełnymi kwiatów. Pierwszokomunijne sukienki, kopie sukni ślubnej, utrefione włosy – to było erotyczne przebranie. Wiem, że bielanki tak to przeżywały: były księżniczkami i kobietami, eksperymentowały ze swoim urokiem i uczyły się go. W tanecznym geście dygały, żeby rozrzucać na drodze płatki kwiatów, po których miał przejść ksiądz. Specjalnie uczono je tego gestu, żeby wykonywały go z wdziękiem i jednocześnie ze służebną uległością.

Wszystko to było częścią treningu czystości. Wdzięk bielanek miał być wdziękiem dziewczyc. Nie wolno im było rozwijać własnej seksualności, miały jej nie znać i to właśnie sprawiało, że stawały się pociągające. Ich seksualny urok polegał na tak zwanej niewinności. Do tego sprowadzał się sens białych sukienek i wianków – piękne i czyste. Te pierwsze, kształtujące erotyczne doświadczenia miały jeszcze jeden element: cały spektakl organizowano wokół władzy – Najświętszego Sakramentu, czyli Chrystusa jako króla, któremu ofiarowywało się czystość i który na to wszystko z góry spoglądał.

Bielanki uczyły się być bierne. Były pociągające, bo nie rozwinęły własnej seksualności, nie wzięły jej sobie na własność i nie mogły jej autonomicznie doświadczać. Erotyczna była dysproporcja sił, relacja z Panem, który weźmie od nich dziewictwo, ale w taki sposób, żeby nie uzyskały dostępu do własnej przyjemności seksualnej. Nad bielankami czuwała siostra Angelina w czarnym welonie, zaślubiona Jezusowi. Kopia Najświętszej Marii Panny, tak samo poważna i smutna. Jej czarny habit, spod którego

Po kastracyjnym treningu, jakiego przechodzą katolicy, seks musi być rzeczywiście przerażający

wali, że zrobią sobie nawzajem coś złego, a ostatecznej egzekucji miał dokonać noworodek. Tak to emocjonalnie wyglądało.

NIEWINNOŚĆ BIELANEK

Nic dziwnego, że zalecenia, aby rezygnować z seksu, padały na podatny grunt. Nie było łatwo, ale przynajmniej udawało się unikać egoizmu i pozostać w zgodzie z instynktem samozachowawczym. Cena polegała na tym, że erotyzm coraz bardziej odrywał się od bliskości z ludźmi, których kochaliśmy, a kiedy nie było w nim miłości, wypełniał się problemami, które generował sam Kościół.

Chłopcy mieli swoje metody tłumienia potrzeb seksualnych, a dziewczynki swoje. Chłopcom proponowano reżim zakonno-wojskowy. Czystość zachwalano jako przejaw męskiej siły. Z dziewczynkami było inaczej. Pamiętam procesje Bożego Ciała, na

nie wyglądał nawet kawałek ciała, ogolona głowa przykryta czepcem z jakiegoś sztywnego materiału mówiły same za siebie: tu nie było miejsca na kobiecy seks.

Na bielanki patrzył Pan Jezus, ale Najświętszy Sakrament niósł najstarszy rangą ksiądz, podtrzymywany przez dwóch do stojnych panów i otoczony innymi panami – tymi, którzy nieśli baldachim, krzyż, świece, kadzidło i tak dalej. Także przed nimi dygały dziewczynki i spojrzenia realnych mężczyzn biorących udział w procesji były – z ziemskiego punktu widzenia – znacznie bliżej.

PACHNIAŁO GWAŁTEM

W rytuale wdrażania do patriarchyatu ćwiczyły się obie strony. Najwyższego Pana zastępowali inni panowie, wedle hierarchii, która była tu bardzo ważna. Zawsze z po-



czuciem, że są wyżej. Kończyło się na nas – ministrantach. My też uczyliśmy się cenić podsuwane nam powaby. Dziewczynki roztaczały urok niewinności, mężczyźni patrzyli. Dziewictwo prezentowało się jako służebne i poddane i takie miało pozostać. W tym układzie trudno było nawet wyobrazić sobie jakąś seksualną edukację z kimś starszym i doświadczonym. Dzieci jako wzór cnót niewieściich pozostawały z zasady przeciwieństwem dojrzałych kobiet, które mogą być aktywne i autonomiczne, wiedzą o własnych potrzebach, będą szukać swojej przyjemności i wymagać od partnera, żeby im ją dał.

Moje koleżanki uczyły się rozkoszy z sadomasochistycznego teatru, w którym grały de facto role uciśnionych niewinności. Wprowadzano je w seks tak, żeby im go zabrać. Miały przeżywać Erosa w ukłonie przed władzą, w byciu poddaną, w okazywaniu holdu, ale też w rezygnacji z autonomii. To było okaleczanie, z którego należało czerpać przyjemność. Obie strony podniecała bierność, bezsilność i słabość, i chyba poczucie zagrożenia, bo trudno było czuć się tu bezpiecznie. Pachniało gwałtem. Jesteśmy przy Jezusie odartym z sukni i wystawionym na przemoc. Podczas drogi krzyżowej oglądaliśmy bezsilną ofiarę ze zgrozą i poczuciem winy, ale przy okazji procesji Bożego Ciała mogliśmy patrzeć na bielanki z przyjemnością i odnajdywać rozkosz w relacjach władzy. Psychologia nazywa coś takiego perwersją.

SZANTAŻ SMUTKIEM

Nie dziwię się, że Kościół ma problem z pedofilią. Dziecko, a więc ktoś niedojrzały, jest w tym modelu erotyzmu idealnym obiek-



tem pożądanía. Idealnym, bo nie zagraża. I tu musimy jeszcze raz zapytać o mężczyzn.

Fundamentem całej tej struktury jest ich strach przed seksem i strach przed kobietami. Legenda mówi, że św. Stanisław Kostka mdlał na dźwięk brzydkiego wyrazu. Dla kogoś takiego kontakt z dojrzałą i świadomą siebie kobietą musiałby być skrajnie trudny. Niewinna dziewica, najlepiej zawsze dziewica, bez względu na to, co się z nią robi, jest w podobnej sytuacji dobrym rozwiązaniem. Po kastracyjnym treningu, jaki przechodzą katolicy, seks musi być rzeczywiście przerażający. Ilu uczuć i pragnień muszą się wyrzec, żeby na wzór Jezusa okazać posłuszeństwo Ojcu! Tu nie chodzi o „zwierzęcą” – jako to się mówiło w Kościele – fizjologię, ale przede wszystkim o emocje. Żeby mieć udany seks, dobrze mieć do nich dostęp i choćby przybliżoną emocjonalną równowagę.

Do tego trzeba autonomii i dojrzałości, trzeba wyjść z rodzinnego domu i zdobyć niezależność. Tymczasem Kościół funduje wiernym sytuację jak z podręcznika o toksycznej rodzinie, z której bardzo trudno się wydostać.

Bóg Ojciec nie lubi seksu, zakazuje i ogranicza dostęp do przyjemności. Dla własnego dziecka wybrał niepokalane poczęcie, co oznacza, że jego stosunki z Marią Panną są od strony erotyki, delikatnie mówiąc, chłodne. Najświętsza Paniienka rodzi Boga syna, ale żyje z aseksualnym św. Józefem, zaledwie opiekunem, a nie partnerem, na dodatek patronem świątobliwych i czystych młodzieńców. W zwyczajnych ludzkich rodzinach często się zdarza, że kobiety związane z nieobecnyimi, a przy tym autorytarnymi partnerami, przelewają emocjonalne deficyty na dzieci, i to niekoniecznie w najzdrowszy dla nich sposób. Święta Rodzina nie stanowi tutaj chyba wyjątku. Depresyjna Matka Boża, smutna Czarna Madonna staje się także „naszą Matką” i tak jak inne toksyczne mamy nie daje po prostu żyć katolikom. Domaga się od nich oddania w „macierzyńską niewolę miłości” i przestrzegania ojcowskich zakazów, a przy tym szantażuje smutkiem, jeśli ktoś z dzieci za bardzo się uniezależni. „Nie bądź smutna, o Panno Maryjo!” – wszyscy, którzy mieli choćby powierzchowny kontakt z Kościołem, na pewno pamiętają te zaklęcia.

W „Fiat”, które połączyło Maryję z Bogiem, jej rola ograniczała się do zgody na Boskie plany. Matka najwyraźniej usiłuje

powtórzyć tę samą emocjonalną dynamikę ze swoimi dziećmi.

Nie stój, nie czekaj! – co robić? – uciekaj! Tyle że od toksycznej mamy nie tak łatwo się uwolnić. Bliskość z nią nie jest satysfakcjonująca, bo nie ma w niej miejsca na wolność, ale bez bliskości z mamą ciężko żyć i ciągle się do niej tęskni. Z jednej strony lęk i potrzeba ucieczki, z drugiej pragnienie odwrotu i opieki. „Macierzyńska niewola miłości” to niestety nie miłość. Uzależnia, zamiast wyposażać dzieci w poczucie autonomii, konieczne przy budowaniu dojrzałych związków.

W takim układzie poszukiwania miłości z innymi kobietami kończą się fiaskiem, bo dziecko toksycznej mamy żyje w emocjonalnym klinclu: chce i nie chce, pragnie i boi się. Związki, które umie budować, ciągle okazują się nie do zniesienia. Realna bliskość wywołuje panikę, bo grozi powtórzeniem historii z mamą, a każde wymaganie stawiane przez partnerkę kojarzy się z dusznym dzieciennym pokojem.

OBRONA PRZED POKUSĄ

Jakimś wyjściem jest naśladowanie Ojca, to znaczy zapanowanie nad kobietą i jej seksualnością, a więc poddanie jej ścisłej kontroli. Pomaga w tym nagromadzona agresja, a jest jej tym więcej, im więcej zakazów dotyczących erotyki. Na ich brak w katolicyzmie nie można narzekać. Im bardziej ćwiczymy się w czystości, tym większy bagaż problemów przeniesiemy w realny związek. Pierwszym będzie kłopot ze spontaniczną, nieobarczoną poczuciem winy ochotą na seks.

Katolicką męską pokusę seksualną możemy zobaczyć – wystarczy sięgnąć po kuszenie św. Antoniego. Temat wiele razy powracał w malarstwie i wyrażnie fascynował. Otóż św. Antoni jest w tych fantazjach nieodmiennie bierny. Nie ma w nim pożądanía, seks przychodzi z zewnątrz w postaci kobiet. W starożytności ludzie też fantazjowali o męskim libido, ale wyglądało to zupełnie inaczej. Kosmaty satyr miał wzwód jak należy i uganiał się za nimfami. Pokusa św. Antoniego nie polega na tym, że chciałby – dajmy na to – pójść na podryw. Nie widziałem obrazu, na którym musiałby sobie radzić ze stojącym sztywno członkiem, który domaga się seksu niezależnie od jego mądłów. Św. Antoni omdlewa, a atrakcyjne kobiety otaczają go i wabią. To one proponują

mu romans i umierają z ochoty, żeby go obśłużyć, choć po nim nie widać, żeby był jakkolwiek podniecony. On tylko odmawia.

Na dobrą sprawę trudno zgadnąć, co też owe piękne kobiety widzą w św. Antonim, bo wyraźnie brakuje mu męskich uroków. Święty jest skrajnie nieatrakcyjny: zniszczone ciało w jakichś brudnych szmatach, a na dodatek osoba, z którą nie da się przyjemnie spędzić choćby jednej chwili. To ważne szczegóły.

W wersji oficjalnej święty broni się bohaterem przed pokusą. Ale przecież w tej sytuacji jest bardziej dzieckiem niż mężczyzną. Seks, który proponują mu kobiety, przypomina macierzyńską opiekę. Czy nie o niej skrycie marzy katolicka męskość? To nic kompromitującego, wszyscy jej potrzebują, tyle że dojrzały człowiek jest tego świadomy, akceptuje swoje potrzeby, może wziąć to, czego mu akurat brakuje, i wrócić do roli dorosłego. Tu jest chyba inaczej. Nieatrakcyjny i okaleczony mężczyzna marzy o kimś, kto zajmie się nim mimo wszystko, a właściwie na przekór wszystkiemu, będzie do dyspozycji jak matka, chociaż niemowlak jest niezdolny i nic nie może dać w zamian. Nie wygląda na to, żeby św. Antoni chciał przerwać tę grę i odnalazł się w innej roli. On będzie grymasić w nieskończoność. W jego fantazji im bardziej się opiera, tym bardziej kobiety o niego zabiegają. Jak maluch, który zaciął się w płaczu i chce mieć matkę na własność, bez żadnych granic. Obawiam się, że deficytu, który się pod tym kryje, nie da się w ten sposób wyrównać, bo – jak już powiedzieliśmy – realny kontakt budzi mimo wszystko lęk.

Nie powinniśmy także zapominać, że w historii św. Antoniego kobiety są wysłanniczkami szatana. Złośliwie nastają na męską cnotę, a jak wiadomo, diabelskim kno-

waniom trzeba stanowczo przeciwdziałać. Katolicyzm lubi przypisywać agresję tym, w stosunku do których sam jest agresywny, i tak jest chyba również w tym przypadku. Kuszące św. Antoniego kobiety zamieniają się w nierządnicę i w ten sposób spłot lęków i pragnień zostaje perwersyjnie rozwiązany. Z jednej strony mężczyźni wychowani na podobnych historiach nie kojarzą seksu z bliskością i kontaktem (seks z prostytutką nie przewiduje takich rzeczy), z drugiej mogą traktować z pogardą kobiety, które przejawiają jakieś erotyczne pragnienia. Prostytutek się w chrześcijaństwie nie szanuje, a w praktyce pogarda łatwo zamienia się w agresję.

„Krew nie woda, majtki nie pokrzyw” – mawiały mądre starsze panie, kiedy byłem dzieckiem. Życia nie da się uniknąć i cały opisany wyżej spłot strachu, pragnień i skłonności do agresji daje o sobie znać, kiedy odzywa się Eros. Seks rzeczywiście przybiera w ten sposób formy sadomasochistyczne i fantazja o Męce Pańskiej staje się rzeczywistością:

Stoi Pan Jezus odarty z sukni.
O, jakże cierpi, jak bardzo smutny.

Prawdziwymi ofiarami tego wyobrażenia są kobiety i dziewczynki wtłaczane w teatr czystości i dziewictwa, osadzone w hierarchii jako pełne wdzięku i bezzilne służebnice Pana oraz innych panów. Istoty, które pozabawia się kontroli nad własnymi ciałami, którym odbiera się w Polsce edukację seksualną i bez cienia litości karze za seks jedną z najbardziej restrykcyjnych ustaw antyaborcyjnych. Cierpią także ofiary molestowania i gwałtów. Skala zjawiska świadczy o tym, że jest ono w Kościele raczej ukrywana normą niż wyjątkiem. ●

CZUŁE SŁÓWKA

Przymyki

Rada Języka Polskiego została zdema-skowana: „Łatwo sprawdzić, co za czer-wona hołota tam zasiada. To nie jest jakaś mityczna organizacja, to zwykli marksiści, którzy jak co dzień próbują wynarodowić Polaków”.

Michał Rusinek*



Kilka dni temu na stronie inter-netowej Rady Języka Polskiego ukazała się opinia dotycząca wyrażenia „w Ukrainie” / „do Ukra-iny”, „na Ukrainie” / „na Ukrainę”. Niedługo potem w serwisach społecznościowych rozpętała się burza, której warto się przyj-rzeć.

Zacznijmy jednak od samej opinii. Ra-da – w której zasiadam i ja – postanowiła ją wydać, ponieważ spływają do niej pyta-nia i wnioski dotyczące użycia przymków z nazwą „Ukraina”. Autorzy opinii zwraca-ją uwagę, że zwyczaj językowy preferują-cy przymek „na” ukształtował się „bardzo dawno, kiedy zupełnie inne były granice państw oraz poczucie wspólnoty państwo-wej czy dynastycznej”, czyli stanowi „relikt dawnej rzeczywistości”. Wprawdzie przy-imek „na” dotyczy zwykle państw wyspiar-skich, terytoriów zależnych lub takich, które kiedyś np. wraz z Polską stanowiły wspólny organizm państwowy, jak Litwa, Białoruś czy Ukraina. Mimo że obecnie są to państwa, a nie części innych państw, zwyczaj językowy pozostał taki sam. Do-piero wojna w Ukrainie, będąca przecież wojną o niepodległość, którą próbuje się jej zabrać, spowodowała w wielu użytkow-nikach języka polskiego chęć zmiany zwy-czaju, by tym sposobem podkreślić soli-darność z obywatelami sąsiedniego, nie-podległego kraju. Badania korpusu języka polskiego wykazują, że od czasu wybuchu wojny coraz częściej posługujemy się kon-strukcją „w Ukrainie”.

W opinii Rady czytamy: „Biorąc pod uwagę szczególną sytuację i szczególne odczucia naszych ukraińskich przyjaciół, którzy wy-rażenia na Ukrainie, na Ukrainę często od-bierają jako przejaw traktowania ich pań-stwa jako niesuwerennego, Rada Języka Polskiego zachęca do szerokiego stosowa-nia składni »w Ukrainie« i »do Ukrainy«”. Podkreślam: zachęca, a nie narzuca tej for-my jako jedynej poprawnej.

Opinia ta jest, jak widać, bardzo wyważo-na. Skąd więc burza? Zajrzyjmy na Twitter.

Niejaki Wójtek pisze, że opinia Rady jest „durna”, i proponuje, by robić „dokład-nie odwrotnie niż każe »umysłowe lewac-two«”. Nieśmiało zwracam Wójtowi uwa-gę, że Rada niczego nie każe, zaledwie za-chęca. Paweł Wawrzynowski uważa, że opinia Rady jest przejawem „szerszej in-fantyilizacji Zachodu. Wschód ma broń, my mamy kredki i »inkluzywność języka«”. Za-pewniam pana Pawła, że język także jest rodzajem broni, zwłaszcza w rękach prop-agandzistów. I że co jakiś czas warto się przyglądać własnemu językowi, by np. nie ranić nim tych, których dostatecznie ranią bomby.

Niektórzy postrzegają język jako element tradycji, którego nie wolno nam dostoso-

wywać do współczesności. Pisze bartosz miro: „Tylko i wyłącznie NA Ukrainie jest formą poprawną, tak jest od dziesiątek lat”. To nieprawda, panie Bartoszu. Konstruk-cja z „w” pojawiała się już w XIX wieku, ale rzadziej. Ona także była poprawna. Pan Robert Kadłubski proponuje: „Niech mnie Rada Języka Polskiego pocałuje w du-pe”. Tu chyba mogę zaryzykować odpo-wiedź w imieniu całej Rady: nie byłibyśmy tą propozycją zainteresowani nawet, gdy-by napisał pan „dupę”, przez „ę” na końcu. O tej części ciała wspomina – acz metafo-rycznie – pani Iga Łyczkowska: „To do Du-py Taka Rada Języka Polskiego!!! Może lep-sza będzie, jak zmieni nazwę na Rada Ję-zyka Ukraińskiego!!! Na zawsze pozosta-nie zwrot NA UKRAINIE i Koniec Kropka-aaaa!!!”. Mam nadzieję, że nie skoczyło pa-ni zbyttno ciśnienie, bo liczba wielkich li-ter i wykrzykników wskazuje na pani nad-mierne wzburzenie. Jeśli woli pani mówić „na Ukrainie” – Rada tego naprawdę nie za-brania.

Wielu użytkowników Twittera proponu-je zlustrować członków i członkinie Rady. Lemoniadowy Joe Bajden zauważa: „Skład Rady mocno zideologizowany, m.in. dzien-nikarz Wyborczej”. Jeśli chodzi mu o mnie, to małe sprostowanie: pisywanie do gaze-ty nie czyni z nikogo dziennikarza. Beast from the East zadaje pytanie poniżej pa-sa: „Ta rada to wiekowo jak wygląda?”. Wy-praszamy sobie! Ronin Renegat natomiast uważa opinię Rady za przejaw „walki z Pol-skością” (z szacunkiem pisaną wielką lita-rą). „Nie dziwota, że RJP ideologizuje język. Wystarczy wygooglować profile FB człon-ków rady i wszystko staje się jasne. Podpo-wiedz dla tych, którym się nie chce: moż-na zaobserwować wszelkie możliwe na-kladki na zdjęcia profilowe” – zaleca nieja-ki Wolfman. Wtóruje mu Andy Wild: „Ła-two sprawdzić, co za czerwona hołota tam zasiada i jaka przeszłość jest z nią związa-na... To nie jest jakaś mityczna organiza-cja, to zwykli marksiści, którzy jak co dzień próbują wynarodowić Polaków... Realizu-ją plan”. Niejaka Laleczka jest innego zda-nia co do składu Rady: „A kto siedzi w ra-dzie języka polskiego? Ukraińcy, czy pol-skie szmaty, czyli ukraińskie onuce? Czas najwyższy zrobić porządek z gośćmi i pol-skimi szmatami, ich sługusami i powiedz-my głośno: zdrajcami Polski”. Antyukra-ińskie tony pojawiają się wielokrotnie, na przykład u wolnego strzelca: „Przed-e wszystkim rodzi się pytanie: co nas obcho-dzą tego typu uczucia jakichś Ukraińców? Jakim trzeba być antypolskim idiotą, żeby akceptować ingerencję jakichś Ukraińców, czy jakichkolwiek innych obcych, w język polski?”. Dr. Bajraktar wieszczy: „Niedłu-go Rada Języka Polskiego wprowadzi nam cyrylicę...”, i rozumiem, że chodzi mu o jej ukraińską wersję, co potwierdza użytkow-nik o wdzięcznym pseudonimie Wateluma-jorze: „Niedługo Rada Języka Polskiego za-leci używanie »djakuju« i »bud’ laska«”. Są tacy, którzy proponują gotowe rozwiąza-nia, na przykład andiandiesej: „Zamiast na-rzekać, trzeba odebrać lewicy instytucje ta-kie jak Rada Języka Polskiego”.

Sluchając tego jadowitego ćwierkania rze-komych obrońców tradycji, języka i pol-skości – można dojść do wniosków pesy-mistycznych. Ale i zaryzykowałbym jeden optymistyczny: dzięki twitterowej burzy in-formacja o opinii Rady rozeszła się bardzo szeroko i prawdopodobnie uświadomiła wielu ludziom ważność drobnej sprawy, ja-ką jest przymek, dla budowania językowej wrażliwości i empatii. ●

*Michał Rusinek – wyklada (literaturo-znawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekreta-rzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Przelicytowaliście

Społeczeństwa skręcają na prawo. Czy postępowcy nie powinni zadać sobie pytania, dlaczego?

Marcin Matczak*



Temat aborcji to pole minowe, ale trzeba w celu szkoleniowym na nie wejść – nie po to, by rozwa-żać ją w sensie medycznym, lecz prawnym i językowym. Komentarze po ostatnim felietonie o tolerancji udo-wodniły, że nic tak nie ilustruje naszych polaryzacyjnych namiętności jak stosu-nek do przerywania ciąży. Może dzięki dyskusji aborcyjnej, tej matce wszystkich polaryzacji, możemy nauczyć się czegoś o polaryzacji w ogóle?

Jest w tamtym felietonie zdanie, które oddaje myślenie dużej części społeczeń-stwa także o aborcji: „Toleruję nie wtedy, gdy akceptuję, ale też wtedy, gdy uważam, że to, co robisz, jest złe, i wolałbym, żebyś tego nie robił. Ale ponieważ chcemy żyć w pokoju, nie ingeruję w twoje życie”.

Wielu ludzi, którzy uważają aborcję za zło, nie sądzi, że należy jej prawnie zaka-zywać, bo są tolerancyjni, wiedzą, że za-kaz nie zwalcza aborcji, ale jedynie spro-wadza ją do szarej strefy, lub uznają siło-we narzucanie przekonań religijnych za przeciwnskuteczne. Równie dobrze moż-na by prawem zmuszać do przyjmowania komunii świętej – przecież w myśl nauki Kościoła w ten sposób ocala się nie tylko życie doczesne, ale też wieczne.

Zamiast jednak na tym tolerancyjnym stanowisku budować poparcie dla mądre-go prawa, przedstawiciele frakcji pro-cho-ice zdają się walczyć nie o tolerowanie aborcji, ale o jej pełną akceptację. I tę wal-kę przegrywają. W USA i Polsce niedaw-no zaostrozono regulacje aborcyjne decy-zjami sądów konstytucyjnych. Co więcej, stało się to w czasach postępującej ateiza-cji społeczeństwa, upadku Kościoła i ma-sowych apostazji. Dlaczego?

Ponieważ społeczeństwa stają się bar-dziej konserwatywne i głosują na konser-watywnych polityków, a oni powolu-ją do sądów konstytucyjnych konserwa-tywnych sędziów. Oczywiście przy tym naginają prawo – w USA odmówiono no-minacji liberalnemu Garlandowi, u nas wciąśniono do Trybunału Konstytucyjne-go dublerów – ale nawet mimo tych tri-ków w sądach panowałaby konserwatyw-na większość, bo społeczeństwa skręca-ją na prawo. Czy postępowcy nie powinni zadać sobie pytania, dlaczego tak się dzie-je, i wniknąć w sprawę głębiej, niż sięgają argumenty z talibów i Gileadu?

Może walcząc o akceptację zamiast to-lerancji, postępowcy przelicytowali? Mo-że język, którego używają, aby przekonać drugą stronę, by bezwarunkowo akcep-towała aborcję, zamiast tego powoduje odrzucenie? Weźmy przykład USA, żeby zejść z naszego podwórka. Jednym z ar-gumentów pro-choice jest przedstawianie aborcji jako samoobrony. Przed czym? Na przykład przed pasożytem, za jaki uznaje się ludzki płód.

Powiecie, że transparent „pasożyty nie mają praw”, pokazany 19 maja 2019 ro-ku na manifestacji pro-choice w Huntsvil-le w Alabamie, można zbagatelizować. To lewicowi harcownicy, którzy są proble-mem, ale nie definiują postępowej narra-

cji w sprawie aborcji. Problem w tym, że gdy sięgnie się do stanowisk o wiele po-ważniejszych, wcale nie jest lepiej.

W szeroko cytowanym filozoficznym ar-tykule Judith Jarvis Thomson „Obro-na aborcji” ludzki płód jest porównany do sławnego nieprzytomnego skrzypka, obok którego budzisz się rano, a który le-ży do ciebie plecami:

„Stwierdzono u niego śmiertelną cho-robę nerek, a Towarzystwo Miłośników Muzyki przejrzało wszystkie dostępne re-jestry medyczne i stwierdziło, że tylko ty masz odpowiednią grupę krwi, by pomóc. W związku z tym porwali cię i ostatniej nocy układ krwionośny skrzypka został podłączony do twojego, aby twoje nerki mogły być wykorzystane do ekstrakcji tru-cizn z jego krwi, jak również twojej wła-snej. Dyrektor szpitala mówi ci teraz: »Słu-chaj, przykro nam, że Towarzystwo Miło-sników Muzyki ci to zrobiło – nigdy byśmy na to nie pozwolili, gdybyśmy wiedzieli. Ale mimo to zrobili to, a skrzypek jest te-raz podłączony do ciebie. Wyjęcie wtycz-ki oznaczałoby zabicie go. Ale nieważne, to tylko na dziewięć miesięcy. Do tego cza-su wyleczy się ze swojej choroby i będzie mógł bezpiecznie zostać odłączony«”.

W poważnych pracach, między innymi w książce „Przełamanie impasu aborcyj-nego: Od wyboru do zgody”, Eileen Mac-Donagh stawia tezę, że niechciany płód atakuje matkę, więc ma ona prawo do sa-moobrony (aborcji), a państwo ma obo-wiązek tę samoobronę sfinansować. Mat-ka broniąca się przed płodem jest porów-nywana do osoby dławiącej się kawał-kiem jedzenia bądź zaatakowanej przez nowotwór lub wirusa (te metafory autor-ka uznaje za nieadekwatne), a także za-atakowanej przez już urodzone dziecko, które chce wykorzystać jej organy, przez niedźwiedzia grizzly albo wilka (gatu-nki chronione) oraz przez osobę chorą psy-chicznie (te są według niej adekwatne).

Jednocześnie lewica w USA jest bardzo uwrażliwiona na tak, jej zdaniem, bru-talne manipulacje językowe, jak nazywa-nie ciężarnych kobiet „matkami”, a pło-du „dzieckiem”. Do tego stopnia, że media muszą się tłumaczyć, dlaczego na ante-nie używają tych „naładowanych emocjo-nalnie” terminów (kazus publicznej sta-cji NPR).

Powtarzam to do znudzenia: po drugiej stronie barykady macie nie bezmózgich wyznawców dogmatu, ale – w większo-sci – unikaczy różnorodności, konfliktu i kontrowersji, którzy źle znoszą ataki na ważny dla nich porządek normatywny. Gdy ktoś uznaje płód za pasożyta i agre-sora, brutalnie ten porządek atakuje. Dla prawicowych populistów taki atak jest prezentem, bo wtedy unikacze do nich politycznie lgną. Gdy ktoś argumentuje, że zakaz aborcji jest nieskuteczny w zwal-czaniu zła, a powoduje zło większe, bo za-bija kobiety, racjonalna argumentacja jest dla populistów problemem.

Poza tym nawet ci konserwatyści, którzy są tolerancyjni, gdy słyszą, że to, co z czasem ma się stać ludzkim dziec-kiem, powinno być traktowane jak Obcy z „Ósmego pasażera Nostromo”, stają się, jakby wam to powiedzieć, nieco mniej to-lerancyjni, bo to jest jednak jakieś pomie-szanie porządków.

Dlatego polaryzująca, nielicząca się z emocjami komunikacja jest przeciwsku-teczna – nie tylko w sprawie aborcji. Mi-mo to postępowcy wciąż ją stosują. Mówi się, że szaleństwo to robienie w kółko te-go samego i oczekiwanie innych rezulta-tów. Może więc warto robić to inaczej? ●

*Marcin Matczak – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

PO PRAWDZIE

Polska PiS
jak drive-
-thru
w Pcimiu

Tak im weszło w krew, że kłamia nawet w najdrobniejszych sprawach.

Agnieszka Kublik



Myślisz, że cię to nie dotyczy? To, że PiS? To, że premier kraju kłamie? Że prezes Polski konfabuluje?

Bo się przyzwyczaiłeś? Bo wszyscy kłamia? Że to przetrzymasz? I w końcu wszystko będzie dobrze?

Mylisz się.
Siedmiu na dziesięciu Polaków nie ma zaufania ani do rządu Mo-

rawieckiego, ani do samego premiera. A mimo to dla tej władzy kłamstwo jest łatwiejsze od prawdy. Morawiecki został dwa razy sądownie złapany na kłamstwie. Mówi prawdę chyba tylko wtedy, gdy milczy.

Ta ekipa po prostu lubuje się w kłamstwach. Sprawiają, że przez chwilę mogą poczuć się lepiej, zachować twarz, podwyższyć sobie samoocenę, wygrać pojedynkę na słowa. Kłamstwo działa jak narkotyk, kłamca jest jak na haju.

To piekielnie poważny problem – być okłamywanym tak państwo. Tak instytucjonalnie. Tak bezkarnie. Tak z przyzwyczajenia.

Będziemy się z tym czuć coraz gorzej (psychologowie mówią o malejącym dobrostanie). To rodzi problemy z akceptowaniem rzeczywistości i samego siebie. Dotyka nas tu i teraz, ale i na przyszłość. Przyzwyczajenie się do patologii, jaką jest kłamstwo publiczne, jest niebezpieczne. Może oznaczać internalizację kłamstwa. Narodową internalizację. Sami staniemy się kłamstwem.

Kłamstwa dotyczą kryzysu globalnego, wojny, gospodarki, pandemii, konstytucji, prawa, historii, ale i blachostek. Dotyczą wszystkiego – w państwie PiS kłamstwo to rutyna.

4 czerwca Kaczyński ogłosił w podwarszawskich Markach, że na wakacje jedzie w Polskę (.Ogłaszam mobilizację PiS i całej Zjednoczonej Prawicy. Ruszamy w drogę z opowieścią, zaczynamy

objazd po kraju, to stara, wypróbowana metoda”), miał objechać wszystkie powiaty (314 powiatów i 66 miast na prawach powiatu). I przerwał tournée w środku wakacji, pod koniec lipca, w czasie gdy Sejm jeszcze pracował (a to jest miejsce pracy Kaczyńskiego), twierdząc, że w wakacje nie miał jeździć i sam się udaje na wakacje. A prawda jest taka, że te objazdy pokazały mialkość i lęk władzy przed narodem. Tego nie dało się dalej ciągnąć, Kaczyński już nie ma słuchu społecznego na problemy. Zbyt często sam kłamał i był okłamywany.

Przyzwyczajanie się do patologii, jaką jest kłamstwo publiczne, może oznaczać internalizację kłamstwa

Albo te amerykańskie sklepy z obajtkowego Pcimia. Kaczyński od dawna nachwalić się Obajtką nie może, widać wierzy we wszystko, co mu ten nawcisła. Bo skąd by wiedział, jak wygląda handel w Pcimiu? A 20 lipca w Grójcu opowiadał tak: „Mamy w Polsce takiego niezwyklego człowieka. Nazywa się Daniel Obajtek. Zanim został szefem jednego i drugiego koncernu, był wójtem gminy Pcim. Otóż on w tej gminie dokonywał cudów. Stworzył jedyny do tej pory w Polsce sklep w stylu amerykańskim, gdzie można wjechać samocho-

dem i prosto z samochodu kupować, brać z półek. W Stanach jest dużo takich sklepów, w Europie to nie jest specjalnie rozpowszechnione, a w Polsce jest do tej pory jedyny taki sklep”.

Obajtkowego sklepu nie było i nie ma. I pewnie nie będzie. Gdy kłamstwo ma status publiczny, i sam kłamca może zostać oszukany.

Weźmy Morawieckiego. Ujawnione 28 lipca przez portal Poufna-rozmowa.com maile Dworczyka znowu szokują. Morawiecki zachwycony własną frazą każe podwładnym obdzwaniać pokornych dziennikarzy, by rozpropagowali w świecie jego słowa. Urzędnicy dzwonią („Pereira, Trzmiel, Sakiewicz – obdzwonieni. Karnowski – zaraz się widzę” – raportuje szefowi rządu doradca), a pokorni – propagują.

Morawiecki zagadnięty o to na konferencji prasowej od razu wpada w rutynę kłamstwa. „Podam może taki przykład, gdy redaktor z »Gazety Polskiej« zadzwonił – podając się za pracownika kancelarii ówczesnego premiera Tuska – do sędziego Ryszarda Milewskiego, z życzeniem, aby sprawę Amber Gold przejął konkretny sędzia. Milewski pozytywnie zareagował na tę prośbę. To przykład haniebnego zachowania, z którego powinny zostać wyciągnięte konsekwencje”.

A jak było naprawdę? Prawicowy dziennikarz, udając urzędnika z kancelarii premiera, zadzwonił do prezesa gdańskiego sądu okręgowego, gdzie toczył się pro-

ces Amber Gold. Rozmawiał z Milewskim trzy razy, nagrał tylko jedną, ostatnią rozmowę. Wynika z niej, że Milewski miał z „urzędnikiem Tuska” ustalać termin posiedzenia sądu w sprawie zażalenia obrońcy Marcina P. na areszt szefa Amber Gold.

Czyli Milewski nie ustalał z kancelarią premiera żadnego „wyroku na życzenie” i nie ustalał składu sędziowskiego, bo nie miał wpływu na przydział sprawy konkretnemu sędziemu. A konsekwencje były. Ówczesna Krajowa Rada Sądownictwa błyskawicznie zaopiniowała odwołanie Milewskiego. Stracił funkcję prezesa, został przeniesiony do sądu w Białymstoku.

Ale jak ta prowokacja wyglądała naprawdę, nie wiemy. „Gazeta Polska Codziennie” nie ujawniła oryginalnego nagrania. Głos prowokatora zastąpiono „głosem lektora”, „ze względu na ochronę źródła informacji”.

Morawiecki, chcąc okłamać dziennikarzy, a więc nas wszystkich, w swojej sprawie, nakłamał w innej. Niechcący pokazał, że już nawet nie trzeba prowokatora, władza kompromituje się sama.

Kłamca nie potrafi już odróżnić fikcji od rzeczywistości. Leczenie z kłamstwa to długa i żmudna droga. Najtrudniej jest, gdy kłamca nie przyjmuje do wiadomości, że kłamie. Bo uwierzył w swoje kłamstwa. A kto pomoże okłamywanym w majestacie państwa? ●

Twardoch
na Spitsbergenie



Żeglarska wyprawa w głąb fiordów i lodu

Obserwuj tylko na
wyborcza.pl/twardoch



• Na Aveni-
da de Ceuta
w Lizbonie
mężczyzna
przygotowuje
zastrzyk nar-
kotykowy

FOT.GONÇALO
FONSECA



Haszysz z Maroka. Kokaina najlepsza, chcesz?

To pierwsze słowa, które słyszę po przyjeździe do centrum Lizbony. Już przez okno taksówki słyszę oferty kilkunastoosobowej grupy. Wsiadam, rozpycham się. Będę się dziwić kilka razy, po kilkunastu przywyknę. Portugalia bowiem to jedyny kraj w Europie, który zdekriminalizował posiadanie wszystkich narkotyków, łącznie z najtwardszymi.

Gonçalo nigdy nie brał, ale drągi były wszędzie, chociażby w rodzinie jego dziewczyny. – Wracam z wycieczki szkolnej, w podstawówce, moja szkoła była na przedmieściach, niedaleko Casal Ventoso. Na to osiedle mówiło się „supermarket dragów”. Przyklejony do okna autobusu zobaczyłem mężczyznę dającego sobie w żyłę na środku ulicy.

To samo mógłby powiedzieć każdy Portugalczyk, bo uzależnionych od heroiny było wtedy 1 proc. całego społeczeństwa.

– Ćpali wszyscy – tłumaczy Gonçalo. Dzisiaj jest fotografem, pracuje dla dużych redakcji, głównie amerykańskich. Pracował również nad tematem narkotyków, bo dekryminalizacja była jedną z najważniejszych zmian społecznych, które zaszły za jego życia w Portugalii.

Siedzimy w małej kawiarni na nabrzeżu w Porto, Gonçalo walczy z wiatrem, żeby odpalić skręcone go papierosa. – Heroinę brali i biedni, i bogaci, młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni. Bywały dni, gdy policja znajdowała kilkanaście ciał na ulicy.

Narkotyki po raz pierwszy w Portugalii pojawiły się w latach 60. Po setkach lat zamorskich podbojów portugalskie imperium kolonialne właśnie zaczynało się związać. W dawnych posiadłościach – Angoli, Mozambiku – wybuchały konflikty zbrojne, kolonie walczyły o niepodległość. Masowy pobór wysłał na front afrykański dziesiątki tysięcy młodych chłopaków, którzy właśnie tam zetknęli się pierwszy raz z dragami,

STOLICA LEGALNYCH STRZYKAWEK

Kiedy po dawkę metadonu dla policjanta
przyjechali koledzy w radiowozie,
kanadyjska minister zdrowia prawie zemdlą

MATEUSZ MAZZINI



głównie szmuglowanymi z Indii marihuaną i haszyszem. Ale póki rządził António Salazar, prawicowy despota, wszelkie publiczne czyny uważane za dewiację były surowo karane. Więzienie groziło nawet za picie coca-coli, włóczęgostwo czy chodzenie po ulicy bez butów. Dopiero po upadku dyktatury w 1974 r. złagodzone prawo, a przede wszystkim – normy społeczne. Portugalia otworzyła się na świat, a Portugalczycy zaczęli przyjmować go garściami.

Gonçalo: – Ludzie chcieli wolności za wszelką cenę. Takiej społeczności łatwo jest wcisnąć cokolwiek.

METADON PO KRYZYSIE

Pierwsza była marihuana, wyparł ją haszysz. Heroina i kokaina pojawiły się pod koniec lat 80., za nimi HIV. W 1994 r. Portugalia zajmowała czwarte miejsce w Europie pod względem całkowitej liczby zakażonych. Na początku XXI w. była liderem. Do tego zorganizowana przestępczość. Władze zareagowały polityką twardej ręki: naloty, aresztowania, zaostrzono kary za posiadanie i dystrybucję, ale do Casal Ventoso, skąd heroina szła na całą Portugalie, policja nawet nie wchodziła. Większość uzależnionych stanowili tam bezdomni, a dilował prawie każdy.

Punktem przełomowym miała być noc, w której z przedawkowania zmarła córka ministra sprawiedliwości.

Gonçalo mówi o 1998 r.: – Prawica chciała twardej ręki, ale samorządy zaczęły wprowadzać programy zastępowania ciężkich narkotyków metadonem. Chyba wtedy się zmieniło.

Każdy, kto był uzależniony od twardych drógów – haszyszu, heroiny, kokainy – mógł się zarejestrować w publicznym programie. Metadonu, syntetyku z ro-

dziny opiatów, powszechnie już dziś używa się jako substytutu przede wszystkim heroiny. Działa podobnie, ale nie wywołuje euforii czy otępienia, zaspokaja głód narkotykowy.

Drugi krok – pacjent, nie narkoman, czyli rewolucja językowa. Podczas pracy nad tym tekstem żaden z moich rozmówców ani razu nie powiedział o osobach uzależnionych inaczej niż „pacjenci”.

Drogę pacjenta przez obecny system opisuje mi dr João Goulão, ojciec portugalskiej dekryminalizacji narkotyków. SICAD, czyli Centralny Dyrektoriat ds. Uzależnień, którym kieruje od kilkunastu lat, znajduje niewielki dwupiętrowy budynek w rogu uniwersyteckiego kampusu. W świecie narkotykowych ekspertów Goulão jest celebrytą. – Pamiętam, kiedy w Portugalii eksplodowały narkotyki. Rewolucja goździków się udała, Salazar upadł, kraj był wolny. Wcześniej marihuanę przywozili chłopcy, którzy walczyli w koloniach, ale cannabis w armii był tolerowany, dokładnie tak samo jak u Amerykanów w Wietnamie. Po 1974 r. było już inaczej. Miałem 20 lat, to był szal. Kraj zalały tony marihuany, wszyscy brali. To było coś nowego, świeżego, sexy. Smak wolności.

Na jego biurku unijna flaga, selfie stick i małe studio do transmisji w mediach społecznościowych. Na ścianach – zdjęcia z wpływowymi ludźmi, dyplomy. – Na początku, gdy milion osób zażywało narkotyki, rząd nie chciał się na nasze propozycje zgodzić. Establishment potrzebował tragedii, żeby uzmysłowić sobie skalę problemu.

Dlatego Goulão działał na własną rękę. – Zaczęliśmy od programu wymiany strzykawek. To był łatwy krok, nie trzeba było prosić polityków o zgodę, a AIDS dziesiątkowało kraj. Sporo dobrego zrobił też Kościół katolicki. Ale bywały przypadki, że ludzie podawali się za pracowników społecznych, wyłudzały pieniądze na leczenie od rodzin osób uzależnionych i znikali z kasą. No i dalej problemem był brak kompetencji, nikt nie szkolił ludzi do pracy przy narkotykach.

Dopiero w 1997 r. rząd przyjął ustawę regulującą formy pomocy w tym obszarze, a śmierć córki ministra sprawiedliwości udowodniła, że problem dotyczy każdego.

Kiedy dr Goulão zanosì do rządu pierwszy projekt dekryminalizacji narkotyków, krajem rządził socjaliści, a premierem jest António Guterres, obecny sekretarz generalny ONZ. Socjaliści wiedzą już, że do więzienia trafiają ludzie uzależnieni, a wcześniej nie łamali prawa. Problemem jest też Casal Ventoso, do którego policja nie wchodzi, podobnie jak ratownicy medyczni, bo karetki były okradane.

Dr Goulão: – Najważniejsze: przestaliśmy uważać, że samo branie narkotyków czyni z ciebie obywatela gorszej kategorii. A jak to wygląda w Polsce?

– Pomiędzy narkotykami i kryminałem stawia się raczej silny znak równości.

Przytaczam sprawę warszawskiej Pragi, gdzie przy szpitalu chcieli utworzyć centrum redukcji szkód – podobne do tych w Lizbonie. I pojawiły się ulotki, że okoliczne dzieci zaczynają ćpać.

Goulão: – Narkoman to pacjent z chroniczną chorobą.

KONIEC PRZESTĘPSTWA

Dekryminalizacja narkotyków zaczęła się w Portugalii w 2001 r. Przekonanie polityków zajęło więc cztery lata. Rok – lobbowanie, żeby ustawa w ogóle weszła do porządku obrad. Dr João Goulão wykorzystał ten czas na ogromną kampanię informacyjną, żeby w razie konfrontacji z politykami mieć społeczeństwo po swojej stronie. Ruszył w trasę, zjechał całą Portugalie. I szybko przekonał się, że wygrał, zanim na dobre zaczął. – Ludzie podchodzili do mnie i mówili, że każdy kogoś stracił, a jednocześnie „mój syn, moja córka nie są kryminalistami”.

Dekryminalizacji nie należy jednak mylić z legalizacją. W Portugalii branie narkotyków, nawet na własny użytek, jest wciąż czynem zabronionym, ale nie grozi już za to więzienie. Patrol policji ma prawo konfiskować narkotyki i wpisać pacjenta do panelu dla uzależnionych, chyba że narkotyki ma na 10 dni użytkowania. Powyżej limitu można uznać daną osobę za diler. Wtedy wszczynana jest już procedura karna, bo sprzedaż narkotyków to przestępstwo.

Panel dla uzależnionych, osobny dla każdej jednostki samorządowej, jest instytucją kompletnie nieopresyjną. Siedzą w nim psycholog, lekarz, pracownik społeczny, czasami też policjant. Spotkanie jest rozmową, nie przesłuchaniem, bo nie ma na celu udowodnienia niczego, tylko zdobycie informacji. Członkowie komisji pytają więc, skąd u da-

nej osoby narkotyki. Jeśli w sposób przekonujący udowodni, że zażywa rekreacyjne, albo jej dane wyświetlą się w systemie uczestników programu redukcji szkód, rozmowa kończy się w zasadzie niczym. Panel nie ma mocy sprawczej, nawet jeśli sytuacja wygląda gorzej. Ci, którzy są pod opieką programu albo jednej z organizacji pozarządowych, są natychmiast puszczani wolno. Osoby uzależnione, ale będące poza systemem, otrzymują tylko rekomendacje. Miejsce na szkoleniu, wskazanie możliwych terapii odwykowych, adresy, pod którymi szukać pomocy. Rekomendacje nie są jednak wiążące, więc taka osoba nie musi z nich korzystać. Może wrócić do brania, byle mieściła się w limitach.

Dlaczego 10 dni, a nie 12, 14? Kto to ustala? I czemu dla wszystkich typów narkotyków limit jest taki sam? – pytam Goulão.

– Decyzję podejmuje ministerstwo zdrowia, długo walczyliśmy, żeby nie był to resort sprawiedliwości czy spraw wewnętrznych. Chodziło o to, żeby problem medykalizować, a nie opisywać w kryminalnych tonach.

Cały system opiera się więc na wzajemnym zaufaniu, łącznie z zaufaniem pomiędzy osobami biorącymi narkotyki i policjantami. To od tych drugich zależy, czy kontrolowana przez nich osoba spotka się z represjami. Goulão twierdzi jednak, że współpraca działa, nawet jeśli obie grupy stoją po przeciwnych stronach. Do nadużyć ze strony mundurowych nie dochodzi, bo udało się ich przekonać, że celem programu jest walka o każdego członka społeczeństwa. Chodzi o to, by im pomóc, by nie przeszkadzać w dalszym życiu.

UPADEK MORALNY

Od dekryminalizacji narkotyków portugalska policja interweniowała 144 tys. razy w przypadku posiadania narkotyków. 82 tys. dotyczyło „użytkowników nieproblematycznych”, którzy mieścili się w limitach ministerstwa zdrowia. Użytkowników „problematycznych”, którzy dilowali na dużą skalę albo byli mocno uzależnieni i poza opieką państwa, było 16 tys. Spośród nich 12 tys., czyli 75 proc., przyjęło zaproszenie do systemowego leczenia. Terapię ukończyło blisko 10 tys. osób. Nie oznacza, że przestali brać narkotyki – najpewniej nie, ale nalg mają pod kontrolą czy w postaci zamiany heroiny na metadon.

Opowieści dr. João Goulão wydają się cukierkowo pozytywne. Powszechne poparcie społeczeństwa, wyrozumiały premier dający wolność działania, bezproblemowa dekryminalizacja, która w dodatku działa w sposób spektakularny.

Żadnych problemów? – pytam.

Goulão namyśla się, po chwili odpowiada: – Nie, w sumie nie.

W tegorocznych wyborach dopiero po raz drugi od upadku dyktatury Salazara w 1974 r. do parlamentu weszła formacja skrajnie prawicowa. Powstała w 2019 r. partia Chega, co po portugalsku znaczy „Dość”, zdobyła tym razem 12 mandatów w 230-osobowym parlamencie, aż o 11 więcej niż poprzednio. W jej programie znajdują się między innymi postulaty przymusowej chemicznej kastracji dla gwałcieli i innych przestępców seksualnych, a 44 proc. jej członków poparło w wewnętrznym referendum pomysł wprowadzenia kary śmierci za wybrane zbrodnie, między innymi pedofilię. W poprzedniej kampanii wyborczej lider partii André Ventura wielokrotnie mówił, że dekryminalizacja narkotyków to dowód upadku moralnego państwa.

Dr Goulão: – Prawicą się nie przejmuję, bo nie ma wiele do powiedzenia w parlamencie. Większym problemem jest niechęć ludzi, by stawiać na osiedlach pomieszczenia do bezpiecznego zażywania narkotyków pod okiem lekarzy i sanitariuszy. Dalej problem sprawiają nam najsilniejsze narkotyki. Heroina, kokaina. Ale przedawkowań mamy prawie najmniej w Europie, bo ludzie biorą świadomie, są wykształceni narkotykowo. Prowadzimy akcję mobilnych lab-tracków, roztawiamy je na festiwalach muzycznych – każdy może sprawdzić u fachowca, jaką naprawdę kupił substancję.

Przestępczość nie wzrosła? – pytam.

– Wręcz przeciwnie. Portugalczycy to generalnie bardzo spokojne społeczeństwo, nie ma tu gangów, nie to co Włochy czy Niemcy. A policja dzięki temu, że nie musi zajmować się każdym chłopakiem z jointem, ma czas i zasoby, żeby ścigać realnych kryminalistów.

Przyznaje, że o legalizacji marihuany już w Portugalii się rozmawia. Była debata, powstały pierwsze projekty prawne, ale temat spadł z agendy przez wybory.



WYPAD Z SYSTEMU

Andreia Alves jest koordynatorką projektów w CRESCER, jednej z najważniejszych organizacji działających na froncie narkotykowym. To kilkupokojowe biuro na wielkim blokowisku. Gdyby nie jednolite, różowe fasady, przypominałoby polskie osiedla. Po drugiej stronie czteropasmowej wylotówki z miasta, na wzgórzu, mieściło się Casal Ventoso, „supermarket z narkotykami”. 20 lat temu slums został wyburzony, postawiono tam bloki. To nadal jeden z najbiedniejszych rejonów Lizbony i wciąż bez trudu znaleźć można tam osoby biorące na ulicy nawet ciężkie dragi. Ale wszyscy, z którymi tu rozmawiam, jednogłośnie przyznają, że dzisiejsza rzeczywistość tego osiedla jest o niebo lepsza.

Czekam 40 minut, Andreia co chwilę gdzieś potrzebna. Odbiera telefon, przyjmuje zapisy na badania zapalenia wątroby typu C, przerzuca kartony ze sprzętem medycznym. Przebiega mi przed oczami kilkanaście razy. Na ścianach zdjęcia z korespondentem „New York Timesa”, ekipą CNN, była tu delegacja z USA, ministrowie Islandii, Wielkiej Brytanii, Kanady. Ze mną też się sfotografują, robi to przechodzień, bo osoba odpowiedzialna za upamiętnianie gości jest na urlopie.

Andreia: – Najwięcej handlu narkotykami było w dzielnicy Alcântara. Do pracy przyjechało tu wielu ludzi, głównie z północy. To byli robotnicy, niezamożni, żyli w biedzie. Kiedy okoliczne fabryki poupadały, zbiegło się to w czasie z pierwszymi latami demokracji, otwarciem na świat, pojawiły się dragi. Nie było gangów jak z amerykańskich filmów. Dawni robotnicy fabryczni handlowali narkotykami po prostu po to, żeby przeżyć.

Jest dumna z systemu pomocy, który powstał w CRESCER, i zmiany podejścia ludzi do kwestii narkomanii. W organizacji na pełen etat pracuje dzisiaj 60 osób, finansują ją samorząd Lizbony i ministerstwo zdrowia, ale sporo dokłada Unia Europejska. CRESCER zajmuje się też walką z bezdomnością i pomocą uchodźcom – dysponują setką lokali, nie wszystkie są zapelnione. 98 procent uczestników programu nie wraca na ulicę.

– Chcielibyśmy więcej pieniędzy. Wyniki byłyby jeszcze lepsze, gdyby rząd dał pieniądze nam, a nie schroniskom dla bezdomnych, bo u nas nikt nikogo nie ocenia, to pierwsza zasada pracy z osobami uzależnionymi. Ludziom wydaje się, że problem narkomanii da się rozwiązać tylko w jeden sposób – wyprowadzając ludzi z nalogu. A trzeźwość nie jest dla każdego. Starają się do pacjentów podchodzić kompleksowo, edukować ich. W schroniskach ich nie wezmą albo przenocują. U nas dowiedzą się o zagrożeniu HIV, zapaleniu wątroby typu C, przedawkowaniu. Na choroby wirusowe nawet ich zdiagnozujemy. Damy im czyste strzykawki i igły.

W Lizbonie
jest punkt
legalnego
brania
narkotyków.
Było tylko
dziewięć
przedawkowań

Na korytarzu słyszę angielski, to migranci z Indii i Nepalu, z których większość nie mówi po portugalsku. Są teraz prawdopodobnie największym wyzwaniem dla wszystkich organizacji działających wokół narkotyków. Na niektórych osiedlach stanowią nawet trzy czwarte uzależnionych, ale rzadko zgłaszają się po pomoc systemową. Nie spotyka się ich w kolejce po metadon, raczej w zakamarku parkingu centrum handlowego, na sporym głodzie. Portugalia, jak wszystkie kraje Europy Zachodniej, cierpi na deficyt siły roboczej, zwłaszcza robotników manualnych. Migranci pracują na budowach, ale opieka agencji pracy kończy się zaraz po przyjeździe. Gdy robota się kończy, wypadają z systemu, a narkotyki są łatwo dostępne. I nikt nie ma na to dobrego rozwiązania.

Ile dzisiaj zdarza się przedawkowań? Andreia mówi o jednym na miesiąc, często rzadziej.

Okolica już bezpieczna, choć dalej biedna, co widać na oknem – sporo śmieci, w tle, na zbcocu, slumsowe domy z blachy, po krzakach koguty i kury. Andreię martwi intensywna dilerka w dzielnicy. Kokaina trafia najpierw tutaj, zwłaszcza ta najlepsza. Stąd też przenosi się do innych części miasta.

PUDEŁKO DLA MATKI

Do pokoju wchodzi wysoki, postawny mężczyzna. 49 lat, z czego osiem w nalogu, Nunu. Kokaina i heroina jednocześnie. Od 21 lat czysty, w CRESCER jest pracownikiem administracyjnym.

– Zacząłem, gdy miałem 15 lat, brali wtedy wszyscy. Na poważnie zaczęło się w wojsku. Narkotyki w armii były wszędzie. Nie testowali was? – pytam zdziwiony.

– Obwąchiwał nas pies, ale gówno potrafił znaleźć. Dzisiaj myślę, że on nawet nie był szkolony.

Z wojska Nunu wrócił bez pracy i z nalogiem – głównie kokaina, ale pod koniec dnia heroina. Wyleciał z roboty, zaliczył 20 prac dorywczych, nigdzie nie został na dłużej. Ale na ulicy nie wylądował. Wrócił do domu rodzinnego, zamieszkał z mamą.

– Matka wiedziała, że ćpasz?
– Kiedyś zapomniałem schować pudełka z haszyszem i kokainą. Zorientowałem się w połowie dnia, wróciłem cały zestresowany. Wchodzę do salonu, a matka postawiła pudełko na kominku, bo jej pasowało do kwiatków. Chyba nie zajrzała do środka.

Nunu już nalogu nie kontrolował, ale akurat João Goulão prowadził swoją kampanię. Nunu poszedł, spróbował, trafił do społeczności kościelnej, która oferowała odwyk przez pracę w gospodarstwie.

– Bardzo mi pomogli, bo dali strukturę dnia. Regularność, której potrzebowałem, dzięki niej nie myślałem ciągle o narkotykach. Zawsze miałem coś do roboty, to mnie wyleczyło.

Został didżejem i technikiem dźwięku, interes się kręcił, ale zabiła go pandemia. Wtedy trafił do CRESCER.

– Wiele znajomych już nie żyje, przedawkowało. Poszedłem na studia, mam licencjat z antropologii. Każdy może zacząć drugie życie.

DZIELNICA IGIEŁ

Jadę z Andreią i Sylwią, wolontariuszką, na osiedla dawnego Casal Ventoso. Kazały mi wziąć buty z grubą podeszwą. Zaraz się przekonam dlaczego.

Furgonetka załadowana sprzętem medycznym, kartony zestawów do bezpiecznej konsumpcji narkotyków – dwie igły, strzykawki, chusteczki do dezynfekcji, filtry, woda destylowana, kwas cytrynowy albo askorbinowy, aluminiowe podstawki do przygotowania narkotyku oraz zapalki – jeśli ktoś akurat nie zażywa go dożylnie czy doustnie, tylko wdycha opary. W czasie kilgodzinowego patrolu rozdamy ich setki.

Gentryfikację widać jak na dłoni, obok parkingu powstają nowe apartamentowce. Podchodzimy do starszego mężczyzny, zachowują się jak koleżanki. Prawie każdego znają, bo to stali pacjenci CRESCER. Potrafią zamachać z ulicy, żeby wolontariuszki się zatrzymały. Mężczyzna bierze kilka zestawów i odchodzi do blokowiska.

Stoiśmy na tyłach galerii handlowej. Andreia i Sylwia zakładają lateksowe rękawiczki, biorą uchwyty do śmieci i wskazują rząd krzaków.

– Uważaj na nogi i niczego nie podnoś – mówią.

Idziemy zbierać zużyte igły i strzykawki. A jest to dywan ze strzykawek. Czasami

• **Pacjentka Rita Pestana ze szczeniakiem na ramieniu czeka, aż jej mąż weźmie dzienną dawkę metadonu z furgonetki-ambulansu, która rozwozi preparat na ulicach Lizbony**

FOT. HORACIO VILLALOBOS/CORBIS VIA GETTY IMAGES

Sylvia zawoła mnie, żeby pokazać znalezione. Zobacz, w tej strzykawce jest zaschnięta krew – mówi, podnosząc uchwytem plastikowy element. To znaczy, że coś przy braniu poszło nie tak, pewnie ktoś nie mógł się włożyć. Ochroniarze supermarketu pokazują inne miejsce, zbieramy.

A nie mogliby sami pozbiierać? – pytam. Może i mogliby, ale traktują nas z szacunkiem, ich też. To lepsze niż przemoc słowna, która jeszcze kilka lat temu była tu powszechna.

W okolicach jednej ze stacji metra, koło przemysłowej instalacji siedzi skulony młody mężczyzna, w lekkich drgawkach, próbuje podgrzać brązową substancję o mącznej konsystencji. Andreia prosi, żebyśmy zostali z tyłu. Podchodzi do chłopaka, ale sama zachowuje bezpieczną odległość. Pyta po portugalsku, czy potrzebuje pomocy. Wokół niego resztki zielonej paczki po zestawie. Macha ręką, odwraca się do nas twarzą, rysy sugerują, że jest z Indii.

Do Portugalii przyjechał trzy lata temu, pracował na budowie. Kontrakt skończył się po roku, wiza też. Już w domu trochę brał, ale głównie opium. Kiedy stracił pracę, uzależnił się od heroiny. Chcą go zapisać do programu, ale nie jest zainteresowany. Mówi, że nie pasują mu godziny wydawania preparatu, bo musi wtedy być w pracy, wpadnie w głód. Do programu odwykowego się zgłosił, czeka na miejsce od roku.

Teraz dawna narkotykowa strefa śmierci, samo Casal Ventoso. Po starych slumsach nie ma już śladu. Postawiono bloki, zieleni, ale samochody w złym stanie, w niektórych ludzie mieszkają albo biorą narkotyki. Andreia wyciąga pakiety i macha nimi przed oknami samochodów. Kiedy wracamy do auta, przed nim już tłum. Wszyscy to mężczyźni, 50-60 lat, biorą więc co najmniej trzy dekady. Młodzi też biorą, ale inaczej, ostrożniej, są „lepiej wykształceni”.

Podchodzi starszy mężczyzna, chudy, T-shirt na nim wisi. To Patricio. Uśmiecha się, ma cztery zęby. – Kiedy zacząłeś brać? – pytam.

– Miałem siedem lat. Marihuana, kokaina, heroina. Gdyby nie zestawy, pewnie już by nie żył.

– Czym się zajmujesz na co dzień?
– Dragami – śmieje się. – Jestem przemysłnikiem.
– Jak to?

– Normalnie, bracie. Nie będę ci pierdolił głupot. Szmugluję haszysz z Maroka. Jeżdżę dwa razy miesiącu, czasami rzadziej. Mam już szósty paszport, bo w pięciu poprzednich zabrakło mi miejsca na marokańskie pieczątki.

– I nie wpadłeś?
– Z Marokańczykami nie ma problemu, dajesz w łapę 200 euro, to oficjalna stawka. Gorzej, jak Portugalczycy. Paru kolegów siedzi.

– Jak przerzucasz?
– O, tu – wskazuje na brzuch. – Polykam woreczki. Potem stres, żeby wysrać tyle samo.

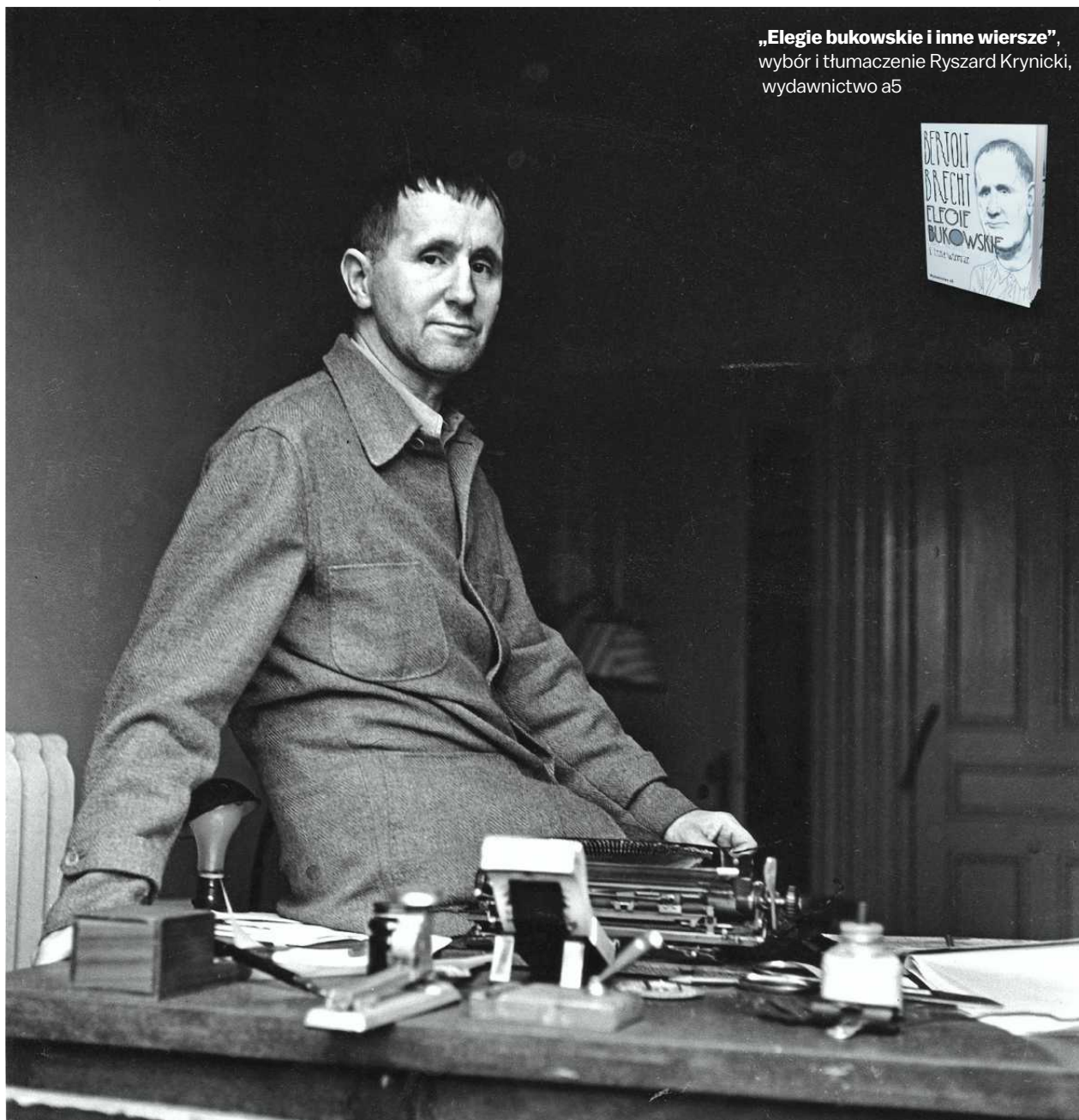
Dzień wcześniej poszedłem do stacji do metra Cais do Sodré. Ciepły wieczór, tysiące ludzi, imprezy. Nie mija pół minuty, a podchodzi czarnoskóry chłopak. Pyta, czy chce kokainę, odchyła kurtkę, woreczki z proszkiem. Gram? 40 euro. Jaki towar? Najlepiej, z Brazylii. 30 metrów dalej – drugi chłopak. Ta sama śpiewka. Wyciąga telefon.

– Masz WhatsApp?
Mam.
– Tu jest numer mojego diler – mówi. W CRESCER mówią mi, że to nie była ściema, tylko koka jest z Kolumbii.

Patricio: – Nie mamy kasy, kupujemy mniejsze działki. W porcjach za 5, 10 i 15 euro. Dilerzy mają gotowe paczki.

CZASY LUDZI BEZ GRZECHU

FOT. FRED STEIN ARCHIVE/GETTY IMAGES



„Elegie bukowskie i inne wiersze”,
wybór i tłumaczenie Ryszard Krynicki,
wydawnictwo a5

Tematem rozmów z moim 21-letnim synem stał się Bertolt Brecht

Magdalena Parys

W maju nakładem a5 ukazał się zbiór Bertolta Brechta „Elegie bukowskie i inne wiersze”. Historia tych wydań jest niezwykła. Pierwsze podziemne edycje ukazały się w 1974 roku w nakładzie 80 egz., kolejne – w 1979 w nakładzie 99, trzecie uzupełnione i poprawione – w 1980. Wszystkie zawdzięczamy Ryszardowi Krynickiemu, który dokonał przekładu i wyboru wierszy, wszystkie wydania ilustrował Wojciech Wołyński.

Kiedy zapytano mnie, czy nie zechciałabym napisać o „Elegiach bukowskich...”, w pierwszym odruchu odparłam, że czemu nie. Dopiero potem pomyślałam, że nie bę-

dzie latwo, bo staram się pisać tylko o tych książkach, które same do mnie przychodzą. Są jednak osoby, którym się nie odmawia. Poza tym, co ja mogę napisać o Brechcie? Napisano o nim już wszystko. Pozostaje mi tylko pisać szczerze.

Jeszcze w latach 80. przed emigracją do Niemiec mama słuchała piosenek Brechta na płytach. Potem doszły do tego interpretacje Brechta w wykonaniu Milvy. Bertolt przez wiele lat kojarzył mi się ze szkolnym obowiązkiem i „Matką Courage i jej dziećmi” walcowaną przez pana od niemieckiego do nieprzytomności. Moja nauczycielka muzyki też kochała Brechta, najpierw oglądaliśmy więc jego sztuki na VHS, w końcu zawlokła nas do teatru na „Operę za trzy grosze”. A że piosenki o Mackiem Majchrze śpiewał od lat cały świat, czuliśmy się, jakbyśmy odwiedzali starego, dobrego znajomego. Niektóre znalazłam na pamięć. Zresztą nie było to trudne, skoro mama miała kolekcję wszystkich dostępnych sztuk zarejestrowanych na winylowych płytach.

W Niemczech Brecht jest nieśmiertelny. A to obchodzi urodziny i ukazuje się jego nowa, jeszcze

bardziej szczegółowa biografia, a to nowa interpretacja jego zapomnianej sztuki. Na stronie wydawnictwa Suhrkamp, którego Brecht był autorem, znajduje się 177 jego książek lub książek o nim. Sztuki, szkice, pamiętniki, listy, wspomnienia, wiersze, eseje. Albo całe edycje zawierające 30 tomów jego twórczości.

Światową karierę zawdzięcza sztuce, ale jest przecież także autorem około 3 tys. wierszy! Reich-Ranicki, uznawany w Niemczech za papieża literatury, uważał go obok Thomasa Manna i Franza Kafki za najważniejszego niemieckojęzycznego twórcę minionego stulecia. Cenił go głównie za poezję. Uważał za najwyższego rangą Dichter – do tego określenia jeszcze wrócę, bo to więcej niż „poeta” – i opowiadał, jak Brecht się wściekał, kiedy krytycy zachwycali się jego wierszami. „Dichter to dziwni ludzie, we wszystkim węższą spisek, mówisz im »piękne wiersze«, oni chcą, byś chwalił ich za dramaty, chwalisz ich za sztuki, chcą, abyś widział w nich tylko poetę”.

Bo Brecht chciał być dramaturgiem. Przede wszystkim dramaturgiem, człowiekiem teatru i głównie tak pragnął być postrzegany. Czytając dziś jego poezję, oglądając sztuki, nie mam pojęcia, jak to możliwe, że moje życie toczyło się dotąd obok Brech-

ta. Najwyraźniej coś, co tak bardzo podobało się mojej mamie, nie mogło podobać się jej córce.

Ostatnio Brecht stał się tematem rozmów z moim 21-letnim synem, studentem teatrologii.

A właściwie nie rozmów, ale tyrad wygłaszanych przez niego pod adresem Brechta na temat tego, co ten komu ukradł, pod jakim dziełem się nieprawnie podpisał, jak traktował kobiety i w ogóle jakim był człowiekiem.

Słucham cierpliwie. Nastąpił bowiem czas „dobrych ludzi”. Nie ma znaczenia, że twórca żyjący wieki temu egzystował w innym świecie i z przyczyn oczywistych nie mógł być jeszcze poprawny politycznie. „Dobrzy ludzie” przykładają twórcom z minionych epok miarę z dzisiaj i dziwią się, że kiedyś można było być takim chamem, mizoginem (tu wpiszcie, co chcecie). Im większy geniusz, tym gorzej dla niego. W ogóle najlepiej wykreślić go z kolektywnego pamiętnika.

I tak dla współczesnych studentów teatrologii Brecht dramaturg, który niemiecki teatr odmienił i zrewolucjonizował, się nie liczy, liczy się jedynie, że zawiódł ludzkość jako mężczyzna i człowiek. Jakie znaczenie ma dzisiaj, że piętnował zło i niesprawiedliwość, skoro – według nich – sto lat później ucieleśnia tego samego potwora, którego piętnował?

Oczywiście nie mam prawa się z młodymi ludźmi nie zgodzić. Mnie też się nie podoba, że Brecht źle traktował żony, przyjaciół itd. W ogóle trudno nie zgodzić się z tym, że ktoś nie godzi się na niemoralność. Tylko dlaczego wskazówka mojego wewnętrznego barometru od tak zwanych norm wariuje?

Do tej pory starałam się omijać wielkim łukiem dyskusję, czy należy rozdzielać człowieka od artysty. Ale czy na pewno omijam? Po dokumencie na Netflixie o Michaelu Jacksonie nie byłam w stanie już słuchać jego muzyki. Instynktownie nie oglądałam filmów z Kevinem Spaceym. Ale kiedy córka stwierdza, że nie powinnam iść do kina na film o Elvisie, głośno protestuję. – Zakochał się w nieletniej, Priscilla miała 14 lat! – tłumaczy mi dziecko. Zauważam, że to zupełnie inny przypadek, przypominam, że Priscilla Presley zarządza imperium po nim, potajemnie chodzi do kina, by ze wzruszeniem relacjonować reakcję publiczności na ten film w mediach społecznościowych! W odpowiedzi słyszę, że to tylko dlatego, bo cierpi na syndrom sztokholmski! No nie! Znow protestuję, wskazując na różnice, tłumaczę, ale z dziećmi nie wygrasz. Idąc tym tropem, za chwilę przestanę czytać wszystkich klasyków, cytować Platona, bo przecież ten nie lubił kobiet. Największą satysfakcję ma przysłuchująca się tym rozmowom moja mama. „Byłaś taka sama!” – słyszę.

Bardzo daleko odbiegałam od Brechta, na szczęście to mój felieton, mogę pisać, co chcę, i nie podlegam tu cenzurze moich dzieci.

Reich-Ranicki, który znał Brechta osobiście, powiadał, że był on twórcą egomanem, ale nie był próżny. Nie lubił występów, poklasku i bezpośredniego kontaktu z widzem. Nie chciał występować i być obiektem uwielbienia, chciał tworzyć sztuki i to one miały być wielbione. Brecht

żył wyłącznie dla teatru. Podchodził do spraw tak: albo mu się coś lub ktoś przyda do tworzenia sztuki, albo go nie potrzebował. Nie należał do żadnej partii i tak naprawdę nigdy nie był komunistą. Potrzebował systemu, z którym się nie zgadzał, bo to napędzało go do pracy.

Brecht – człowiek teatru. Pasjonata teatru, maniak teatru. Krytyk, recenzent i teoretyk teatru, który potrafił oglądać sztuki kolegów i śmiać się z nich na głos podczas spektaklu. Gdy coś wydawało mu się fałszywe, był bezlitosny. Urodził się, by pisać role dla siebie i dla wszystkich, którzy w jego mniemaniu odstają od normy. (Ha! To powinno zainteresować „dobrych ludzi”). A sam był przedziwny: pozornie zaniedbany, nosił niby-robotnicze marynarki, byle jakie spodnie, rozchelstane koszule, a wszystko z najlepszych materiałów i spod igły drogich krawców. Szyta na miarę niedbałość. Drogie pomady do włosów, drogie kosmetyki, a i tak wyglądał, jakby był niedomyty. Wielkie inscenizacje i kamuflaże nawet w życiu. Teatr, wszędzie teatr.

Powoli zamieniam się we własną mamę i wysłuchuję wszystkich sztuk, które można wysłuchać. Pomijam tylko „Milvē”. Przed urlopem udaje mi się zdobyć najnowszą biografię. W samolocie przebijam się przez pierwszych sto stron. Dowiaduję się, w ilu sanatoriach przebywała mama Brechta, ile razy on sam kichał, że być może miał zbyt duże serce i był bardzo chorowity, całe dzieciństwo myślał, że na pewno wkrótce umrze. Mieszkał w Augsburgu w dzielnicy robotniczej i bawił się z dziećmi robotników, choć jego rodzina to ambitna burżuazja. Ojciec pracoholik, bez przerwy pracuje i konsekwentnie pnie się aż do dyrektora fabryki papieru.

Słuchając muzyki Bacha, mały Brecht mdleje z przejęcia. Poza tym cichy, spokojny. Wybuch, kiedy rówieśnicy chcą iść na wojnę, on ją już potępia, zanim się zdąży zacząć (za co o mały włos nie wyleci ze szkoły). A choroba serca to jednak chyba choroba nerwów, a kochał tylko raz naprawdę. Jeszcze trochę detali i oszaleję. Na szczęście łądujemy.

Na plaży wśród palm wygrzebuje w komórcie najróżniejsze audycje, czytam krytyków, recenzentów. I dalej tysiącstronicową biografię. W Niemczech palą jego książki. Kiedy Hitler dochodzi do władzy, Brecht leży w szpitalu, ale decyduje się opuścić Niemcy. Emigruje do Szwajcarii, Danii, Szwecji, Finlandii, mieszka chyba wszędzie, w Związku Radzieckim nie chce zostać, jedzie do Ameryki. Kolejna żona, rodzina, dzieci, kolejne pracownice, wciąż nowe kochanki. Tyle pięknych wierszy po drodze. Myślę sobie, że można nakłamać w książkach, można wyprofilować w sztuce swoje alter ego na rycerza, ale czy można nakłamać w wierszach? Miłosnych?

Brecht jest pracowity jak ojciec. Emigracja czy nie, nie przestaje tworzyć. Píše sztuki, wiersze, listy, ale jest nieszczęśliwy. Pod koniec to już kilkanaście lat bez kraju i ludzi, których językiem pisze. Wreszcie los się uśmiecha i jest szansa, by zaistnieć w Stanach, ale to początki zimnej wojny, Hollywood przeczesuje twórcze szeregi w poszukiwaniu wrogich komunistów. Dochodzi do publicznego przesłuchania. Zachował się cenny filmowy materiał. Warto to zobaczyć, Brechtowi udaje się wybronić, mówi, że nie był komunistą, tworzył tylko przeciw jednemu reżimowi – hitlerowskiemu. Lecz znów jest persona non grata.

Reich-Ranicki opowiada, że Brecht wcale nie chciał tworzyć w Berlinie wschodnim, ale do zachodniego Berlina i zachodnich Niemiec nie mógł wrócić, alianci go nie chcieli. A przecież w NRD podarowano mu teatr. Teatr! Tworzy słynny Berliner Ensemble. Istnieje do dziś przy ulicy Brechta i ma swoją rangę nie tylko jako teatr, skoro Angela Merkel wybiera go jako miejsce do pierwszego wywiadu po odejściu z urzędu i po ataku Rosji na Ukrainę. Choć nie współczujemy mu za bardzo. Mieszkał w NRD, ale

wydawcę miał w Berlinie Zachodnim, a konto w banku szwajcarskim.

Lata tułaczki, emigracji, ucieczek. Skomplikowane życie, zbyt skomplikowane, by można było je zwyczajnie opowiedzieć i zgodzić się z moim synem.

Nowy dom

*Powróciwszy po piętnastu latach wygnania
Wyprowadziłem się do pięknego domu.
Zawiesiłem w nim swoje maski no i chiński*

*Przedstawiający sceptyka. Ruiny, przez które
Będą mi codziennie przypominać, jakim*

*Zawdzięczam ten dom. Mam nadzieję,
Że nie przywyknę do widoku nor,
W jakich gnieźdzą się jeszcze tysiące.*

*Na szafie z rękopisami
Stoi mój kufer*

Kiedy Brecht był jeszcze mały, pisał w pamiętniku: „Muszę wciąż pisać”. Użył słowa „dichten”. Szczególnego, oznacza więcej niż pisać i tworzyć, oznacza też pisać wiersze. Oznacza wiele. Potężny jest język niemiecki, wielki, choć rozumiem, że Polakowi trudno to zrozumieć. Wspaniale opowiada o tym bogactwie Ryszard Krynicki przy okazji opowieści o wierszach Brechta.

I dotarliśmy wreszcie do wierszy. Okazuje się, że mam dwie czy trzy z tych 177 pozycji wydanych w Suhrkampie. Można więc żyć w Niemczech obok Brechta, ale nie można nie mieć jego książek. Czytam „Elegie bukowskie” w oryginale. Czytam tłumaczenia poety Ryszarda Krynickiego. Dość szybko przestaję porównywać. Są tak wspaniałe, że sama nie wiem, gdzie zaczyna się przekład, gdzie oryginał. Najpóźniej na stronie 41 przy wierszu „Nie chce nam się już sprzezczać” coś ważnego czuję, coś rozumiem. Lecz co? Nie wiem, w poezji się tego nie wie. *Nie chce się nam już mówić
Czy można obejść się bez przemocy. Teraz
Przemoc nas pokonała*

Sto lat później ten wiersz boleśnie streszcza stan umysłu jeszcze do niedawna pacyfistycznej Europy. Jedną stroną dalej, w „Jeśli nadal ma być, jak jest”, Brecht przepowiada, co wydarzy się z Ukrainą. Tworząc go, myślał o czym innym, ale jakie to ma znaczenie, skoro przepowiednie poety mają uniwersalną siłę? Reich-Ranicki zapytany, na czym polega geniusz Brechta, odpowiedział: na języku. Języku dnia codziennego przesiąkniętym współczuciem i litością. Dzisiaj nazywalibyśmy to czułością do drugiego człowieka.

Jest jeszcze w tej niewielkiej książeczce bukowskiej wiersz o głodzie, który ściska za gardło bardziej niż sto grubych książek. Aż natrafiłam na cztery wersy o wyprostowanym listonoszu i litością. Opowiadają całą książkę, którą jeszcze wczoraj chciałam zacząć pisać. W czterech wersach książka z przyszłości. Zamykam tomik wierszy i wydaje mi się, że jestem inna.

I znów dzieje się to, co dzieje się zawsze, gdy czytam arcydzieła. Nie mogę o nich opowiedzieć, są zbyt wielkie, mogę je tylko przepisać. I ja je przepisuję do intymnego zeszytu, jak uczennica. Mój nauczyciel niemieckiego byłby zadowolony. ●

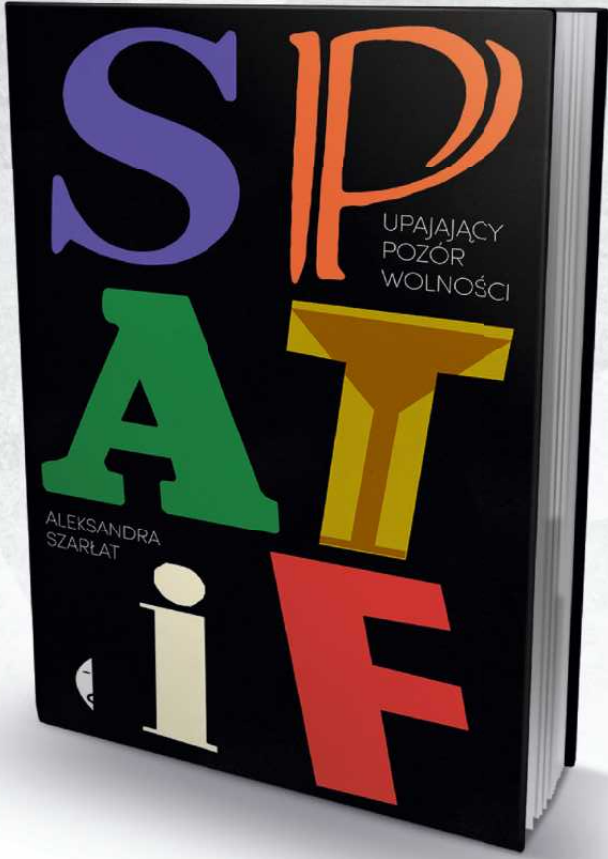
„Tunel”, „Magik” i „Książę” – kryminały historyczno-polityczne Magdaleny Parys na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl



Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2. Fragmentu książki „SPATiF. Upajający pozór wolności” Aleksandry Szarłat



*Przez kilka powojennych dekad Klub Aktora
Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu
był towarzyskim, kulturalnym i informacyjnym
centrum stolicy. Artystom zapewniał poczucie
bezpieczeństwa, a kulturze ciągłość. O przekroczeniu
progu SPATiF-u marzyli wszyscy: pisarze i tajniacy,
członkowie KC i opozycjoniści, sportowcy, waluciarze
i dziewczyny szukające szczęścia lub zarobku.*

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „SPATiF. Upajający pozór wolności” Aleksandry Szarłat oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

SUPWAS22

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.



• Warszawa, rondo Tybetu.
Graffiti nawiązujące do tragedii
ludności tybetańskiej, którego
część namalowali sami tybetańscy
mnisi FOT. MAREK BAZAK / EASTNEWS

58

TYBETAŃSKI KONIEC ŚWIATA

W pewnych krajach oplaca się mieć krótką pamięć.

Z **BARBARĄ DEMICK**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „ZJADANIE BUDDY”, ROZMAWIA **EMILIA SUŁEK**

Dlaczego książka o Tybecie?

– Kiedy przyjechałam do Pekinu jako korespondentka „The Los Angeles Times”, wiedziałam, że będę pisać o Tybecie. Z tych samych powodów, dla których pisałam o Korei Północnej. Lubię pisać o miejscach, które są słabo widoczne na Google Earth.

Ngała, o której piszesz w „Zjadaniu Buddy”, to tybetański region w chińskiej prowincji Syczuan. Jak wybrałaś to miejsce?

– Wybrało się samo. Przed olimpiadą w Pekinie w 2008 roku przez Tybet przetaczały się protesty. Szybko stało się jasne, że Ngała jest jednym z silników oporu. Potem przyszła fala samospaleń, indywidualnych aktów politycznego oporu, z których prawie trzecia część miała miejsce w Ngale. Władze otoczyły region kordonem. Chciałam się przekonać, co tam jest, czego chiński rząd nie chce pokazać światu. Zaczęłam zgłębiać historię i tak się zaczęło.

Co było w tej historii najważniejsze?

– Ngała była kiedyś królestwem Me, wielkości Austrii. Tereny te są poza Tybetańskim Regionem Autonomicznym. To oznacza, że teoretycznie wjechać można tam bez skomplikowanych pozwoleń, których wymaga się od turystów jadących do Lhasy. Paradoksalnie Lhasa stoi jednak otworem przed turystami. Wjechać do Ngaly było dużo trudniej.

Od kiedy zaczęło dochodzić do samospaleń, na świat wydostało się niewiele nagrań z regionu. Niektóre z nich zrobione przez zachodnich dziennikarzy. Kilka ujęć z okna samochodu, z ukrycia, w pośpiechu. Na ulicy zasieki, wojsko. Jak było w twoim przypadku?

– Widziałam sceny jak z Bagdadu albo Strefy Gazy. Miałam akredytację. Teoretycznie mogłam więc pracować jawnie. Starałam się jednak nie rzucać w oczy. Poruszałam się po zmroku, zawsze w kapeluszu, okutana w jakiś szal. Mieszkalam poza regionem. Tak było bezpieczniej. Osoby przyłapane na rozmowie ze mną mogły być oskarżone o zdradę tajemnicy państwowej.

Główną bohaterką twojej książki jest Gonpo, córka króla. Nigdy nie została królową. Dziś mieszka na emigracji. Książka zaczyna się od jej babki, królowej Palczen Dondup. Czy ten fokus na kobiety jest celowy?

– Losy książek zmieniają się w trakcie pisania. Ta miała być o zwykłych ludziach, nie o arystokracji, a już na pewno nie o rodzinie królewskiej. W Indiach poznałam jednak Gonpo. Na początku nie chciała o sobie mówić. To było zbyt bolesne. Kiedy wreszcie przemówiła, musiała zostać główną bohaterką. Jest symbolem tragedii tej części świata.

Gonpo jest córką Palgona Rabtena, który rządził królestwem Me do 1958 roku, kiedy komuniści zdjęli go z urzędu. Jak dalej potoczyły się jej losy?

– Gonpo odebrała chińskie wykształcenie. Wyszła za mąż za Chińczyka, którego poznała w kolchozie w Xinjiangu. Opiekował się nią: z powodu pochodzenia Gonpo dostawała najcięższe prace. Jej matka zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Skoczyła do rzeki, raczej nie z własnej woli. Ojciec był więziony. Potem, już na wolności, popełnił samobójstwo. Mimo tych doświadczeń Gonpo wierzy w socjalizm. Nie ma w niej nic królewskiego. Z dóbr, które zwrócono jej po rewolucji kulturalnej, został tylko płaszcz króla, który leży gdzieś

w walizce. Wszystko inne Gonpo rozdała albo zapisała klasztorom.

Jak tłumaczysz jej sympatię do socjalizmu?

– To taka niekomunistyczna wersja socjalizmu. Wiara w równość wszystkich ludzi, egalitaryzm, wrogość do hierarchii nie stoją w sprzeczności z buddyzmem. Ojciec Gonpo, jak pokazują źródła z epoki, był królem, który nie wierzył w arystokrację. Gonpo jadła to samo, co inne dzieci. Nie mogła obnosić się ze swoim pochodzeniem. To, czego uczyła się potem w chińskiej szkole, nie wywracało jej życia do góry nogami.

Jaki jest jej stosunek do Chin?

– Podobnie jak wiele osób opisanych w „Zjadaniu Buddy” Gonpo jest pomiędzy. To cechuje wielu ludzi w Tybecie. Chcieliby utożsamiać się z Chinami, ale pragną tych samych swobód, co reszta ludności.

O jakich swobodach mowa?

– O możliwości pielęgnowania kultury, wyborze kariery. Tybetańczycy chcą mieć te same ścieżki rozwoju, możliwość podróžowania. Chcieliby mieć paszport. Jeden z moich bohaterów, biznesmen, człowiek zamożny, z kilkoma mieszkaniami, drogim autem i najnowszym smartfonem w ręce, mówi: „Mam wszystko oprócz wolności”. To nie aktywista polityczny, a jednak może mniej, tylko dlatego, że jest Tybetańczykiem.

Było to dla ciebie zaskoczeniem? Ta zgoda na bycie obywatelem Chin i nawet pewna duma z ich rozwoju, ale jednocześnie poczucie życia w zniewoleniu?

– Chyba nie. Wszyscy ludzie w „Zjadaniu Buddy” rozdarci są tym wewnętrznym konfliktem. Chcą, żeby ich dzieci uczyły się chińskiego, chcą cieszyć się z pożytków technologii, chcą korzystać z kultury na każdym poziomie: chińskiej i tybetańskiej. Chcą mieć wszystko. Tak samo jak my.

Piszesz, że w czasach rewolucji kulturalnej Gonpo nie chciała wierzyć, że to Mao jest winien cierpieniu jej rodziny. Jak wszyscy inni obwiniała tych, co są poniżej. Jak to wyjaśnić?

– Trudno jest zakwestionować coś, w co wierzy się tyle lat. Obywatelom Chin trudno jest podać w wątpliwość Mao, a dziś prezydenta Xi Jinpinga. Tak samo Rosjanom trudno obiektywnie spojrzeć na Władimira Putina. Tym też objawia się kult jednostki. Wina spada na tych niżej w hierarchii.

Z Ngaly wyjechałaś w 2016 roku. Czy jej mieszkańcy mają dziś wolności więcej, czy mniej?

– Na pewno mniej. Po dojściu Xi Jinpinga do władzy w 2012 roku wiele zmieniło się na niekorzyść. W 2017 roku w Lhasie słyszałam taki dowcip: „Czym się różni dom tybetański od chińskiego? Nad tybetańskim powiewa chińska flaga”. W innych częściach kraju portretów Xi i czerwonych flag jest mniej. Chińczycy nie muszą demonstrować swojej lojalności. Tybetańczycy są do tego zmuszani. Partia bezwzględnie wykorzystuje też pandemię. Programy monitorujące rozprzestrzenianie się koronawirusa służą w Chinach do monitorowania wirusa niezależnego myślenia.

Moje najnowsze wiadomości z Syczuanu są takie: Tybetańczycy muszą zdejmować z dachów flagi modlitewne i zastępować je flagą Chin.

– Są różne stopnie przymusu. Już wcześniej ludzie mieli w domu portrety Mao. Ale mam wrażenie, że dopiero po dojściu do władzy Xi zaczęli naprawdę musieć. Represje weszły na wyższy poziom. W końcu to za prezydentury Xi pojawiły się obozy reedukacji dla ludności ujęurskiej.

„Zjadanie Buddy” pokazuje, że protesty, które obserwujemy dziś, mają korze-

nie w przeszłości. Mieszkańcy Ngaly doświadczyli chińskiej agresji jeszcze w czasach tzw. Długiego Marszu. Wtedy, w czasach wojny domowej z wojskami republikańskimi, wojska Mao weszły do Ngaly. Potem był 1958 rok, rewolucja kulturalna i rewolta 1968 roku. Tybetańczycy postanowili wtedy zaważyć o autonomię. Powstanie brutalnie stłumiono. Jak ci się udało prześledzić ten ciąg zdarzeń?

– To jest protest, który regularnie się odradza. Studiując życiorysy osób, które dokonały samospaleń, odkrywałam, że ich przodkowie brali udział w walkach w 1958 albo 1968 roku. To pokazuje, że – wbrew twierdzeniom Chin – samospalenia to problem systemowy, a nie sprawa zaburzeń psychicznych jednostek, które nie radzą sobie z rzeczywistością i dlatego odbierają sobie życie.

Jak udało ci się znaleźć świadków tamtych wydarzeń?

– To nie są historie z pracasów. Nawet te wydarzenia z lat 50. i 60. ubiegłego wieku leżą w naszym horyzoncie czasowym. Tym bardziej zaskakuje, jak mało o nich wiemy. Przywódca rewolty z 1968 roku Honczeng Taszi był w złej formie i nie mógł ze mną rozmawiać. Spotkałam się za to z jego bratem. Źródła z pierwszej ręki wciąż są dostępne. Tym bardziej trzeba ich wysłuchać.

No dobrze, a w samym Tybecie na ile te historie są w ogóle znane?

– Średnio. Starsi nie mówili o przeszłości, by nie obciążać młodych. Chcieli, żeby ich dzieci i wnuki dopasowywały się, a nie buntowały. Opowiadanie o przeszłości wiąże się też ze wstydem. Przez długie lata, do końca rewolucji kulturalnej, każdy w Chinach był katem albo ofiarą. W tym systemie nie było miejsca na neutralność. Dlatego wstyd i wyparcie dotyczą całego społeczeństwa. W pewnych krajach oplaca się mieć krótką pamięć.

Toteż z przeszłości pochodzi tytuł książki: „Zjadanie Buddy”.

– W czasie Długiego Marszu chińskie wojsko mierzyło się z głodem. Żołnierze odkryli jednak w buddyjskich świątyniach figury wotywne zrobione z masła i mąki jęczmiennej. Zjadali je pasjami. To nie było tylko zaspokajanie głodu. Pożerali tybetańską kulturę. Ten wątek, pojawiający się w chińskich źródłach, jest symbolem pogardy dla tybetańskiej kultury. Pożreć, przetrawić. Mogę powiedzieć coś o kulturowej apropiacji?

Jasne.

– W Stanach dużo mówi się, że każdy powinien sam opowiadać swoją historię. Wiele Tybetanek i Tybetańczyków, nawet z amerykańskim paszportem, nie czuje się jednak na tyle wolnych, by mówić, a co dopiero pisać, takie rzeczy. Chcą ubiegać się o chińską wizę i odwiedzać krewnych.

Z dóbr, które zwrócono jej po rewolucji kulturalnej, został jej tylko płaszcz ojca, króla, który leży gdzieś w walizce

Chińska wiza ma funkcję dyscyplinującą. To samo dotyczy naukowców. Ja miałam niewiele do stracenia. Moja rodzina czy karia nie zależały od widzimisię chińskich władz. Dlatego mogłam – a nawet czułam, że powinnam – napisać tę książkę.

Dla kogo jest ta książka?

– Dla wszystkich, którzy wiedzą niewiele. „Zjadanie Buddy” jest też dla Tybetanek i Tybetańczyków na emigracji. Większość napisanych na emigracji relacji o aneksji Tybetu przez Chiny pochodzi z Tybetańskiego Regionu Autonomicznego. To tam, gdzie Lhasa. Historia innych części Tybetu była jednak inna. Narracja o państwie Dalajlamy zdominowała naszą percepcję Tybetu. A przecież było tam dużo innych minipaństwek od Dalajlamy niezależnych.

Skupiamy się na tym, że w Lhasie wybuchło w 1959 roku powstanie i Dalajlama uciekł do Indii. Ale we wschodnim Tybecie już wcześniej trwały brutalne walki. 1958 rok jest tam synonimem katastrofy. Żydzi mają Holocaust, Palestyńczycy doświadczenie Nakby, roku 1948. Dla ludzi we wschodnim Tybecie to „pięćdziesiąty ósmy”. Te dwie liczby to dla nich koniec świata.

Ludzie w Tybecie mówili mi wprost: to była wojna. Na Zachodzie mówimy o aneksji Tybetu, o okupacji, ale mało kto używa słowa wojna. Dlaczego tak trudno nazwać rzecz po imieniu?

– Widocznie jesteśmy mniej wolni, niż nam się wydaje.

Jesteśmy chinopoprawni?

– Partia komunistyczna wykreowała narrację, która nijak ma się do historycznych faktów. A my jej nie negujemy. Chiny uprawiają politykę pod sztandarem kłamstwa założycielskiego. To kłamstwo to „pokojoye wyzwolenie” Tybetu. Paralele z atakiem Rosji na Ukrainę nasuwają się same. Tam mieliśmy pokojowe wyzwolenie, a tu speoperację w celu denazyfikacji.

Czyli rzeczywistość równoległa?

– Tak. W obydwu przypadkach agresor oczekuje wdzięczności. Oczekuje od zaatakowanego narodu oznak radości z tego, że został wyzwolony. Wyzwolony przy użyciu siły.

To oczekiwanie wdzięczności od Ujgurów, Tybetańczyków i innych mniejszości jest w Chinach silne. Po co partii ta wdzięczność?

– Ten upór, że podbite narody mają być wdzięczne, początkowo budził moje niezrozumienie. Partia przecież ma władzę. Po co jej wdzięczność ludności podbitej? Ale władza w Chinach opiera się na micie antykolonialnym, antyimperialistycznym. I to dla jej własnego wizerunku potrzebne jest, by Tybetańczycy byli szczęśliwi. Żeby mniejszości etniczne cieszyły się z tego, że chińska Armia Czerwona je „wyzwoliła”. Dlatego samospalenia w Tybecie są problemem dla partii. Czy można dobitniej pokazać, że jednak nie jesteśmy szczęśliwi, niż oblać się benzyną i podpalić na środku ulicy? Dla partii to kolosalna utrata twarzy. Podobnie ukraiński opór zamiast kwiatów od wyzwalanej ludności to dla Kremla utrata twarzy.

Z dóbr, które zwrócono jej po rewolucji kulturalnej, został jej tylko płaszcz ojca, króla, który leży gdzieś w walizce

Widzisz tu więcej paraleli?

– Nie tylko do Rosji. Chiny, Rosja, Korea Północna, Mjanma – wszystkie posługują się tą samą matrycą. I Chiny, i Rosja ostrzegają kontrolę nad wyrazami protestu i w ogóle nad mediami społecznościowymi. W Szanghaju, mieście o 25 milionach mieszkańców, ludzie boją się dziś pi-

snąć na komunikatorach, że w zamkniętym z powodu CO-VID-u mieście brakuje jedzenia. Znowu: to nie aktywiści, tylko zwykli ludzie. W Rosji nie jest tak źle, ale zmiany idą zdecydowanie w złą stronę.

W 2014 roku w Szkocji trwało referendum o niepodległości. W Tybecie nomadzi, z którymi wtedy mieszkałam, zastanawiali się, czy rząd w Pekinie pozwoli im kiedyś zdecydować o swoim statusie. To pokazuje, że śledzą wydarzenia na świecie. Jaki jest związek między samospaleniami i arabską wiosną?
– Samospalenia zaczęły przybierać na sile równoległe do arabskiej wiosny. Kluczową rolę odegrał w niej Mohamed Bouazizi, który dokonał samospalenia w Tunezji w 2010 roku. Obserwacja początków arabskiej wiosny dała Tybetańczykom nadzieję na polityczną odnowę. Niestety, nie przyniosło to wiele.

W lutym bieżącego roku w Lhasie podpalił się młody piosenkarz Celang Norbu. W Ngale fala samospaleń jednak opadła. Dlaczego?

się. Zwykły człowiek, chłop albo nomada, czuje mniej strachu. Im mniej masz, tym mniej mogą ci zrobić.

Gonpo, córka króla, nauczyła się wybaczać i zapominać. Utraciła też jednak swoją tożsamość. Jaka jest cena za dopasowanie się do życia w tak represyjnym systemie?
– Gonpo oduczyła się własnego języka. Straciła jednak dużo więcej. Po rewolucji kulturalnej, kiedy jej ojca rehabilitowano, dostała pracę w szkole. Zaproszono ją do różnych ciał administracyjnych, gdzie miała reprezentować mniejszości etniczne. Miała mieszkanie, Kochającego męża i dwie córki. Wiedziała jednak, że jest ostatnia z rodziny.

I wyjechała do Indii?
– To skomplikowana historia. Wyjeżdżała, myśląc, że jedzie na chwilę. Zabrała jedną córkę. Druga została z ojcem. Jedną identyfikuje się dziś jako Tybetankę, drugą jako Chinkę. To jest rodzina, pełna miłości, ale podarta politycznymi podziałami.

Gonpo nie żywi jednak urazy.

Północnej („Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej”, wyd. Czarne, 2017), to też opowieść o represyjnym państwie i o strategiach na przetrwanie. Czytelnicy nie są tym zmęczeni?

– Czytanie o ofiarach boli. Ludzie mają dość własnych problemów. Dlatego w „Zjadaniu Buddy” są też szczęśliwsze chwile. Jest tu historia miłośna, całkowicie wyjątkowa, która rozwija się na tle całej miserii. A dlaczego to czytać? Bo Chiny są potęgą, polityczną, gospodarczą, demograficzną. Nie da się zrozumieć Chin bez Tybetu. Bez zrozumienia Tybetu swojego kraju nie rozumiemy też Chińczyków.

Książka wyszła też po chińsku.

– Na Tajwanie. Mam nadzieję, że dotrze do Chin. Przeciętny obywatel Chin nie rozumie problemu Tybetu. „Daliśmy im rozwój, a oni są niezadowoleni”. To częste myślenie. To ważne, żeby Chinki i Chińczycy dowiedzieli się, o co tak naprawdę chodzi.

Ile trwała praca nad tą książką?

Chińscy żołnierze odkryli w buddyjskich świątyniach figury wotywne zrobione z masła i maki jęczmiennej. Zjadali je pasjami.

Pożerali tybetańską kulturę

– Ludzie zobaczyli, że ich protest nic nie daje. Na początku coś się ruszyło. Kierownictwo partii stwierdziło, że musi trzymać ucho przy ziemi. Rozdawano jedzenie, budowano zagrody dla zwierząt gratis, nomadom dawano namioty. To była przydatna ludzior polityka rozdawnicza. To nie są zmiany, za które warto oddawać życie.

Mówiąc o równoległej rzeczywistości: na ile ludzie wierzą w propagandę?
– Nie sądzę, że wierzą. Raczej wmawiają to sobie. Znam to z Korei Północnej. Ludzie tworzą sobie bezpieczną przestrzeń, w której udają, że wierzą, i zachowują się tak, jakby to była prawda.

Jaką rolę odgrywa w tym strach?
– Kluczową. Ludzie boją się śleć. Pekin, Szanghaj, główni beneficjenci chińskich reform gospodarczych, połykają państwo-wą propagandę ze szczególną łatwością. Mieszkańcy prowincji mają często wrażenie bycia pozostawionym samym sobie. Dlatego są bardziej krytyczni. I dlatego rząd stara się ich zalać pieniędzmi.

Jak dużo strachu widziałas w Chinach?
– Wykształceni Tybetańczycy boją się bardzo, prawie jak w Korei Północnej. W Chinach poznałam wielu tybetańskich akademików i inne osoby na stanowiskach. Spotkane przypadkiem były całkiem otwarte. Kiedy do nich dzwoniłaś, odkładały słuchawkę bez słowa. Bały

Jej ojciec też nie był radykałem. Kiedy w 1956 roku komunisty zażądali, by Tybetańczycy oddali broń, zmusił poddać się do tego kroku.
– Wiedział, że militarnie nie mają żadnych szans. Że będą ich zabijać „jak psy”, tak jak mówi jeden z bohaterów książki. Król szukał drogi środka.

Mimo to trafił do chińskiego więzienia, był trzymany w izolatce. To gdzie jest droga środka?
– Lepiej być radykałem i stracić życie czy być umiarkowanym i przejść tortury w więzieniu? Nie ma drogi środka. To wiedać w Xinjiangu, w historiach osób takich jak İlham Toti, ujęgurski ekonomista z Pekinu, skazany w 2014 roku na dożywocie. Umiarkowani są celem represji tak samo jak radykałowie. Dla partii są nawet bardziej niebezpieczni, bo szukają konstruktywnej drogi naprzód. Nie wydaje mi się, żeby dziś w całych zachodnich Chinach było miejsce na dialog z władzą. Można być modelowym obywatelem dobrze zsocjalizowanej mniejszości etnicznej, wierzyć w partię i komunizm. I tak pewnego dnia obudzisz się za drutami, w obozie reedukacji.

Było kiedyś gorzej?
– W Xinjiangu gorzej nie było nigdy. W Tybecie były gorsze czasy, choćby w 1958: głód, bombardowania ludności cywilnej, zbrodnie, które powoli wychodzą na jaw.

„Zjadanie Buddy”, podobnie jak twoja książka o Korei

– To było dziesięć lat powolnej pracy. I najcięższe badania w moim życiu.

Czy dlatego, że mówienie o tych wydarzeniach, zwłaszcza w Chinach, wiąże się z ryzykiem? Czy ludzie mieli opory, by z tobą rozmawiać?
– Bynajmniej. To studenci dziennikarstwa mają opory. Myślą, że pytanie o traumatyczne doświadczenia to nietakt. Ale rozmowa jest procesem terapeutycznym. Ludzie chcą opowiadać swoje historie. Tybetańczycy chcą, żeby świat wiedział, żeby Chińczycy wiedzieli. Trudniejsza była dla mnie świadomość, że moim rozmówcom coś może się przytrafić. Dlatego nie pracowałam z tybetańskimi tłumaczami. To byłoby zbyt niebezpieczne. Jeździłam sama. Nagrywałam opowiadania ludzi po tybetańsku i dawałam do tłumaczenia po opuszczeniu terenu.

Co napędza cię w pisaniu reportaży?
– To, że rzeczywistość jest ciekawsza niż fikcja. Pisanie dla czytelnika, który nie wie nic, to fascynujące wyzwanie. Reportaż jest jednak trudny. Potrzebujesz detalu, tych wszystkich drobiazgów: jak pachniało powietrze, co ktoś miał na sobie, ale nie możesz ich zmyślić. Stawka jest wysoka – to wzbudzenie empatii. Moim celem jest skłonenie czytelników, by utożsamili się z kimś żyjącym tysiące kilometrów od nich, kogo imienia nie są w stanie wymówić. Żeby poczuli rozterki tej osoby i zapytali: a co ja bym zrobiła albo zrobił? ●

Wyhamowuję swoją małość

Jest dziedzina, w której „Gość Niedzielny” dogania „Wyborczą”.

Magdalena Czyż

Mniej więcej od wiosny słyszę od znajomych wciąż te same słowa wypowiedane z pełnym przekonaniem: „Zobaczysz, oni zaraz zaczną szczuć na Ukraińców”, „Obserwuję, co się dzieje! Jeszcze dwa tygodnie i prawdziwi patrioci spod znaku krzyża urzędują Ukraińcom pogrom!”, „Mówię ci, oni Ukraińców nienawidzą i to zaraz wypłynie! Zobaczysz! Zobaczysz! Zobaczysz!...”.

No więc patrzę, patrzę i nie widzę! Mam sierpień, minęło pół roku od wybuchu wojny i poza internetowymi trollami nikt nie próbuje skłócać Ukraińców i Polaków. Wiele złego można o polskich patriotach spod znaku krzyża powiedzieć, ale w kwestii pomocy ukraińskim uchodźcom zachowują się wzorcowo. Mówię o redakcjach pism katolickich. One kształtują zachowania i poglądy swoich czytelników, a więc ludzi mocno przywiązanych do wszystkiego, co polskie, i rozumiejących patriotyzm „trochę” inaczej niż czytelnicy „Wyborczej”. Ale w tym temacie – mucha nie siada.

„Gość Niedzielny” poświęcił od wybuchu wojny tyle samo miejsca imperatutowi pomocy Ukraińcom co „Wyborcza” albo i więcej. Tygodnik „Niedziela” może nie jest aż tak wylewny, ale równie jednoznaczny w kwestii konieczności niesienia pomocy naszym sąsiadom. Z tą różnicą, że ten imperatyw ma źródło w Ewangelii, a nie na przykład u Kanta.

Jednak to nie wszystko! Jakby zaskoczenia było mało, „Gość Niedzielny” piórem stałego felietonisty Franciszka Kucharczaka już na początku marca przemawiał tak: „Już objawiają się w sieci i poza nią tacy »patrioci«, którzy przypomniał sobie, że Lwów był polskim miastem, Wołyń to »wciąż otwarta rana«, a Ukraińcy nie przeprasili. Znow ktoś będzie wyciągać Banderę i UPA i ktoś zechce się pochylić nad »wciąż otwartymi rachunkami krzywd« w relacjach z Ukrainą. Może nawet Chmielnickiego wyciągną, Żółte Wody, Korsuń i Batoh”.

I dalej o „patriotach”: „Ależ się oni troszczyli o naszą dumę narodową, o czystość etniczną, jakże wzdychali do czasów, gdy Rzeczpospolita sięgała od morza do morza. Cel takich wrażliwców jest jasny – skłócenie nas jak tylko się da. Między naszymi narodami i między sobą. Żebyśmy w braciach widzieli ich pradziadków, wśród których byli tacy, co skrzywdzili naszych przodków. A nam ponoć »nie wolno o tym zapomnieć«. Otóż wolno i nawet trzeba. Inaczej nigdy nie wyrwiemy się z tego przekłętą wiru odwetu”.

Zupełnie jakbym swojego naczelnego słyszała! Tylko że Michnik mówił to już jakieś pół wieku temu za Giedroyciem i Kuroniem. Nie wiem, którego z nich to zestawienie bardziej obraża, ale zabawnie wybrzmiewa to u Kucharczaka, który we wstępie pisze, że teraz, po wybuchu wojny, „o miłosierdziu chrześcijańskim nie będą nas musieli pouczać mędrzy z »Wyborczej«”.

Postaram się jednak wyhamować swoją małość, bo to, jak Kucharczak smaga ruskie trolle, pisząc o bezwzględnej konieczności pojednania polsko-ukraińskiego, zasługuje na docenienie (w innych tematach już niekoniecznie, ale o tym przy innej okazji). A to, co reszta tej redakcji robi w kwestii długofalowej pomocy uchodźcom, sprawia, że uchylam kapelusza.

I jeśli jednak spełnią się kasandryczne przepowiednie znajomych o nieuchronnym odwróceniu się od Ukraińców, to z pełnym przekonaniem mówię, że czytelnicy polskiej prasy katolickiej najmniejszej zachęty do tego w niej nie znajdują. ●

wyborcza | magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Rząd musi myśleć o nas ciepło

Czy mamy prawo człowieka do węgla?

* Bodnar

*** Adam Bodnar**
– dr hab., prof.
Uniwersytetu
SWPS, rzecznik
praw obywatel-
skich VII kaden-
cji (wrzesień
2015 – lipiec
2021), autor
książki „**Nigdy
nie odpuszczę**”
(Agora, 2022)



**Jeszcze kilka miesięcy temu wie-
le osób w Polsce mówiło, że powinni-
śmy odchodzić od węgla.** Kryzys kli-
matyczny prowadził do licznych de-
klaracji politycznych, że należy skoń-
czyć z wykorzystywaniem węgla do
ogrzewania mieszkań czy produkcji
prądu. Z tym postulatem wiązał się in-
ny – stopniowego zastępowania węgla
odnawialnymi źródłami energii.

W obecne wakacje jesteśmy w zu-
pełnie innej sytuacji. Wojna zmieniła
wszystko. Po pierwsze, węgiel stał się
bardzo drogi. Po drugie, jest go bardzo
mało na rynku. Po trzecie, transforma-
cji energetycznej nie można przepro-
wadzić na zasadzie pstryknięcia palca-
mi. Po czwarte, wiele domów, mieszk-
kań i miejsc użyteczności publicz-
nej musimy ogrzać jesienią i zimą wę-
głem, bo innej możliwości nie będzie.

**Jeden z dziennikarzy zadał mi ostatnio
w prywatnej rozmowie pytanie, czy
mamy prawo człowieka do węgla.** Na
tyle mnie zafrapowało, że postanowi-
łem zajrzeć wnikliwie do konstytucji.

Słowo „węgiel” tam nie pada. Ale
co ciekawe, nie znajdziemy w niej tak-
że słowa o energetyce. Chyba słusz-
nie – konstytucja to przecież nie jest
lista wszystkich możliwych zagad-
nień funkcjonowania państwa. Nato-
miast określa zadania państwa – a na-
leży do nich zapewnienie bezpieczeń-
stwa obywateli oraz ochrona praw
i wolności jednostki, przy uwzględnie-
niu zasady zrównoważonego rozwoju.
W tych zadaniach należy dopatrywać
się bezpieczeństwa energetycznego.

Prawo do „węgla” można odczy-
tać z konstytucji, ale nie bezpośrednio,
lecz jako konsekwencję obowiązku
przestrzegania niektórych praw i wol-
ności człowieka i obywatela, ale także
szczególnego traktowania niektórych
grup społecznych.

Kilka przykładów. Art. 66 ust. 1 mó-
wi o prawie do bezpiecznych i higie-
nicznych warunków pracy. Szczegóło-
we normy BHP określają maksymalne

i minimalne temperatury, kiedy może-
my wykonywać pracę zawodową. Pra-
codawca jest zobowiązany do zapew-
nienia odpowiednich warunków pra-
cy. Bez ogrzania zakładów pracy nie
można tego obowiązku zrealizować.
Z kolei art. 68 ust. 1 gwarantuje pra-
wo do ochrony zdrowia. Trudno so-
bie wyobrazić realizację tego prawa,
jeśli szpitale czy przychodnie byłyby
nieogrzone. Podobnie prawo do edu-
kacji, wynikające z art. 70. I tu przepi-
sy szczegółowe przewidują minimalne
wymogi dotyczące temperatury, kiedy
można prowadzić zajęcia szkolne.

Konstytucja obejmuje ochroną tak-
że szczególne grupy społeczne. Z art.
68 ust. 3 wynika, że władze publicz-
ne są obowiązane do zapewnienia
szczegółowej opieki zdrowotnej dzie-
ciom, kobietom ciężarnym, osobom
niepełnosprawnym i osobom w pode-
szłym wieku. Konstytucja nakłada tak-
że szczególne zobowiązania w kontek-
ście zabezpieczenia egzystencji oso-
bom z niepełnosprawnościami (art.
69), jak również rodzin wielodziet-
nych i niepełnych, znajdujących się
w trudnej sytuacji materialnej i spo-
łecznej (art. 71 ust. 1). Zatem w przy-
padku szpitali, przychodni, domów
pomocy społecznej i innych miejsc
użyteczności publicznej, w których
znajdują się osoby potrzebujące szcze-
gólnego wsparcia, władze publiczne
muszą zapewnić możliwość ogrzania
pomieszczeń – w wielu przypadkach
za pomocą węgla. Muszą także udzie-
lić przedstawicielom tych grup odpo-
wiedniego wsparcia socjalnego.

**Wyobraźmy sobie, że rząd przezna-
czy wszystkie zasoby węgla na ta-
kie wsparcie.** A co z pozostałymi oby-
watelami? Czy oni mogą liczyć na coś
więcej? Czy konstytucja im w jakikol-
wiek sposób pomaga?

Art. 75 określa zadania państwa
w zakresie polityki mieszkaniowej.
W szczególności stanowi, że wła-
dze prowadzą politykę sprzyjającą
zaspokojeniu potrzeb mieszkanio-
wych obywateli oraz przeciwdziałają

ją bezdomności. Moim zdaniem po-
jęcie polityki mieszkaniowej oznacza
nie tylko zapewnienie dachu nad głó-
wą. To mieszkanie powinno spełniać
podstawowe kryteria zdatności do
zamieszkania. Problem pobrzmiwał
w kontekście dyskusji na temat loka-
li socjalnych, które musiały wypeł-
niać standardy lokalu nadającego się
do ogrzania.

W kontekście prawa do węgla war-
to także spojrzeć na art. 76. Stanowi
on, że „władze publiczne chronią kon-
sumentów, użytkowników i najemców
przed działaniami zagrażającymi ich
zdrowiu, prywatności i bezpieczeń-
stwu”. To wskazuje na możliwe za-
stosowanie do sytuacji kryzysu ener-
getycznego – brak możliwości ogrza-
nia mieszkania zdecydowanie zagraża
zdrowiu. Problem w tym, że ten prze-
pis nie odnosi się do wszystkich oby-
wateli, tylko do tych, którzy są w sy-
tuacji zależnej od osoby dysponującej
danym dobrem (np. najemca w sto-
sunku do właściciela lokalu). Słowem
– nie będą mogli się nań powołać wła-
ściciele domów jednorodzinnych. Są
zdani sami na siebie.

Problem ubóstwa energetycznego
pojawiał się w krajowych debatach na
temat praw człowieka, ale nigdy w ta-
kim stopniu. Zdarzały się interwencje
Biura RPO dotyczące braku środków
na ogrzanie lokalu socjalnego (ale tak-
że lokalu prywatnego), lecz nie w ska-
li, która dotyczyłaby praktycznie całe-
go społeczeństwa polskiego. Stąd być
może konstytucja wydaje się niedo-
skonala, bo zderza się z nowym, wcze-
śniej słabo zidentyfikowanym proble-
mem. Podobnie jest z prawem do wo-
dy. W konstytucjach innych państw
przewiduje się prawo dostępu do wo-
dy pitnej. W Polsce ten problem za-
czyna występować dopiero ostatnio
i pewnie za jakiś czas zaczniemy się
zastanawiać – może warto konstytucję
pod tym kątem poprawić.

**Ale najważniejsze jest to, że na kwe-
stię prawa do węgla nie powinniśmy
patrzeć w kategoriach praw indywidu-**

alnych: mam roszczenie, władza po-
winna je zrealizować – tylko w katego-
riach polityk publicznych. Zwróćmy
uwagę, że większość wspomnianych
norm konstytucyjnych to tzw. nor-
my programowe. To oznacza, że wła-
dza powinna je realizować w taki spo-
sób, aby maksymalnie wypełnić tre-
ścią. Mogą być przydatne w kształto-
waniu ustawodawstwa, swego czasu
były wykorzystywane przez Trybunał
Konstytucyjny do badania norm usta-
wowych. Nie można jednak się na nie
bezpośrednio powoływać.

Normy programowe mogą być jed-
nak pomocne w ocenie postępowania
rządzących. Jeśli władza wykonawcza
i ustawodawcza ich nie realizuje, to
znaczy, że lekceważy przesłanie aksjo-
logiczne konstytucji, nie wypełnia za-
dań w stosunku do obywateli. Są one
określone po to, aby stanowić kręgo-
słup działań państwa i polityk publicz-
nych. Rząd i parlament mają swobo-
dę w doborze środków, ale nie mo-
gą przez swoją nieudolność, brak wy-
obraźni czy złą koordynację zaniedbać
ich realizacji.

Funkcja norm programowych pole-
ga na tym, że obywatele mogą dopyty-
wać, czy są one realizowane (przypo-
mnijmy debatę „Mieszkanie prawem,
a nie towarem”). Ponadto mogą z re-
alizacji tych norm rozliczyć rządzą-
cych przy urnie wyborczej.

W piosence „Polskie Tango” Taco
Hemingway śpiewa przekornie „A lit-
tle węgiel never killed nobody”. Napi-
sał ten wers w reakcji na to, jak ata-
kowane były środowiska klimatycz-
ne, postulujące uwolnienie Polski od
węgla i wskazujące na ofiary smogu
w małych miasteczkach. Ale teraz ten
wers może mieć zupełnie inny sens.
Brak „little węgiel” może spowodować
mnóstwo ludzkich tragedii – zwłasz-
cza u tych najuboższych i wykluczo-
nych. Dlatego walka o bezpieczeństwo
energetyczne obywateli staje się obec-
nie centralnym zagadnieniem z zakre-
su praw człowieka. ●

P.S. Herytiera: pół Polski czyta
książki maturzystki o złej miłości

WYBORCZA

KSIAZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Detektyw
**Raymonda
Chandlera**

99+ innych rzeczy,
które czynią
świat
znośniejszym

LISTA DLA KSIĄŻEK
STWORZYLI M.L.M.:
Barry • Bednarek
Domosławski • Gebert
Kuczek • Leder • Lis
Murek • Podsiadło • Rak
Rejmer • Reszka • Rusinek
Saunders • Stawiszyński
Strout • Sumińska
Szczygieł • Szejnert
Tokarczuk • Wicha

Najważniejsze
premiery lata

Sponsorka numeru
**Elfriede
Jelinek**

Magazyn w sprzedaży

wyborcza.pl

- **Andrzej Leder** o psychoterapii
- **Artur Domosławski** o „Imagine” Lennona
- **Justyna Bargielska** o bitwie pod Grunwaldem
- **Przemek Staroń** o klockach Lego
- **Natalia Szostak** o leżeniu
- **Radek Rak** o korzyściach z ucieczki

Więcej na:
Wyborcza.pl/ksiazki

Zamów do domu z **darmową dostawą:**
prenumerata24.pl

NASZA EUROPA

Snyder o siedmiu kluczowych czynnikach

UKRAINA MOŻE WYGRAĆ TĘ

Ale z racji swych słabości, a zwłaszcza słabości gospodarki, kraj ten jest w dużym stopniu uzależniony od naszej percepcji tej wojny. A ona jest zmienna



Ukraińska wyrzutnia rakiet na froncie w obwodzie charkowskim, 2 sierpnia

FOT. EVGENIY MALOLETKA/AP

Timothy Snyder

co naprawdę chodzi w wojnie toczącej się w Ukrainie? Nie chodzi o nazistów, broń jądrową ani NATO. Chodzi o suwerenność i przetrwanie. Ale teraz chciałbym się zastanowić, co się dzieje na froncie.

Moim zdaniem dzieje się to, że Rosja przegrywa.

Decyzja o najechaniu Ukrainy była zbrodnicza, ale też błędna. Żaden rząd nie przyzna się łatwo do czegoś takiego, wciąż czekamy na amerykańską autoocenę blamażu w Iraku. Ale szczególnie trudno przychodzi to tyranowi, który władzę ufundował na swym wizerunku silnego, nieomylnego człowieka. Rosja doszła do tego stadium wojny, w którym walczy dalej, bo wstyd byłoby się wycofać. Szybko to stadium osiągnęła.

Wojna skończy się wtedy, kiedy Putin zrozumie, że Rosja przegrywa – zrozumie, że zagrożona jest jego osobista pozycja. Innymi słowy, nie ma tu bezpośredniego przełożenia na język terytorialnych zysków i strat, ofiar własnych i nieprzyjaciela. Chodzi raczej o trudno uchwytną sytuację polityczną. Najbardziej prawdopodobna wizja rosyjskiej porażki to ofensywa Ukrainy, która zmienia nastroje w Rosji, tworzy widoczne napięcia w rosyjskim państwie i zmusza Putina do zmiany narracji. Czy to możliwe?

Putin na pewno może zmienić narrację. Robi to stale, to przecież jego recepta na rządzenie. Zmienił ją, kiedy najechał Ukrainę, nie osiągając założonych celów. Zmiana formuły „inwazja na Ukrainę nie jest możliwa” na „inwazja na Ukrainę jest nieunikniona” nastąpiła w lutym tego roku, w iście orwellowskim stylu. Putin może ponownie odwrócić narrację, o ile sprawy nie wymkną się zbyt szybko spod kontroli. Ale nie zmienia jej, dopóki nie będzie musiał

– a zmusić go mogą jedynie sukcesy Ukrainy.

Czy Ukraińcy mogą przejąć inicjatywę na froncie? Myślę, że to prawdopodobne, ale najpierw chcę przypomnieć pewien podstawowy fakt. O wojnach wiadomo, że są jedną wielką niewiadomą. Toczą się w czasie i przestrzeni, w domenie ciał i umysłów, na obszarach, które nielatto wskazać na mapach i w podręcznikach – bywa, że wszystko zmienia jakiś dziwny, niespodziewany zwrot wydarzeń.

Sądzę, że o prawdopodobnej wygranej Ukrainy przesądzi siedem kluczowych czynników, które decydują o przebiegu konfliktów zbrojnych: czas, ekonomia, logistyka, ukształtowanie terenu, taktyka, etos i strategia. W przypadku tej wojny musimy uwzględnić też niewiadomą, jaką jest międzynarodowa opinia publiczna.

Omawiając każdy z tych czynników, wyjaśnię, dlaczego sprawy mogą potoczyć się inaczej, niż przewiduję, zwiększając szanse rosyjskiego zwycięstwa – niech czytelnik sam osądzi moje racje. Argumenty czerpię z kilku źródeł, m.in. lektur z zakresu historii wojskowości, a także rosyjskich i ukraińskich relacji z wojny, które śledzę. Moje wnioski można zestawzić z opiniami historyków wojskowości z prawdziwego zdarzenia – np. Lawrence’a Freedmana na dobry początek.

CZAS

Rosja liczyła na szybkie zwycięstwo. Kiedy go zabrakło, a wróg nie został upokorzony, zaczął liczyć się czas, który daje okazję nieprzewidzianym czynnikom. Im dłużej trwa wojna, tym bardziej słabnie rzeczywista bądź pozorna przewaga silniejszej strony.

EKONOMIA

Rosja jest gospodarczo znacznie silniejsza od Ukrainy. Sankcje na nią nałożone wkrót-

ce, moim przynajmniej zdaniem, dadzą o sobie znać, gdyż armia ukraińska zacznie wykorzystywać przewagę technologiczną, której Rosja nie sprosta bez objętego sankcjami importu.

Rosja robi, co może, by zniszczyć ukraińską gospodarkę. Ale Ukrainę wspiera ekonomiczna potęga Zachodu, która dystansuje i Rosję, i Ukrainę. Podczas II wojny światowej nie tylko Brytyjczycy, także Sowieci byli ekonomicznie zależni od USA – to lekcja, którą Rosjanie skutecznie wyparli. W tej wojnie amerykańska i europejska potęga gospodarcza stoi po stronie Ukrainy.

Gospodarka zależy jednak od polityki. Jeśli ma decydować, rządy – a zwłaszcza rząd Niemiec – muszą szybko i pomysłowo wykorzystać swoją gospodarczą potęgę, inaczej niż to jest przyjęte podczas pokoju. Berlin musi mniej myśleć o rozbudowaniu w pięć lat swojej armii, a więcej o tym, co można wysłać do Ukrainy za pięć tygodni i co zbudować dla niej za pięć miesięcy. Najpotężniejsze gospodarki w dziejach muszą udowodnić, że potrafią produkować działa i pociski zgodnie z planem, co – jak się wydaje – zrozumiała Polska.

LOGISTYKA

Ukraina walczy na własnym terytorium, co daje jej logistyczną przewagę. Nie musi przenościć na duże odległości żołnierzy i zaopatrzenia. Ukraińcy w mundurach mogą też zwykle liczyć na wsparcie miejscowej ludności i organizacji pozarządowych.

Kiedy w lutym i marcu Rosja atakowała z Białorusi, próbując bezskutecznie zająć Kijów, jej logistyka okazała się katastrofą. Teraz w Donbasie jest prostsza, bo wschodnia Ukraina sąsiaduje z Rosją, a południe kraju jest dostępne z kontrolowanego przez Rosję Krymu i Morza Czarnego. Ale odpowiednie uzbrojenie Ukraińców może naruszyć, a nawet zerwać tę logistyczną sieć.

UKSZTAŁTOWANIE TERENU

Trudno nie zauważyć, że w maju i czerwcu, kiedy Ukraina nie rozmieściła jeszcze przekazanej przez partnerów artylerii dalekiego zasięgu, Rosjanie nie umieli wykorzystać sprzyjającego ukształtowania terenu na południowym wschodzie kraju. Na północy musieli pokonywać naturalne przeszkody, takie jak wzgórza i lasy. Na południowym wschodzie było inaczej, a mimo to ich postęp był bardzo powolny. A teraz Ukraina już ma odpowiednią broń.

TAKTYKA

Rosyjscy żołnierze nie lubią zbliżyć się do Ukraińców. Opierają działania wojenne na artylerii, zabijając z dystansu. Rosjanie ostrzeliwują daną pozycję, aż zmieni się w stos gruzu, który następnie przejmują. W ten sposób zabijają cywilów i zrównują z ziemią miasta, obracając w pustynię całe połacie ziemi, tym jednak w ich systemie nie przejmują się nikt. Balistyka sprowadza się do swego rodzaju matematyki, a do tej pory Rosjanie mieli w niej przewagę – więcej dział, więcej pocisków, stanowiska poza zasięgiem wroga.

Ale jeśli przewaga rosyjskiej artylerii stopnieje, zmieni się też charakter wojny. Ukraina dostaje dziś precyzyjną broń dalekiego zasięgu, którą niszczy rosyjskie składy amunicji. Rosja może kompensować straty, ale spowolnieniu to nieuchronnie dostawy amunicji, a tym samym artyleryjski ostrzał. Jeśli Ukraina będzie nadal dostawać potrzebne jej uzbrojenie, wkrótce zacznie dyktować taktykę. Rosjanie nie potrafią dobrze walczyć w zwarcu, więc jeśli Ukraina zdobędzie artyleryjską przewagę, możemy być świadkiem ich powolnego odwrotu, bo dowódcy nie będą w stanie mobilizować żołnierzy do walki na krótki dystans.

ETOS

Raczej „etos” niż „morale”, bo to, co mam na myśli, ma głębsze korzenie niż nastroje, które mogą się zmieniać i zmieniają się z dnia na dzień.

Ostatecznie Rosjanie mogą zawsze wycofać się do Rosji i można odnieść wrażenie, że wielu miałoby na to ochotę. W pewnym momencie rosyjscy dowódcy mogą całkiem rozsądnie zasygnalizować swemu cywilnemu przełożonemu, że mają wiele innych obowiązków poza Ukrainą. Klipy, które oglądam, zdają się świadczyć, że tak naprawdę nie wiedzą, co właściwie robią w Ukrainie. Rosyjscy żołnierze, w tym autorzy blogów, nie są szczególnie zmotywowani. Przechwytywane (wybór-czo) rozmowy telefoniczne ukazują wojsko, które chętniej płąduje, niż naciera. Najwyraźniej ani rosyjscy przywódcy, ani obywatele nie troszczą się zbyt o dziesiątki tysięcy zabitych i okaleczonych własnych żołnierzy, ale oni sami chcieliby wrócić żywi do domu.

Żaś Ukraińcy nie mają dokąd pójść. Przywódcy państwa, które ich atakuje, otwarcie grożą im eksterminacją. Ukraińscy żołnierze chętnie, w prostych słowach, opowiadają o tym, co różni ich kraj od Rosji. Wiedzą, o co walczą.

STRATEGIA

Putin zarządził inwazję, wychodząc z błędnego założenia, że ukraińskie państwo jest tworem obcym, narzuconym przez elity i że

NASZA EUROPA

WOJNĘ

ukraiński naród ucieszy się z jego upadku i powita rosyjskich żołnierzy jak braci. Rosyjskie „uzasadnienia” tej wojny nie są zapowiedzią zwycięstwa, tylko kolejnych okrucieństw – oficjalnie mówi się nadal o „denazyfikacji i demilitaryzacji”, co przypomniał właśnie minister spraw zagranicznych Kremla. Oznacza to eliminację i upokorzenie ludzi, których Rosjanie kojarzą z ukraińskim narodem i państwem. Jednak hasło „denazyfikacja i demilitaryzacja” określa jedynie sposób prowadzenia wojny, a nie jej skutek. Wojna zmieniła ukraiński naród i państwo, ale nie tak, jak chciałaby Rosja. Wojna je umocniła.

Przez ostatnie dwa miesiące Rosja próbowała okrążyć w Donbasie ukraińskie wojska, lecz w dużej mierze zawiodła. Zajęła niewielką część regionu (obwody ługański i doniecki). Obwód ługański jest teraz niemal w pełni kontrolowany przez Rosjan, w odróżnieniu od mniej więcej połowy obwodu donieckiego. Rosja zajęła większość okupowanych terenów podczas pierwszych czterech tygodni wojny. Faktycznie, licząc od końca marca, Ukraina odbiła więcej terytorium, niż straciła – większość na północ od Kijowa, lecz także w rejonie Charkowa i Chersonia, oraz Wyspę Wężową.

Minister obrony Rosji Siergiej Szojgu wezwał niedawno do wzmożenia ataków „na wszystkich kierunkach”. Nie jest jasne, co to znaczy, jak to osiągnąć ani jak przełożyć na język strategii. Szojgu, jak Putin, nie ma doświadczenia wojskowego, jest bardziej specjalistą od public relations.

Wydaje się, że rosyjski plan polega obecnie na niszczeniu ukraińskiej gospodarki, terroryzowaniu ludności cywilnej rakietowymi uderzeniami w miasta, odcięciu Europy dostaw energii i zagłodzeniu Afryki i Azji wskutek manipulowania eksportem żywności – w nadziei, że wszyscy, którzy ucierpią, staną murem za Rosją. Innymi słowy, rosyjska strategia wojenna sprowadza się w znacznej mierze do blokady całego świata przez jeden kraj.

Plan Ukrainy polega, jak sądzi, na chronieniu fizycznej i społecznej integralności kraju – ten cel udało się osiągnąć – a także kontrataku celem odzyskania żyznych ziem i strategicznego południa (obwodu chersońskiego), co zerwałoby rosyjskie linie dostaw i obaliło, cokolwiek jeszcze zostało z pokutującego w rosyjskim umyśle mitu Rosji niezwykłej.

Myślę, że strategia liczy się mniej niż inne czynniki – mniej, niż się zwykle sądzi. Pewną przewagą daje większa spójność celów, a w tej chwili bardziej spójne wydają się cele Ukrainy.

Niewiadomą jest opinia publiczna. Rosyjskie sondaże notują szerokie poparcie dla wojny, ale wydaje się ono ulotne. Do tej pory po stronie Rosji ginęli żołnierze z Azji, rosyjscy biedacy i wcieleni do rosyjskiej armii obywatele Ukrainy. Dla

mieszkańców rosyjskich miast wojna jest czymś w rodzaju telewizyjnego show. Ich ulotne, telewizyjne poparcie nie przekłada się na chęć walki.

Pod pewnym względem Putin przypomina zachodnich przywódców – boi się ogłosić mobilizację, bo wojna ma być wydarzeniem medialnym, widowiskiem sportowym. Rosja robi, co może, by rekrutować żołnierzy na ukraiński front bez zbędnego hałasu, nie stwarzając wrażeń, że ma miejsce jakakolwiek mobilizacja. Putin zdaje się rozumieć, że ulotne poparcie społeczne może wyparować, jeśli zmieni się charakter wojny. Jego wyzuczenie na rosyjską opinię publiczną sugeruje też, że zmuszony do tego, reagowałby elastycznie na porażkę w Ukrainie.

Ukraińska opinia publiczna jest znacznie bardziej skonsolidowana. Wojna to nie spektakl, tylko rzeczywistość. Prezydent i siły zbrojne cieszą się ogromną popularnością. Raczej nie zmieni się to w najbliższych miesiącach.

Najważniejszą zmienną może się teraz okazać europejska i północnoamerykańska opinia publiczna. Rosyjskiej propagandzie nie udało się upowszechnić tezy, że agresywna wojna na wyniszczenie była usprawiedliwiona. W odstawkę poszły trzy „n”, wątek nazistowski, nuklearny i natowski, które zainaugurowały kampanię medialną. Poręczniejsza propagandowo okazała się formuła, wedle której Ukraina nie potrafi wygrać, a wojna skończy się, kiedy Zachód przestanie dosyłać broń.

Wojna dowiodła, że ukraińskie państwo – a właściwie społeczeństwo obywatelskie – jest znacznie bardziej odporne i sprawne, niż ktokolwiek przypuszczał. Moim zdaniem Ukraina może wygrać tę wojnę. Ale z racji swych słabości, a zwłaszcza słabości gospodarki, kraj ten jest w dużym stopniu uzależniony od naszej zmiennej percepcji tej wojny. Rosyjska droga na skróty do zwycięstwa – może jedyna droga – polega na przekonaniu nas, że Ukraina nie może wygrać, że wojna jest w jakimś sensie winą Ukrainy i że jakoś się skończy, jeśli odmówimy jej dalszego poparcia.

Ukraińcy muszą wykazać się determinacją na każdym polu. Nasze zadanie jest nieporównanie łatwiejsze. Wystarczy, byśmy mieli niespaczony obraz rzeczywistości, wykazali się niejaką cierpliwością i wspierali napadniętą demokrację odpowiednią postawą i niezbędnym uzbrojeniem. Od tego, czy nas na to stać, może zależeć wynik tej wojny. ●

tłum. Sergiusz Kowalski

Timothy Snyder

• jest amerykańskim historykiem, profesorem Uniwersytetu Yale



LENA LEADING EUROPEAN NEWSPAPER ALLIANCE

Najemnicy narzędziem polityki Rosji

Grupa Wagnera wypycha migrantów z Libii

Cel: presja przed wyborami we Włoszech.

Giuliano Foschini
Fabio Tonacchi

la Repubblica

Z portów Cyrenajki kontrolowanych przez rosyjską brygadę najemników zaczęło nagle wypływać więcej łodzi niż w ciągu ostatnich dwóch lat. Tak Rosja usiłuje wywierać nacisk na Europę, a szczególnie Włochy, przed przyspieszonymi wyborami, które chce wygrać proputinowska prawica.

Niewiele wystarczyło, by skutecznie odkręcić „kurek z migrantami” w Cyrenajce. Ze wschodniej części wybrzeża Libii, czyli terytorium kontrolowanego przez bojówki generała Haftara wspierane przez rosyjskich najemników z Grupy Wagnera, wyrusza dziś znacznie więcej migrantów niż w ciągu ostatnich dwóch lat.

Ponadto wypływają teraz głównie z dwóch rejonów, które do tej pory nie cieszyły się popularnością wśród przemytników ludzi: okolic portów Derna i Tobruk. Wydawało się, że trasy te zostały skutecznie zablokowane dawno temu, tymczasem, jak opowiadają wylawiani z morza uchodźcy, nagle na nowo stały się węzłami komunikacyjnymi wykorzystywanymi przez przemytników.

– Libia – tłumaczy nam specjalista z włoskich służb bezpieczeństwa – jest dziś armatą wycelowaną we włoską kampanię wyborczą: imigracja jest chyba najpotężniejszą bronią dla tych, którym zależy na destabilizacji naszego kraju i ingerencji w wyniki wrześniowych wyborów.

Włoski kontrwywiad już kilka tygodni po rozpoczęciu wojny w Ukrainie wydał pierwsze ostrzeżenie: Kreml będzie próbował wykorzystywać swoje wpływy w Libii, by zwiększyć napór fali osób szukających azylu w Europie. W czerwcu wydał kolejny alert, bardziej dobitny. A w ostatnich dniach – kiedy rozgrywał się ostatni etap kryzysu rządu Maria Draghiego, którego do dymisji zmusiła postawa Ligi i Ruchu 5 Gwiazd – obserwacja wydarzeń na wybrzeżu libijskim nie pozostawia wątpliwości nawet laikom. Uciekinierzy z Sahelu, Bliskiego Wschodu, Jemenu mają zielone światło.

Skorzystają na tym ci, którzy straszak pod nazwą „inwazja imigrantów zalewa nasz kraj” potrzebny jest do zdobycia poparcia wyborczego. Oczywiście pierwszym z nich jest Matteo Salvini, lider prawicowej Ligi, który doprowadził do upadku rządu Mario Draghiego.

5 TYS. WAGNEROWCÓW TRZĘSIE LIBIĄ

To jednak oznacza, że z Libii znów wypływają stare, drewniane łodzie rybackie z trudem utrzymujące się na powierzchni, bo załadowane 560 osobami każda. Obierają kurs na wybrzeże Sycylii nie tylko z powodu desperacji osób uciekających przed wojnami, głodem i prześladowaniami. Jest to też efekt decyzji politycznej tych, którzy żerując na dramacie uchodźców, zamierzają wywrzeć nacisk na Europę.

Należy do nich – nie tylko zdaniem służb – Rosja Putina, która z pomocą co najmniej 2 tys. najemników (a według niektórych nieoficjalnych źródeł ludzie wynajęci przez Grupę Wagnera w Libii liczą aż 5 tys.), stacjonujących w czterech bazach wojskowych na terytorium nieuznanego rządu w Tobruku (Brak al-Shati, Al-Dżufra, Gardabija i Al-Chadim), pozwala utrzymać się przy władzy Haftarowi. Ale nie tylko Rosja ma swój interes w tym procederze.

LIBIA – POLE ROZGRYWKI WIELU AUTOKRATÓW

Od początku tego roku do Włoch dotarło drogą morską 39 tys. imigrantów – dla porównania: przez cały 2021 rok było ich 27,8 tys., a w 2020 roku, w szczycie pandemii – 13 tys. W lutym i marcu liczby morskich imigrantów spadły, w kwietniu i maju nastąpił podejrzany skok, który nie wyhamował w czerwcu i lipcu.

– Wyruszyliśmy z malego portu w pobliżu granicy z Egiptem – opowiadał chłopiec, który znalazł się wśród rozbitków uratowanych tydzień temu przez włoską straż przybrzeżną. Włosi wypatrzyli łódź ok. 120 mil od Kalabrii. Wraz z tym chłopcem było na niej aż 674 uchodźców: Syryjczyków, Egipcjan i Palestyńczyków. Pięć osób na pokładzie zmarło z wyczerpania i pragnienia. Na Lampedusę od ostatniej niedzieli do wtorku zawinęły 72 gumowe pontony z Libii i Tunezji. A na tra-

sie wschodniej, z Turcji, naliczono do tej pory 10 tys. imigrantów. I ta liczba będzie rosnąć.

Sytuacja na libijskiej ziemi komplikuje się przez to, co znajduje się pod nią, czyli złoża ropy naftowej, jedne z najbogatszych na świecie. W ciągu ostatnich dwóch lat Rosja wraz z Egiptem była w stanie blokować większość migrantów usiłujących wypływać ze wschodnich obszarów Libii. Wszystko się zmieniło wraz z wojną w Ukrainie.

Po miesiącach wzajemnego szachowania się doszło do nieoczekiwanego zbliżenia między urzędującym w Trypolisie premierem Abdulem al-Hamidem ad-Dubajbą a generałem Haftarem. Jak tłumaczą analitycy, generał dał się ugłaskać zgodą, aby współzarządzał National Oil Corporation (NOC), firmą będącą właścicielem szybów w Libii. W ciągu zaledwie czterech dni dzieńna produkcja ropy wzrosła ponaddwukrotnie: z 400 tys. do 1,1 mln barylek.

LIBIJCZYCY BIORĄ REWANŻ ZA DECYZJE RZYMU

Co to ma wspólnego z Włochami? Z jednej strony niektórzy ludzie Haftara krytycznie oceniają zbliżenie z władzami w Trypolisie – zareagowali rozluźnieniem kontroli nad portami, z których wypływają migranci. Z drugiej strony w libijskim aparacie bezpieczeństwa są tacy, którzy źle przyjęli ostatnie posunięcia włoskiej Partii Demokratycznej. W środzie PD zgłasowała przeciwko przedłużeniu finansowania monitorowania granic morskich [Włosi płacą i dostarczają sprzęt, Libijczycy „monitorują”, z mniejszym lub większym zaangażowaniem]. Chodzi o prawie 12 mln euro do 31 grudnia 2022 r. Na tę wiadomość we Włoszech nikt prawie nie zwrócił uwagi, ale odbiła się głośnym echem po drugiej stronie morza, zwłaszcza wśród tych, którzy znowu liczyli na te pieniądze.

W istocie następny, prawdopodobnie prawicowy rząd we Włoszech, który zostanie wyłoniony po jesiennych wyborach, odpowiada nie tylko Kremlowi, ale i nowej strukturze władzy wznoszonej w Libii – państwie, w którym – chyba po raz pierwszy we współczesnej historii – Włochy nie odgrywają już żadnej roli: swoją grę prowadzą tam Rosja Putina, Turcja Erdogana, Egipt Sisiego, a po cichu także Francja Macrona. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz

Nie podniosłam łapki
w górę, gdy magazyn
„Vogue” pochwalił się
sesją Oleny
i Wołodymyra
Zelenskich
sfotografowanych
w Kijowie przez
Annie Leibovitz.
Nie dałam też łapki
w dół

Beata Łyżwa-Sokół

Jak wielu miałam mieszane uczucia, czy wojna powinna być dekoracją dla sesji szybko nazywanej przez internautów modową.

Zdjęcia Annie Leibovitz – celebrytki w świecie fotografii, portrecistki największych gwiazd show-biznesu dla magazynów lifestyle’owych, takich jak: „Vogue”, „Vanity Fair”, a wcześniej „Rolling Stone” – na pierwszy rzut oka niespecjalnie różniły się od tych, które robiła ostatnio. Wystarczy wspomnieć sesję królowej Elżbiety II w pałacu Buckingham, podwójne portrety aktorów, m.in. Penélope Cruz z Woodym Allenem, zdjęcia Michelle Obamy w Białym Domu i, uwaga, małżeństwa Trumpów na lotnisku. Wszystkie przypominają idealne ujęcia filmowe, bohaterowie prezentują się perfekcyjnie, sztuczne światło lamp studyjnych fantastycznie udaje światło dzienne, nadając kadrom naturalny efekt. „Robiąc każde zdjęcie po swojemu, Annie osiąga cuda”, napisała Anna Wintour, słynna naczelna „Vogue’a”, we wstępie do najnowszego albumu artystki pt. „Wonderland”.

W ROZKROKU

Jednak zdjęcia pary prezydenckiej kraju ogarniętego wojną, sportretowanej w stylu Krainy Czarów, wywołały niepokój. W mediach społecznościowych, na profilach fotoreporterów, dziennikarzy, kuratorów sztuki i instagramerek modowych wielu poczuło wyraźną potrzebę powiedzenia czegoś więcej niż lubię/nie lubię. I nie tylko o wojnę chodziło. Największe poruszenie wywołały zdjęcia Oleny w towarzystwie żołnierki na tle wraku samolotu An-225 Mrija, zniszczonego podczas pierwszych dni wojny w Ukrainie. Ale też zdjęcie okładkowe, na którym pierwsza dama siedzi na schodach w rozkroku, czyli pozie tradycyjnie męskiej, czego – jak się okazuje – wciąż nie wypada.

W obronie Oleny Zelenskiej stanęły instagramerki z całego świata, powtarzając jej pozę z okładki magazynu na zdjęciach wrzucanych na swoje profile. Taki flash mob #sitlikeagirl.

Fotografie tulące się pary wzbudziły zgodny zachwyt, choć niektórzy woleliby, aby to Olena trzymała Wołodymyra za rękę, wtedy wymowa ujęcia byłaby mniej patriarchalna.

WOJNA Z KRAINY CZARÓW



Instagram został rozgrzany do czerwoności przez wpis Adama Broomberga, słynnego kuratora sztuki, autora projektów komentujących obrazy wojny, który nazwał pomysł redakcji „Vogue’a” i Leibovitz podłym, a portrety określił jako powierzchowne i hollywoodzkie. Opinii nie podzieliła większość śledzących jego profil. Komentujący szybko mu przypomnieli, że ani razu nie wypowiedział się o zdjęciach z Buczy.

Argumenty się powtarzały. Że zdjęcia mogły być lepsze, ale nie krytykujemy Zelenskich, ponieważ chcieli w ten sposób przypomnieć o wojnie, która powoli powszednieje. Że okładka „Vogue’a” zmusi bogaty i dobrze odżywiony Zachód do refleksji i pomocy. I jeszcze by zostawić ocenę Ukrainkom i Ukraincom, niech oni powiedzą, czy przeszkadza im, że para prezydencka pozuje do zdjęć, gdy tuż obok giną ludzie. Bo kogo obchodzi zdanie wylegujących się na

Na zdjęciach z Ukrainy
zobaczyliśmy już
wszystko: śmierć,
cierpienie,
okrucieństwo, ból,
strach, utratę.

A także miłość
i bohaterstwo

plaży, zabijających czas podnoszeniem i opuszczaniem łapek w górę i w dół, oni nie mają prawa zabierać głosu w tej sprawie. Były też rady dla redakcji „Vogue’a”, że powinna zamówić sesję u ukraińskiej fotografi, i rady dla Annie Leibovitz, że naprawdę mogła przekroczyć siebie i zrobić coś zupełnie innego, a wtedy seria zdjęć Zelenskich zatytułowana „Portret odwagi” faktycznie przeszłaby do historii. Pod tekstem dziennikarki relacjonującym zamieszanie wokół sesji ktoś napisał: „Od razu wiedziałem że tak przys...ć może tylko kobieta kobiecie”. Krytykujących nierzadko nazywano rosyjskimi trollami.

CZY ZDJĘCIE MOŻE ZMIENIĆ ŚWIAT?

Zdjęcia Leibovitz nie pierwszy raz wywołują kontrowersje. W 1991 roku oburzał nagi por-



OKŁADKA PAŹDZIERNIKOWEGO MAGAZYNU VOGUE Z SESJĄ ANNIE LEIBOVITZ
OLENY I WŁODYMYRA ZEŁEŃSKICH



FOT. WOLFGANG SCHWAN/ANADOLU AGENCY VIA GETTY IMAGES

tret Demi Moore w ciąży na okładce „Vanity Fair”, trzy lata później – Carl Lewis w czerwonych szpilkach, w 2004 roku spierano się, czy pośmiertne zdjęcia Susan Sontag były stosowne, a sesja Elżbiety II z 2007 roku, podczas której Annie poprosiła królową, aby zdjęła koronę, by wyglądać mniej szlachetnie, wystawiła na próbę relację Wielkiej Brytanii z USA.

A czy ta sesja jakoś zmieni świat? Na pewno choć na chwilę przypomniał mi, że w Ukrainie wojna wciąż trwa, choć zeszła już z jedynek światowych gazet.

Tylko nie o to chodzi. Od ataku Rosji na Ukrainę 24 lutego 2021 roku zdjęcia wojenne oglądamy, jeszcze zanim rano pojawią się w papierowych wydaniach gazet czy nawet w ciągu dnia w internetowych serwisach informacyjnych. Dużo wcześniej przeglądamy je w mediach społecznościowych, na profilach fotoreporterów i fotoreporterek,

na twitterowych kontach dziennikarzy, na Telegramie, dostajemy w wiadomościach od bliskich i znajomych, którzy z jakiegoś powodu są na miejscu.

Po ataku na World Trade Center 11 września 2001 roku ludzie częściej klikali w zdjęcia upadających wież niż w porno – twierdził David Levi Strauss w zbiorze esejów o fotografii i polityce „Between the Eyes” wydanym w 2003 roku.

Nie wiem, czy tak było 24 lutego, gdy Rosja uderzyła. Wiem, że na zmianę podnosiłam i opuszczałam łapkę, scrollując zdjęcia z Ukrainy na Instagramie. Podnosiłam i opuszczałam łapkę, analizując, jak odbierze ten gest autor: podoba mi się zdjęcie czy to, co sfotografował? Podniesiony kciuk miał oznaczać: „Hej, świetna robota, to ważne, co robisz, trzymaj się tam”, opuszczony: „To straszne, nie zgadzam się z tym, co widzę na Twoich zdjęciach”. Prawie natychmiast zrezygnowałam z lubię/nie

lubię i tylko obserwowałam kolejne profile dziennikarzy, fotoreporterów i fotoreporterek. Robię to zawodowo – od 2006 roku jestem fotoedytorką „Gazety Wyborczej”, relacjonującej największe konflikty na świecie. Teraz jak nigdy wcześniej mogłam śledzić, które zdjęcia szczególnie poruszają czytelników. Wystarczyło spojrzeć na liczbę lajków i udostępnień.

Fotografię rannej mieszkanki Charkowa z poranioną twarzą i bandażem na głowie autorstwa Wolfganga Schwana z agencji Anadolu, która 25 lutego trafiła na jedyne większości gazet na świecie, dzień wcześniej, czyli w dniu ataku na Ukrainę, udostępniły tysiące internautów.

Chwilę później już kolejne zdjęcia nazywano ikonami. Fotografia Jewhena Małoletki przedstawiająca ranną kobietę w ciąży wynoszoną ze zbombardowanego szpitala w Mariupolu, drastyczne zdjęcia ofiar zbrodni w Buczy. W tym kadr, który stał się wiralem – dłoni Iriny z pomalowanymi paznokciami (to zdjęcie Zohry Bensemy). Portrety wycieńczonych obrońców Azowstalu Dmytra „Oresta” Kozackiego, wreszcie wizerunki uchodźców, matek z dziećmi, par rozstających się na dworcach i ludzi ze zwierzętami domowymi, stłoczonych w pociągach, nocą przekraczających pieszo granice sąsiednich państw. Zainteresowanie wzbudzały jeszcze zdjęcia pomagających uchodźcom, w tym przede wszystkim celebrytów.

Wszystkie te fotografie zostały opublikowane w prasie i w serwisach internetowych. Spory o to, czy publikować najbardziej drastyczne ujęcia m.in. z Buczy, trwały zaledwie chwilę. Przecież każdy widział je w internecie, czy tego chciał, czy nie.

ŚMIERĆ I MIŁOŚĆ

Już w 2003 roku Susan Sontag nazwała nas podglądaczami (w słynnym zbiorze esejów „Widok cudzego cierpienia”). A przecież wtedy myślała głównie o telewizji. Dziś, w dobie mediów społecznościowych, to określenie brzmi bardzo mocno. Scrollując godzinami wpisy na FB czy na Instagramie, nawet nie tyle, że podglądamy, ale przyjmujemy do wiadomości. I dalej prześlizgujemy się po ekranie telefonu. Łapka w górę, łapka w dół...

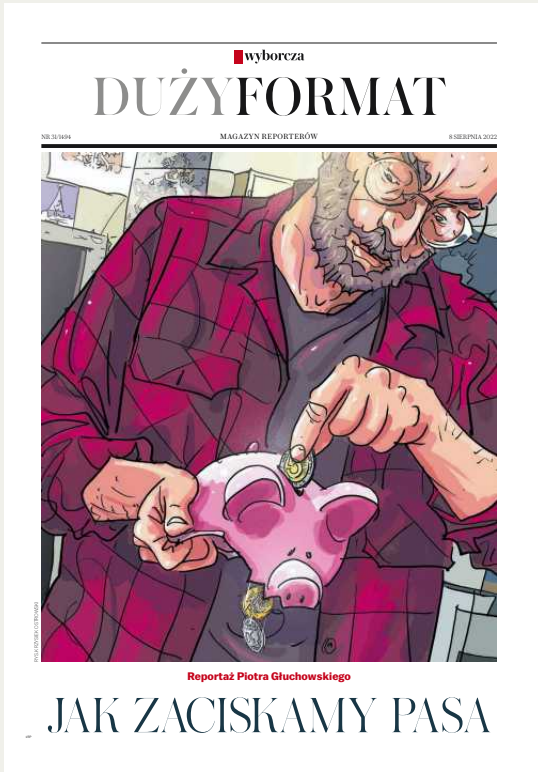
„Nie chodzi o to, że mylimy zdjęcia z rzeczywistością, wolimy je od rzeczywistości. Nie możemy znieść rzeczywistości, ale znosimy jej obrazy”, podsumował swoje rozważania o współczesnej fotografii wspomniany już wcześniej David Levi Strauss.

A co ze zdjęciami, które zmieniły świat? Wszyscy je znamy, wymienię więc hasłowo: „Napalm Girl”, Minamata, Abu Ghraib, mężczyzna, który zatrzymał czołg na placu Tiananmen, masowe groby w Bośni i Rwandzie...

Ale to było dawno temu. Na zdjęciach z Ukrainy zobaczyliśmy już wszystko: śmierć, cierpienie, okrucieństwo, ból, strach, utratę. A także miłość i bohaterstwo.

Czy te zdjęcia są niewystarczająco dobre? ●

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 JAK ZWIĄZAĆ KONIEC Z KOŃCEM, GDY WSZYSTKO DROŻEJE?

Reportaż Piotra
Głuchowskiego

2 Z MOBBEREM NIE WYGRASZ.

Dlaczego mobbingu
nie ma w Kodeksie
karnym?

3 DLACZEGO ZOSTAŁAM W KOŚCIELE?

Katarzyna
Włodkowska
rozmawia
z molestowaną
w dzieciństwie
przez księdza

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

30, ALBO I WIĘCEJ, LEKTUR NA WAKACJE

KSIĄŻKI RÓWNIEŻ
DLA IDIOTÓW

Dla Kaczyńskiego – autorzy niebinarni. Dla Terleckiego – „Jak się starzeć bez godności”. Dla Trzaskowskiego – „Betonozą”. A czym zepsuć urlop Tuski, feministkom i kucom Korwina?

Grzegorz Wysocki

Można zniszczyć wakacje dosłownie wszystkim Polakom? Nic prostszego, wystarczy obdarować rodaka książką. Zwłaszcza jeśli chcemy go wyprowadzić z równowagi. Wtargnąć za parawan. I stąd antyprezentownik złożony z samych tytułów niemiłych, niełatwych i nieprzyjemnych. (Rozsławionym słowami noblistki idiotom miłosiernie wyjaśniam, że wbrew obliczonemu na kliki tytułowi tekst raczej nie jest dla nich przeznaczony).

W pierwszej kolejności niszcymy wypoczynek politykom, trudno bowiem o większą (i łatwiejszą) satysfakcję. Dla Jarosława Kaczyńskiego, autora wiecowych dowcipów o Władysławie, który o wpół do szóstej zmienia zdanie i odtąd chce być Zosią: obowiązkowy zestaw każdego transfoba, czyli: „Trans i pół, bejbi” Torrey Peters, „My, trans” Piotra Jaconia oraz „Trans” Laury Jane Grace. Ktoś hojniejszy może dorzucić dwa literackie objawienia autorstwa osób niebinarnych, a więc nieidentyfikujących się jednoznacznie z żadną płcią: „Niepokój przychodzi o zmierzchu” Marieke Lucasa Rijneveld i „Śmierć Viveka Ojiego” Akwaek Emezi oraz „Całą siłę, jaką czerpię na życie”, czyli monumentalny (1000 stron, 1,5 kg!), poruszający zbiór świadectw osób LGBTQ+.

„Wyborcza” uchodzi za bezwzględnie antypisowską, co nie może być prawdą, skoro dokładam Kaczyńskiemu gratis: „Zabójcze aplikacje. Jak smartfony zmieniły nasz świat” Michała R. Wiśniewskiego, „Telefon komórkowy” Paula Levinsona i „Jak zerwać ze swoim smartfonem” Catherine Price. A wszystko za sprawą innej złotej myśli prezesa, który dostrzegł, iż młodzież nasza znajduje się pod wielkim wpływem smartfonów. Może akcja przedwyborcza „Schowaj młodemu ładowarkę”?

Z kolei Donald Tusk na niedawnym wiecu zapowiedział, że wyprowadzi „nielegalnego” Głapińskiego z NBP: „Nie będzie ani dnia dłużej prezesem NBP. Nie trzeba będzie ustawy”. A Tomasz Siemoniak dorzucił, że „przyjdą silni ludzie i wyprowadzą prezesa”. Obu panom szykującym porachunki proponuję „Tu byli, tak stali” Gabriela Krauzego. Hardkorowa powieść, codzienność londyńskich blokowisk, mistrzostwo stylu i brawurowy przekład Tomasza S. Gałązki.

A co podarować Hołowni, Kosiniakowi czy Czarzastemu? Na jakie ich słowa z ostatnich tygodni zwrócić uwagę? Nie mam pojęcia, a w takim wypadku zawsze najlepiej ra-

tować się klasyką. Tytuły do głów musicie już sobie dopasować sami: „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta, „Wielkie nadzieje” Dickensa, „Człowiek bez właściwości” Musil (czekamy na nowe wydanie – stare chodzą za miliony), „General martwej armii” Kadarego i jeszcze „Głęboki sen” Chandlera.

Skończył Chandler, wspomnieć trzeba o nowych przekładach „Głębokiego snu”, „Wysokiego okna” i „Żegnaj, laleczko” (tłumaczy Bartosz Czartoryski). Trójkąk wędruje do feministek, którym resztę urlopu zepsuje przymus cancelowania białego heteroseksualnego samca z licznymi przypadłościami. Broniłbym talentu Chandlera do upadłego, ale weźmy taki opis: „Pewnie wszyscy jej faceci prędzej czy później bili ją po twarzy. Dało się to zrozumieć”. Albo: „Zalatywał przesuszoną stęchłą kojarzącą się z umiarkowaniem czystym skośno-okim”. Jest się czym oburzać!

Feministki docenią też „Tresowanego mężczyźnę” Esther Vilar. Wydać dziś ten bezlitosny antifeministyczny traktat z 1971 r. i przeżyć – oto prawdziwa sztuka.

Teza: mężczyźni są pracowici, mądrzy i wszechstronnie wspaniali, a kobiety leniwe, tępe, brzydkie i wszechstronnie beznadziejne, więc jakim cudem owinęły wokół palca górującą nad sobą pleć? Esej ma zatem ogromny potencjał, by zdemolować urlop każdej feministce, choć trudno go dzisiaj czytać inaczej niż w trybie perwersyjnego korwinistyczno-incelskiego dowcipu. Ale że się da, świadczy wyzywanie autorki od „faszystek” czy groźby ślano do niej do dzisiaj.

Opalającym się nad Bałtykiem chłopcom prawnikom wręczamy stosik, który mógłby nadwerężyć ich patriarchat. „Gorsze. Jak nauka pomyliła się co do kobiet” Saini, „Pleć i mózg” Joel i Vikhanskij czy „Nie widziane kobiety. Jak dane tworzą świat stworzony przez mężczyzn” Perez. Tryb przypuszczający stąd, że ktoś musiałby przymusić ich do lektury. Maja Staško i siostry feministki? Akurat zajęte, z nożycami w dłoniach, pochylone nad Chandlerem.

Ale czym w ogóle na te wakacje, z tymi książkami, się udać? Można samolotem (wydany pod pseudonimem „Kontroler ruchu lotniczego” Muza), ale skoro kosmiczne ceny, wielogodzinne odprawy, zapchane lotniska, braki kadrowe i etyczny niesmak bo flygskam (Greta Thunberg każe ci siedzieć w domu), to chyba jednak lepiej pociągiem („Ostre cięcie. Jak niszczone polską koleją” Trammera i „Opóźnienie może ulec zmianie” Antosza), busami, busikami („Ostatni autobus” Capote’a) lub

rowerem (świetne, a przegapione „Stąd. 150 drzwi pod jednym adresem” Krzysztofa Storego). Zawsze też można wyruszyć na piechotę, zwłaszcza po lekturze „Zewu włóczęgi” Solnit i „Filozofii chodzenia” Grosa.

Teraz stajemy przed fundamentalnym pytaniem, które nurtowało samego Jeana-Claude’a Van Damme’a (film z 1993 roku): uciec, ale dokąd? Z góry odrzucamy wszystkie bogato ilustrowane przewodniki i rzewne prozy podróżne na kredowym papierze. Ubogacająca, wartościowa ideowo wyprawa musi być nieprzyjemna, ma boleć i uwierać. W ofercie mojego biura podróży znajdziemy więc następujące destynacje: Boliwia („Potosi” Izagirrego), Wietnam („Depesze” Herra), Włocławek („Znikająca Polska” Witwickiego), wyspa trędowatych („Spinalonga” Goloty),

Donbas (dający wgląd w korzenie, kulisy władzy i codzienność samozwańczych republik „Aparament w hotelu Wojna” Forró). Dla brunatnych nostalgików: „Wakacje w Trzeciej Rzezy” Julii Boyd. Wakacje są nie tylko kredytowe („Dług” Graebera), to także prace sezonowe. By odfajkować temat

pracy w ogóle, Tomaszowi Lisowi dedykuję „Pracę i inne grzechy” Charliego LeDuffa, a co szukającym roboty podpowiadają księgarnie? Możemy remontować blok na krakowskich Azorach z Waldemarem Bawolkiem (ekscentryczna „Furtka przy dozorcy”). Można zatrudnić się w berlińskim burdelu, by zdać z tych doświadczeń relację (frapujący „Dom” Emmy Becker). Można też oszukać inflację i wykiwać raty kredytów, przekwalifikowując się na pomoc dentystyczną, w czym pomoże fascynująca „Bolesna historia stomatologii” Wybrandta (plukanie jamy ustnej moczem w charakterze środka przeciwbólowego – w dobie niedoborów jak znalazł).

Skoro przy niedoborach jesteśmy, ktoś musi być Marią Antoniną, więc biorę to na siebie: Nie mają na chleb? Niech czytają książki! Będąc biednym, można przynajmniej poczytać o prawdziwych fortunach, ekstrawagancji i nadmiarze. Weźmy „Historię luksusu” McNeila i Riello albo „Polskich miliardów” Sobień-Górskiej, gdzie przeczytałem o Dagmarze, jednej z żon najbogatszych Polaków: „Jeśli chodzi o modę, to w Polsce szalu nie ma. I dla takich kobiet jak ja to naprawdę jest wyzwanie, żeby się ubrać. Całe szczęście, że nam tego Vitkaca otworzyli, ale czasami tam też wielkiego wyboru nie ma”. Pamiętajcie, krezusom również nie jest lekko.

Czytelników biednych nie stać już nawet na książki, których ceny też poszybowały w kosmos. Przykłady: „Dziennik wojenny” Czapskiego, wywiad rzeka z prof. Frisz-

kem czy wyczekiwany od lat polski przekład „Infinite Jest” Wallace’a. Każda kosztuje, uwaga, 120 złotych, włącznie z biblią nowej, prekarnej i walczącej z ekonomicznymi nierównościami lewicy, czyli „Kapitałem i ideologią” Piketty’ego. Co ma zrobić biedny człowiek? „Pożegnanie z biblioteką” – jak brzmi tytuł elegijnego eseju Alberta Man-guela? Opcja druga: kupować jak dzieła sztuki, za kilka lat będzie jeszcze drożej.

Itak wracam do demolki urlopów naszych, nomen omen, drogich polityków. Dla prezesa Głapińskiego kilka pozycji pilnie uświadamiających: „Biedni w bogatym kraju” Kristofa i WuDunn, „Nierówności. Co da się zrobić?” Atkinsona. Dla Mateusza Morawieckiego – „Krótka historia kłamstwa” Dietzscha. Dla Ryszarda Terleckiego – „Jak się starzeć bez godności” Grzebałkowskiej i Winnickiej. Dla solidnej reprezentacji polityków obozu rządzącego – „Będziesz siedzieć. O polskim systemie niesprawiedliwości” Krasnowskiej, dla ich rywali z jeszcze bardziej prawej strony, foliarzy oraz Grzegorza Brauna – brawurowi „Strażnicy wolności” Hugo-Badera oraz pięknie wzniesiony „Dziennik roku zarazy” Daniela Defoe, by mogli się zachwycać, jak wyglądała zaraza sprzed wynalezienia szczepionek i sprzed narodzin Billa Gatesa.

A żeby szeroko rozumiana opozycja nie czuła się pokrzywdzona – dla Rafała Trzaskowskiego „Betonozą” Jana Mencwela (niewarszawiakom, czyli, wbrew pozorom, znakomitej większości Polaków i czytelników, podpowiadam jako przypis do tego żarciku felieton Jarosława Osowskiego o nowej dumie stolicy, placu Pięciu Rogów). Dla Michała Kołodziejczaka, „nowego Leppera” i lidera Agrounii – „Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce” Anny Wylegały.

Wreszcie dla, jak to poetycko określił prezydent Trzaskowski, „dupiarzy” – dwie mądre, ważne, choć dla załężnionego męskiego czytelnika niełatwe rozprawy z męskością: „Gotowi na zmianę. O mężczyznach, męskości i miłości” Bell Hooks oraz „Samiec alfa musi odejść. Dlaczego patriarchat szkodzi wszystkim”. Do tego „Wymazana przyjemność. Klitoris i myślenie” Malabou oraz pouczająca „Zgoda” Springory. Dwie ostatnie wydane przez krakowskie Ostrogi, które rozpoczęły też pierwszą (po ponad 220 latach!) pełną polską edycję „Nowej Justyny” markiza de Sade (niestety, rozbita na wiele tomów, a więc i droga, patrz pod: inwestycje).

Skandalizujący markiz nadalby się też jako prezent dla skandalizujących księży, których flirty, erotyczne zagajenia i sextingowe umiejętności poznajemy w ostatnim czasie. Owieczkom zdawać się może, że kler zaczyna jest w „Celibacie” arcybiskupa Rysia, a tu się okazuje, że dla jednych duchownych bardziej odpowiednią lekturą byłaby „Radość seksu gejowski”, a dla innych „Biblia waginy” tudzież „Modlitwy waginy”. Wszystkich księży – tych pocziwych również – zachęcam do spóźnionej edukacji, nawet jeśli teoria nie miałyby się nigdy przekuć w praktykę. Dowiedzą się m.in., czy włosy łonowe są potrzebne albo czy pochwa kurczy się i zamknie, jeśli kobieta nie uprawia seksu. Nigdy dosyć pogłębionej wiedzy na temat parafianek. ●



JAKI SMS DOSTANĘ NA SPITSBERGENIE

**Wyszedłem z ma-
lutkiego polarnego
lotniska objuczony
żeglarskim workiem,
telefonem satelitar-
nym i karabinem. Za
mną ze swoim workiem
– syn**

Szczepan Twardoch

Po co ja tu w ogóle przyjechałem? Pytanie to zadałem sobie po raz pierwszy w 2006 roku, pierwszy raz wysiadając z samolotu w Longyearbyen na Spitsbergenie.

Był to chyba czerwiec, wiało ze dwadzieścia węzłów wiatru, niosącego drobny, zacinający deszcz, temperatura normalna dla polarnego lata, pięć stopni. Miałem bardzo ciężki plecak, bo nie było mnie stać na liofilizowane jedzenie, starą analogową lustrzankę i dobre buty, zamierzałem na zawartości tego plecaka przeżyć najbliższe dwa tygodnie i byłem tą perspektywą nieco przerażony, gdy samo rozbicie namiotu na porwistym wietrze okazało się przedsięwzięciem co najmniej ambitnym.

Pytałem sam siebie wtedy w duchu, przed przyjaciółmi robiąc dobrą minę do złej gry, po co ja tu w ogóle przyjechałem – i nie znalazłem odpowiedzi.

Miałem wtedy dwadzieścia siedem lat, nie miałem dzieci, a to oznacza, że byłem kimś zupełnie innym niż ten czterdziestotrzylatek, który wczoraj wyszedł z tego malutkiego, polarnego lotniska objuczony żeglarskim workiem (pięć kilo nadbagażu, kosztowny był to przelot) i dwiema odpornymi na wszystko plastikowymi walizkami, jedną z telefonem satelitarnym i sprzętem fotograficznym, drugą z karabinem. Za mną ze swoim workiem i sprzętem szedł mój piętnastoletni syn. Odpowiedzi na pytanie, po co przyjeżdżam tutaj kolejny raz, ósmy albo dziewiąty, trudno mi się doliczyć, nie znalazłem do dziś.

Co łączy mnie z tym chłopakiem sprzed lat poza brakiem odpowiedzi na pytanie, po co w ogóle przyjeżdżam na Spitsbergen? Nie wiem. Trwanie człowieka jako osoby, kogoś osobnego, o własnej tożsamości, wydaje mi się jedną z największych tajemnic ludzkiej egzystencji, *conditio humana*. Tajemnicą jest dla mnie przerywana snem ciągłość naszej świadomości i nieprzerwana ciągłość tych procesów



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

**Przedawniają
czy zacierają się tylko
winy, nigdy zasługi,
co wydaje mi
się ciekawe
i niespodziewane**

w naszym umyśle, które odbywają się poniżej jej poziomu, albo raczej dookoła niej, czyli to, co sprawia, że o poranku wstajemy zasadniczo tym samym człowiekiem, którym spać się kładliśmy.

To wszystko sprawia, że z punktu widzenia prawa, ale również moralnie, jestem tym samym człowiekiem, co ten mocujący się z namiotem chłopak sprzed szesnastu lat. Zobowiązania przezeń zaciągnięte pozostają moimi zobowiązaniami, jego dług moim długiem, jego wina moją winą. On jednak nie był mną wtedy, w 2006 roku, nie wie przecież jeszcze wcale, kim się stanie w przyszłości, z czego będzie żył, jak na imię będą miały jego dzieci, gdzie będzie mieszkał, jakich ludzi spotka w życiu i co się z nim stanie. Pelen był nadziei, chociaż nie na to, co stało się potem jego udziałem.

Wtedy nurtowały mnie inne kwestie, dziś jednak to, że człowiek pozostaje tym samym człowiekiem, osobą ludzką od śmierci do narodzin, wcale nie wydaje mi

się bezspornie oczywiste. W końcu nawet prawo posiada kategorię przedawnienia i zatarcia – chociaż przedawniają czy zacierają się tylko winy, nigdy zasługi, co wydaje mi się ciekawe i niespodziewane. Pozostaliśmy więc przy tym, że tamten chłopak z 2006 roku nie był mną, ja jednak dziś, w roku 2022, jestem nim, jakbym go sobą otorbił, narósł na nim jak kolejne słoje pnia drzewa.

Tyle więc o mojej łączności z mną samym z czasów, kiedy na Spitsbergen przyjechałem po raz pierwszy.

Po raz ostatni zaś byłem na Spitsbergenie w roku 2019. Z tamtego wyjazdu narodziła się moja nowa powieść, polarny „Chołód”, która na półki księgarń trafi w październiku. Od siebie samego sprzed trzech lat nie różnię się zasadniczo niczym – tak mi się przynajmniej zdaje – tylko tym, co napisałem: dwie sztuki teatralne, powieść, kilkanaście felietonów i większej publicystyki, jakże jednak w tym czasie zmienił się świat!

Zaraza i rosyjska napaść na Ukrainę zakończyły tę naszą małą, euroatlantycką *belle époque*, której wcześniej, przynajmniej w naszym mniemaniu, nie szkodziły inne liczne wojny ani nawet kryzys 2008 roku. W 2019 pojechałem na Spitsbergen sam, bez planu innego, niż pójść z plecakiem przed siebie i przez tydzień nie widzieć człowieka. Popłynąłem speedboatem do Pyramiden, wysiadłem na kei i tak właśnie

zrobiłem: poszedłem przed siebie i przez tydzień byłem być może jedynym mieszkańcem Dickson Land. Nie kontaktowałem się ze światem, zasypiałem w namiocie pełen pierwotnego strachu przed tym, że przyjdzie niedźwiedź i mnie zje, ale jednocześnie spokojny byłem raczej o to, że świat, z którego na ten tydzień uciekłem, wcale się przez ten tydzień nie zmieni.

A dziś, w 2022 roku? Ile może się zdarzyć w ciągu dwóch tygodni? Wszystko. Czy Rosjanie użyją broni jądrowej, NATO zareaguje i wszystko wymknie się spod kontroli? Czy gdzieś wybuchnie nowa wojna? Na Tajwanie, w Kosowie? Wirus zmutuje? Albo, co gorsza, stanie się coś zupełnie innego, niespodziewanego, nieprzewidzianego?

Ktoś mądry mógłby tu słusznie powiedzieć, że to tylko kwestia perspektywy.

Wojna czy epidemia mogły równie dobrze wybuchnąć i w 2019 roku, historia cała składa się z wielkich zaskoczeń. To oczywiście prawda, a jednak dziś czuję i przeżywam tę ulotność naszej egzystencji w ogóle, a naszej *way of life* szczególnie dużo bardziej, niż przeżywałem ją w 2019. Mam więc nadzieję nie dostać od nikogo na telefon satelitarny SMS-a, z którego dowiem się o kolejnej rosyjskiej zbrodni, nowej wojnie czy innym nieszczęściu, mam nadzieję raczej, że przyjaciel, z którym od samego początku wojny staraliśmy się na miarę naszych niewielkich możliwości wspierać wysiłek wojenny Ukrainy, napisze mi w SMS-ie, że Ukraińcy wzięli Chersoń.

I znowu: ktoś mądry mógłby zauważyć, że to wszystko mógłbym przeżywać również u siebie w Pilchowicach, wystarczyłoby rozbić namiot na polu przed domem, a telefon zostawić w szufladzie. Oczywiście, to prawda. Jednak surowa, polarna przyroda wyzwała we mnie swoim majestatem to, co Edmund Burke nazywał przerażeniem (*terror*), które uwzniosła duszę człowieka, w odróżnieniu od tego (*horror*), które ją niszczy. Nie uważam tych wzruszeń za tanie: medytacja nad powolnym tempem, z jakim pełnię do morza niebiesko-zielone bóstwo lodowca, nad krwawymi śladami niedźwiedziego posilkku na krze, mantra odwiecznego przyboju na czarnej plaży, koany, które wykrzykują prześladowane przez wydrzyka ostrosterne mowy, to wszystko przydaje mojej egzystencji jako człowieka i mojej pracy literackiej dalekiej perspektywy, jakbym nagle zmienił ogniskową w obiektywie, przez który patrzę na siebie w świecie, ujrzał się w poszerzonej perspektywie.

Po to chyba jeżdżę na Spitsbergen. Tyle po wylądowaniu. Do usłyszenia niedługo, z pokładu S/Y Join Us. ●

Szczepan Twardoch wyrusza na Spitsbergen. Historia, przyroda, przygoda, relacje pisarza, zdjęcia i codziennie aktualizowana interaktywna mapa podróży – obserwuj wyprawę 4-17 sierpnia na **Wyborcza.pl/twardoch**

PARTNERSTWO

Partnerem cyklu o wyprawie na Spitsbergen jest Wydawnictwo Literackie, wydawca nowej powieści

Szczepana Twardocha „Chołód”

W KSIĘGARNIACH OD 26 PAŹDZIERNIKA

WYDAWNICTWO LITERACKIE

34195668

CO MNIE URZEKŁO

Chmury Niderlandów

Polskie „przewietrzyć się” nie oddaje niderlandzkiego „uitwaaien”
– które oznacza bardziej „przewiać się” i oczyścić głowę z ciężkich myśli

MARTA GRZYWACZ

T

Tak, pola tulipanów na pewno. Trudno pohamować odruch zrywania, tym bardziej że na równinach Niderlandów sadi się kwiaty tylko dla cebulek, te trafiające do bukietów pochodzą ze szklarni, więc komu by to szkodziło, żeby uszczknąć ze dwie garście? Nie, nie było gorączki tulipanowej, która jakoby wywindowała cenę jednej cebulki do wartości domu. To plotka rozdmuchana na cały świat. Była bessa, ale nie aż takich rozmiarów. Żadnych bankructw i samobójstw.

Więc może stare wiatraki, których ramiona, często nieruchome, nie miały już nawet powietrza? Jak najbardziej. Urozmaica ją płaski krajobraz i przypominają o czasach, kiedy praca – dla kalwińskich w większości mieszkańców Niderlandów najwyższa powinność – była znacznie cięższa i zależna od widzimisię natury.

Poprzecinane kanałami poldeiry – wyrwane wodzie i zagospodarowane ziemie, które bez rozlewu krwi powiększyły życiową przestrzeń Holendrów – też biorę. No dobrze, mieli jeszcze zamorskie kolonie, ale dziś próbują się rozliczać z własnego okrucieństwa. Stracili nawet z piedestału byłego kolonizatora i fundatora muzeum Mauritshuis w Hadze, tam gdzie wisi „Dziewczyna z perłą”. Jego posąg zniknął z hallu. Holendrzy dopiero zaczęli bić się w piersi i trochę im to jeszcze zajmie.

Miasta? Zdecydowanie. Haarlem – starszy niż Amsterdam, z siecią nastrojowych uliczek, do których pasuje tylko jedno słowo nieprzetłumaczalne na polski – „gezellig” – połączenie przytulnego, uroczego, milego, czegoś, co sprawia, że dobrze się czujesz. Obok kościoła dom z czerwonymi latarniami – sacrum i profanum w zgodnej komitywie. A Delft, znany ze swojej błękitno-białej porcelany, Lejda z uniwersytetem, który wypuścił w świat sławnych naukowców, Amsterdam – dostojny, choć wciąż niepompatyczny (Holendrzy cenią brak ostentacji), z siecią kanałów, wzdłuż których rozlokowały się kamienice, jedne z najdroższych w Europie. A każda inna, choć rządzi nimi jak najbardziej pisane prawo – mogą mieć różne wykończenia dachów,



Jacob van Ruisdael,
The Windmill at Wijk (1670),
Rijksmuseum Amsterdam

FOT. DOMENA PUBLICZNA

wysokość, zdobienia na fasadach, ale muszą mieć zbliżoną tonację kolorystyczną: brązy, rudości, beże, trochę bieli i czerni. Zachwycająca jest ta konsekwencja. Porządek w różnorodności. Brak krzykliwej kakofonii.

Wzruszają mnie plecaki, wywieszane za oknem razem z trójkolorową niderlandzką flagą na znak, że w tym domu jakieś dziecko szczęśliwie skończyło szkołę średnią. Jakby rodzina chciała powiedzieć: cieszc się razem z nami. A już z trudem polykam lzy, gdy obserwuję, jak upamiętniają swoich żołnierzy zabitych we wszystkich wojnach. Co roku 4 maja na głównym placu Amsterdamu gromadzi się tłum, a oficjele na czele z królem i królową składają wieńce pod pomnikiem poległych. Choć partii politycznych jest tu z milion, a tworzenie rządu trwa czasem pół roku, nikt nikogo nie omija, nie idzie składać wieńca pod inny pomnik, nie mówi, że „jego wieniec jest wieńszy” niż tamtych. Są krzywdy, które wszyscy oplakują w zgodzie i porozumieniu.

Jednak do tego, żeby dostrzec nie to, co przed oczami, tylko nad głowę, dochodzi się powoli. Pogoda w Niderlandach jest zmienna i niepewna, deszczowa, wietrzna. Taki mają klimat. Ale i tę wadę przekuli w zaletę. Polskie „przewietrzyć się” nie oddaje niderlandzkiego „uitwaaien” – które oznacza bardziej „przewiać się” i oczyścić głowę z ciężkich myśli. My powiedzielibyśmy, że wiatr

głowę nie tyle czyści, co urywa, a Holendrzy uwielbiają spacerować na wietrze. Tym bardziej że natura, jakby chciała wynagrodzić im niedogodności klimatu, ofiarowuje niekończącą się wystawę ruchomych obrazów. Na niebie kalejdoskop zmieniających się kształtów i formacji – chmury „kalafiorowe”, „kowadła”, „owce”. Na każdą znajdzie się nazwa. Jedne puchate jak wata cukrowa, inne, rozmyte, tworzą sieci babiego lata, a grube i opite wodą przypominają posążki Buddy. Gdy gęstnieją i ciemnieją, zawisają nad głowami mieszkańców groźbą sztormu. Przebijające się przez nie światło maluje je w odcieniach bieli i szarości w ciągu dnia i ciemnych czerwieni pod wieczór.

Jasne, wszędzie są chmury. Ale te w Niderlandach jednak szczególnie. Mówi się, że to dlatego, że tak dużo tam wody, która paruje i odbija promienie słoneczne. Albo że szare niebo wzmacnia kontrasty. Jakakolwiek przyczyna, niebo nad Holandią przyciąga wzrok, dlatego stało się inspiracją dla artystów. Główną rolę zagrały chmury w monumentalnej „Panoramie Mesdag” (120 m w obwodzie) Hendrika Willema Mesdaga. Dopiero gdy się nacieszymy ich kształtami – malarz rozlokował je nad naszymi głowami w słoneczny dzień – możemy przyjrzeć się XIX-wiecznemu Scheveningen, które skromnie przysiadło nad brzegiem morza.

Rembrandt w „Krajobrazie z miłosiernym Samarytaninem” (obraz w polskiej kolekcji) namalował je zupełnie inaczej. Złowrogie i smutne są odbiciem tego, co na ziemi – dramatu, który właśnie się rozegrał – rabusie okradli i pobili podróżnego. Ale pomocy udzielił mu przechodzący obok Samarytanin, więc jest nadzieja, że historia dobrze się skończy. I w chmurach Rembrandta ją widać – gdzieś pomiędzy marenego a granatem pojawia się złoty cień przejaśnienia.

Nawet Johannes Vermeer, który nie malował „widoczków” – są tylko dwa jego obrazy przedstawiające to, co na zewnątrz – nie oparł się chmurom. W „Widoku Delft” ciemnoszare cumulusy i odbijające się w fasadach domów resztki światła, które być może za moment zgasi burza, zwróciły uwagę krytyka sztuki Thoré-Bürgerera. I zachwyciły go tak, że po swojej podróży do Holandii w 1842 r. pytał zdziwiony, jak to się stało, że do tej pory nie poznaliśmy takiego mistrza jak Vermeer. I zaczęła się vermeeromania.

Jednak niderlandzkim malarzem chmur został Jacob van Ruisdael. Są u niego zawsze. Rozpychają się na płótnie tak, żeby nikt nie miał wątpliwości, kto tu jest gwiazdą. Bywa, że zajmują trzy czwarte kadru, a przynajmniej połowę. W krajobrazach van Ruisdaela prawie zawsze rozgrywa się dramat – w cza-

sach niderlandzkiego baroku zapowiedź romantyzmu z jego emocjonalnością i pochwałą intuicji. Chmury zwisają ciężko niczym ponura przepowiednia nad „Cmentarzem żydowskim”, nad „Wiatrakiem w Wijk koło Duurstede”, nad „Zamkiem Bentheim”, nad „Brzegiem morza w Egmond”. I z rzadka niosą obietnicę lepszych czasów jak na obrazie „Promień słońca”, gdzie malarz rozświetlił fragment pola, albo jak na „Widoku Haarlemu” z 1665 r., nad którym dopiero zanoszą się burze, ale niebo jest jeszcze niebieskie. Van Ruisdael postanowił rozjaśnić przed nami widoki na teraźniejszość, dodając do swojej palety więcej błękitu i świetlistych żółci.

Niewiele o nim wiemy. Ty-le, że malarzami byli jego ojciec, dziadek, wujek, że był mennonita, który przeszedł do Kościoła reformowanego, że przeprowadził się z Haarlemu do Amsterdamu, że nigdy się nie ożenił, a żył tylko sztuką i kontemplował rzeczywistość. No i że podczas wojny z Francją postanowił zostać lekarzem, więc finansowo nieźle mu się wiodło. Tym bardziej że jego obrazy kupowano chętnie. A mimo to zmarł w biedzie, bo ponoć nigdy nie dbał o pieniądze. Może dlatego, że chodził z głową w chmurach.

Dziś w Holandii jest chyba wspominany częściej niż Rembrandt, van Gogh czy Vermeer razem wzięci, bo patrząc na malownicze niebo, zawsze ktoś powie: „Chmury jak z van Ruisdaela”. ●

W cyklu „Co mnie urzekło?”

opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnie lub czymkolwiek... Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

NASI BRACIA CYRYL I PUTIN

Skoro wszyscy jesteśmy winni, jak chce Franciszek, to w istocie nikt nie jest winien

Mirosław Czech

FOT. GREGORIO BORGIA/AP



U Ciągłe nie wiadomo, czy Franciszek pojedzie do Ukrainy. On sam stwierdził 4 lipca, że taką wyprawę planuje, lecz najpierw pragnie odwiedzić Moskwę, żeby „rosyjski prezydent dał mi małe okienko, by przysłużyć się sprawie pokoju”. Putin „okienka” nie chce otworzyć, choć Franciszek nadal wierzy w zmianę decyzji.

Nadal nie wiadomo, czy Franciszek pojedzie do Ukrainy. W drodze powrotnej z Kanady stwierdził (30 lipca): „Już mówiłem, że chcę. Zobaczymy, co znajdę na biurku po powrocie do domu”. Raczej wykluczona jest podróż do Moskwy. We wrześniu wybiera się do Kazachstanu: „To spokojna podróż, na kongres międzyreligijny”.

Zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego abp Światosław Szewczuk stwierdził (15 lipca): „Myślę, że wystarczy, żeby papież dotknął ran Ukrainy, nawet bez słów, i to już będzie dowód wielkiego działania Ducha Świętego”. Arcybiskup ma zapewne rację w sprawie Ducha Świętego, lecz papież Jorge Bergoglio w Ukrainie będzie musiał coś powiedzieć. Od 24 lutego jego autorytet podupadł na tyle,

że milczenie nie wystarczy. Ludzie będą oczekiwali na gesty i wypowiedzi, by się przekonać, że papież coś przemyślał i zrozumiał.

W sprawie odwiedzin Kijowa pozostają sceptykiem, bo będzie to jedna z najtrudniejszych misji obecnego pontyfikatu. Dla sukcesu ewentualnej podróży potrzeba bowiem nie tylko, by Franciszek pojednał się z Ukrainą i Europą, ale też zrewidował swoje nauczanie o „braterstwie wszystkich” oraz wyciągnął wnioski w sprawie wyzwania, jakie autorytaryzmy rosyjski i chiński rzuciły prawdzie, wolności i demokracji w świecie.

Papież powtarza, że w świecie toczy się „III wojna światowa w kawałkach”, więc jego posłannictwem jest jej zakończenie. To temat przewodni encykliki „Fratelli tutti” (2020), którą napisał pod wrażeniem wojen w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Azji. A także kryzysu finansowego 2008-10, fali migrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu oraz pandemii. Negatywnym bohaterem dokumentu jest Stary Świat – Europa i USA. „Ziemie jałowe dla wiary”

(mniej w przypadku Ameryki, tutaj rozwinął się ruch „neokrzyżowców”) i źródło plag współczesnego świata: kolonializmu, globalizacji, konsumpcjonizmu oraz ich rezultatu – egoizmu bez Boga.

Papieżowi wyszło, że współczesne czasy przypominają epokę wypraw krzyżowych XI-XIII w., więc za przesłanie encykliki wziął cytaty z „Napomnienia” św. Franciszka „fratelli tutti” – „wszyscy braćmi” jesteście. Wizytę u sultana Malika al-Kamila w Egipcie (1218) Biedaczyna „zalecał, by unikać wszelkich form agresji czy sporów, a także by żyć pokornie i po bratersku »w poddaniu«, także wobec tych, którzy nie podzielają ich wiary. Nie prowadził wojny dydaktycznej, narzucając doktryny, ale przekazywał miłość Boga”. Dla samego Bergoglio inspiracją do encykliki stało się spotkanie z wielkim imamem Ahmedem at-Tajebem w Abu Zabi (2019) i wspólny dokument. Wyrazili w nim przekonanie, że Bóg „stworzył wszystkich ludzi równymi w prawach, obowiązkach i godności i powołał ich, aby żyli razem jako bracia i siostry”.

Jedno z pól realizacji tej wizji to sprawa uchodźców. W encyklice papież wymienił wiele działań,

które powinny zostać podjęte na rzecz osób uciekających przed katastrofami humanitarnymi. A zatem uproszczenie procedur wizowych, umożliwienie prywatnego i wspólnotowego sponsoringu oraz otwarcie korytarzy humanitarnych. Zapewnienie godnego zakwaterowania, bezpieczeństwa osobistego, dostępu do podstawowych świadczeń i opieki konsularnej. Zagwarantowanie równego dostępu do wymiaru sprawiedliwości, rachunków bankowych, swobody poruszania się i możliwości podejmowania pracy. Ochrona małoletnich, zapewnienie wolności religijnej i promowanie integracji społecznej – to kolejne pola.

A zatem program wykonany przez państwa europejskie wobec 6,7 mln uchodźców z Ukrainy (3 mln już powróciły). W Polsce formy działania wzbogacono o przyjmowanie ich do domów, niebawą skalę wolontariatu i pomocy humanitarnej. Świat oniemiał z wrażenia, bo tyle braterstwa i miłości bliźniego nie widziano od dawna. Nic tylko się cieszyć i uznać, że ludzie coś zrozumieli z nauczania papieża, choć nie wszyscy są katolikami i wielu zawiodło w sprawie uchodźców z Bliskiego Wschodu.

Ale zamiast pochwały Franciszek potępił udzielających pomocy i tych, którzy ją otrzymują. „Rasizm” to jego komentarz do przyjęcia milionów ukraińskich dzieci, kobiet i osób starszych. Uniwersalizm przesłania o „braterstwie wszystkich” uleciał szybko, niż wysechł atrament, jakim Franciszek podpisywał encyklikę. Potem były gesty papieskiego poparcia dla ukraińskich uchodźców, ale co się stało, to się nie odsta-

Tym bardziej że „rasizm” jako ocena braterstwa okazanego Ukraińcom ma poważniejsze źródła. W encyklice na próżno szukać odniesień do wojny w Ukrainie (wybuchła w 2014), nie ma też śladu refleksji nad losem 1,5 mln uchodźców z Krymu i okupowanej części Donbasu, którzy w latach 2014-16 znaleźli schronienie na pozostałym terytorium Ukrainy. Ich przyjęcie i wsparcie mogłyby stanowić materiał pogładowy dla „braterskiej miłości” – indywidualnej (pomoc poszczególnych osób i rodzin) i zbiorowej (zaangażowanie struktur państwa, samorządów i organizacji społecznych). Teraz ta pomoc jeszcze wzrosła, bo po 24 lutego liczba uchodźców wewnętrznych wzrosła o ponad 7 mln osób. I Ukraina jakoś daje sobie radę.

Skąd taka ślepotą Franciszka? Odpowiedź jest mało chrześcijańska: bo rzecz dotyczy Europy i Europejczyków, czyli autorów zła, a nie jego ofiar. A że Ukraina walczy z imperializmem i kolonializmem rosyjskim, tego pod kopułą bazyliki św. Piotra nie widać.

W 2016 r. w Hawanie Franciszek podpisał deklarację z moskiewskim patriarchą Cyrylem, w której podkreślili, że spotkają się „z dała od dawnych sporów »Starego Świata«”. Dzięki temu katolicy i prawosławni mogą działać na rzecz rozwiązywania problemów świata. W tym niedopuszczenia do wybuchu nowej wojny światowej i zapewnienia trwałości pokoju na podstawie „odkrycia na nowo wspólnych, łączących nas

wartości, opartych na Ewangelii naszego Pana Jezusa Chrystusa”.

Punkt 16. poświęcono integracji europejskiej. Sygnatariusze wezwali „do czujności wobec integracji, która nie szanowałaby tożsamości religijnych”, bo „Europa musi pozostać wierna swoim korzeniom chrześcijańskim”. Stąd prośba „do chrześcijan Europy Zachodniej i Wschodniej o jednoczenie się, aby wspólnie świadczyć o Chrystusie i Ewangelii, ażeby Europa zachowała swoją duszę, ukształtowaną przez dwutysiącletnią tradycję chrześcijańską”.

Cyryl pozostał wierny deklaracji. Wojnę w Ukrainie uznał za opór przeciwko wartościom propagowanym przez tych, którzy „dążą do panowania nad światem” i zmuszają mieszkańców Donbasu do tolerowania parad gejów. Że nie o to chodziło Franciszkowi? A to trzeba udowodnić, bo nie porzucił przygotowań do drugiego spotkania ze swoim „bratem”, by zapewne kontynuować rozmowy o zapobieżeniu wojnie, pokoju i integracji europejskiej.

Jeszcze okrutniej rzeczywistość obeszła się z papieskimi słowami „wszyscy jesteście winni” w reakcji na masakrę w Buczy i innych ukraińskich miastach. Moralnie zrównanie „winy” zabójców

minarium ducha europejskiego”. Pytania o grzech pierworodny, zło i możliwość jego przezwyciężenia były kluczem do zdiagnozowania ontologicznych podstaw ideologii państw totalitarnych, w szczególności komunistycznych. Bez tego – uważał – nie można ich pokonać, przywrócić wolności i demokracji. Między innymi o tym rozmawiał z Janem Pawłem II podczas spotkań w Castel Gandolfo.

W eseju „Czy diabeł może być zbawiony?” filozof pisał: „Związek między świadomością grzechu pierworodnego i postawą biernego rezygnacji w obliczu nie-szczęść ludzkich nie jest trywialnym błędem logicznym; jest silniejszy i bardziej znaczący”. Bo to oznacza, że „jest pewna suma zła, której wykorzenić się nie da, i że w nędzy naszej jest coś nieuleczalnego”.

Sprzeciw Bergoglia wobec prawa ofiary agresji do użycia broni i zanegowanie koncepcji wojny sprawiedliwej bierze się właśnie z afirmacji „postawy biernego rezygnacji” – wszyscy jesteśmy winni zbrodni i gwałtów, bo dziedziczymy grzech nieposłuszeństwa Bogu. Ale owa koncepcja ma rewers: skoro wszyscy jesteśmy winni, to w istocie nikt nie jest winien. A to prowadzi do negacji ontologiczne-

pieskiego „brata”) i zbrodniarzy z armii rosyjskiej. To „biedacy”, którzy – na równi z ludźmi, jacy są bombardowani i giną – „placą rachunek za wojnę” – jak uznał papież. A zatem pokonana – jak w to wierzymy – armia rosyjskiego Armagedonu również zmartwychwstanie do chwały.

Piszę o herezji Franciszka, lecz do końca się wahalem, czy tak zdefiniować manowce, na jakie zapuścił się biskup Rzymu. Nie ustanowił jeszcze doktryny o „winie wszystkich”, nie mam też pewności, czy w Watykanie rozumieją znaczenie używanych słów. Może poza jednym, że wszystko, co piszą i mówią o wojnie w Ukrainie, ma świadczyć o ich „zrozumieniu” dla Rosji i Putina.

O. Antonio Spadaro SJ, redaktor naczelny organu jezuitów „La Civiltà Cattolica” i jeden z bliskich ludzi papieża, podjął się całościowej obrony współbrata („Siedem obrazów inwazji na Ukrainę”).

Franciszek – argumentuje Spadaro – „nie próbuje eliminować zła”, ponieważ wie, że to niemożliwe. Zło zmanifestowało by się gdzie indziej i w innych formach. Tak było zawsze, więc tak samo będzie i tym razem. Za-

Dla bliskiego Franciszkowi jezuity połączenie Chrystusa, wolności i NATO ma być „sprzeczne z chrześcijaństwem”. Ale Pius XII, Paweł VI i Jan Paweł II nie szczędzili słów uznania dla Sojuszu.

Paweł VI i Jan Paweł II to święci Kościoła. Czyżby ich słowa były sprzeczne z chrześcijaństwem?

i zabijanych wywołało zdumienie. Teologicznie stwierdzenie o winie wszystkich zaświadczyło, że konstruując wizję „braterstwa wszystkich”, Franciszek pomylił pojęcie „winny” z „grzeszny”. A to „dwie wielkie różnice”, jak powiadają w Odessie. I rozróżnienie fundamentalne dla nauczania o Wcieleniu i Odkupieniu.

W Katechizmie Kościoła katolickiego problemowi grzechu pierworodnego (grzech Adama: spożycie zakazanego owocu z drzewa poznania dobrego i złego) poświęcono kanony 396-421. I zadekretowano, że grzech pierworodny dziedziczymy wraz z urodzeniem i jest on „własnym grzechem każdego” (419). Stąd Kościół udziela chrztu za odpuszczenia grzechów nawet małym dzieciom, które nie popełniły grzechu osobistego (403). Od grzechu świat został wyzwolony „przez Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, po złamaniu potęgi Złego” (421).

A zatem, wszyscy jesteśmy grzeszni, bo jesteśmy dziećmi Adama, lecz po chrzcie i „wymazaniu” grzechu pierworodnego będziemy sądzeni jedynie za swoje uczynki. Nikt nie jest niczemu „winien” z racji tego, że się urodził.

Dla Leszka Kołakowskiego problem grzechu pierworodnego i ontologicznego charakteru zła był kluczem do zrozumienia teodycei – pogodzenia istnienia dobrego i miłosierdnego Boga z rzeczywistością zła i Złego, który wpływa na dzieje ludzkości. Choć sam agnostyk, uznawał chrześcijaństwo za „se-

go sensu zła, co – jak zauważył Kołakowski – jest szczególnie niszczycielskie.

„Jeśli wszystko ostatecznie ma być usprawiedliwione, wszystko obdarzone sensem w ostatecznym zbawieniu, to nie tylko historii minioniej wystawia się świadectwo niewinności, ale również historii współczesnej, a historia współczesna to to, co każdy z nas tu i teraz czyni. Okazuje się zatem, że z konieczności będziemy uwolnieni od winy na Sądzie Ostatecznym, już to dlatego, że motywy nasze były czcigodne, już to, że byliśmy nieświadomymi agentami opatrnościowej mądrości. Nadzieja na całkowite wykorzenienie zła w przyszłości wystawia teraźniejszości uniewinniający wyrok. Cieszymy się, bo po Armagedonie nawet pokonana armia zmartwychwstanie do chwały”.

W świetle nauczania Kościoła stwierdzenie Bergoglia, że „wszyscy jesteście winni” (więc nikt nie jest winien), to droga do herezji w postaci czystej i tym bardziej wyzywającej, że dotyczącej samej istoty wiary w Odkupienie i Zbawienie. Katechizm stanowi (679), że to „Chrystus jest Panem życia wiecznego. Do niego jako Odkupiciela należy pełne prawo ostatecznego osądzania czynów i serc ludzi. »Nabył« On to prawo przez swój Krzyż”.

Udział biskupa Rzymu w tym orzekaniu nie jest przewidziany. Ale Franciszek „wystawia teraźniejszości uniewinniający wyrok”, oczyszczając z winy Putina (ma być mężem niosącym pokój, choć to sprawca wojny i zła), Cyryla (pa-

miast tego Franciszek „stara się zło zneutralizować”. Ma być świadomy tego, że jego postawa wyglądająca jak głos wołającego na puszczy, lecz podobnie postępował Jan Paweł II podczas wojen w Zatoce Perskiej.

Chciałoby się powiedzieć: „nie wzywaj nadaremnie imienia świętego Pańskiego, skoro świadomie błędzisz”. Mottem posłania na Dzień Pokoju w 2005 r. papież Wojtyła uczynił pouczenie św. Pawła z Listu do Rzymian: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj” (12,21). Jan Paweł II argumentował: „Żaden człowiek dobrej woli – mężczyzna czy kobieta – nie może uchylać się od obowiązku walki, by zło zwyciężać dobrem. Jest to walka, którą toczy się skutecznie jedynie bronią miłości”. I dodał: „Jeśli pragniemy pokoju w świecie i chcemy położyć kres podziałom i przemocy, musimy przeciwstawić mu się miłością i dobrem. Odpowiadając złem na zło, jedynie pogarszamy sytuację”.

Zwyciężaj, a więc eliminuj, a nie zagłaskuj. Walcz, bo to twój obowiązek. Zło zwyciężaj miłością, ale rób to skutecznie, bo do bro powinno zatrumfować.

Z kolei w orędziu na Światowy Dzień Pokoju 2000 r. mówił, że logika przemocy jest podsycana przez „żądze panowania i wyzysku bliźnich, przez ideologie władzy albo totalitarne utopie, przez chorobliwe nacjonalizmy lub zastarzałe nienawiści plemienne. Tej brutalnej i systematycznej przemocy, zmierzającej wręcz do totalnej zagłady lub zniewolenia całych

narodów i regionów, trzeba było czasem stawiać opór zbrojny”.

Czy ktoś powinien żywić wątpliwości, co o wojnie w Ukrainie mówiłby Jan Paweł II?

Kołakowski rozpatrywał kwestię oporu wobec zła w kontekście chrześcijańskiej teodycei. „Walka między diabłem a Bogiem w historii – mówił w „Diabeł i polityka” (wykład na Harvardzie, 1987) – nie jest wesołym widowiskiem. Jedyne pocieszenie stanowi dla nas fakt, że nie jesteśmy biernymi obserwatorami lub ofiarami tych zmagani, lecz w równej mierze ich uczestnikami i że zatem los nasz decyduje się na boisku, na którym poruszamy się i gramy”.

Dzieło stworzenia – tłumaczył – jest aktem miłości Stwórcy i Jego stworzenia. Ale „zdolność do czynienia dobra z własnej woli zakłada zdolność do czynienia zła”, co wykorzystuje diabeł – „malpa Boga” – który sam jest niezdolny do tworzenia. W XX w. wymyślił on państwa ideologiczne, „których zasada legitymizacji opiera się na fakcie, że ich właściciele są właścicielami prawdy. Gdy ktoś przeciwstawia się takiemu państwu lub jego ustrojowi, jest wrogiem prawdy”. Ojciec kłamstwa „pozbył się rozróżnienia pomiędzy władzami świeckimi a religijnymi, koncentrując w jednym miejscu duchową i fizyczną władzę”. Dał władzy „nie tylko narzędzia przymusu i edukacji, lecz także całe bogactwo narodu i, zaiste, sam naród”.

Kołakowski pisał o rozkładzie państw ideologicznych, bo „kiedykolwiek chcą zmobilizować swoich obywateli, odwołują się nie do uniwersalnej prawdy, lecz do narodowych uczuć, imperialnej glorii, racji stanu, nienawiści rasowej”. I skonstatował, że wojna między dobrem a złem nigdy się nie skończy. Bo „nawet jeśli obecna faza skończy się przekreśleniem zamysłów diabła, to będzie on na pewno na tyle sprytny, żeby otworzyć perspektywę dla swej energii. Na próżno byłoby wskazać spekulować o jego przyszłej wynalazczości”.

Spekulować nie warto, lecz odczytywać znaki czasu już tak. I szukać podpowiedzi zgodnie ze wskazaniami autora „Jeśli Boga nie ma”. Takie mamy czasy: gdy w Watykanie rządzą jezuici, katolik powinien czytać pisma agnostyków, żeby trwać przy ortodoksji.

O. Spadaro z emfazą obwieścił, że Franciszek powtarza za Piussem XI, że „dla dobra dusz ludzkich gotów jest paktować z samym diabłem” (wypowiedź Piusa XI z 1929 r.). Tyle dobrego, że do Stolicy Apostolskiej z wolna dociera, z kim mają sprawę.

Autor skarcił prezydenta Bidena za przywołanie podczas wystąpienia na Zamku Królewskim w Warszawie zawołania Jana Pawła II „Nie lękajcie się!”. Dla jezuity połączenie Chrystusa, wolności i NATO ma być „sprzeczne z chrześcijaństwem”. Franciszek zaś naucza: „Jakie to smutne, gdy osoby i narody dumne z tego, że są chrześcijanami, postrzegają innych jako wrogów i myślą o wywołaniu wojny” (20 lutego). Bo – skonkludował o. Spadaro – „świętość nigdy nie jest podporą mocy. Władza nigdy nie jest podporą świętości”.

Po kolei zatem. 29 czerwca, w dzień rozpoczęcia szczytu NATO w Madrycie, Katolicka Agencja Informacyjna opublikowała artykuł „Co o NATO sądzili kolejni papieże?”. Pius XII i Paweł VI nie szczędzili słów uznania i poparcia dla Sojuszu, zaś Jan Paweł II spotkał się z członkami Kolegium Obrony NATO (1982). Wyraził pełne zaufanie do NATO, jego „możliwości pokoju i jego głębokiego poszanowania godności każdej osoby ludzkiej”. Zapewnił, że modli się, „aby Bóg Wszechmogący pomagał wam we wszystkich waszych wysiłkach na rzecz budowania przyszłości naznaczonej zgodą, sprawiedliwością i pokojem”.

Paweł VI i Jan Paweł II to święci Kościoła. Czyżby ich słowa i świadectwo były sprzeczne z chrześcijaństwem? A co począć ze Sługą Bożym Robertem Schumanem, jednym z twórców NATO? Był dumny z bycia katolikiem, a jednak uznawał ZSRR za wroga i dopuszczał z nim wojnę. Właśnie kończy się jego proces beatyfikacyjny, a dekret o heroiczności cnót podpisał sam Franciszek. W Watykanie nie wiedzą, co czyni prawica, a co lewica?

Na tle „pełnych uznania i pochwał papieskich ocen Paktu – uważała KAI – nieco odmiennie wygląda stanowisko obecnego biskupa Rzymu, który kilkakrotnie wypowiadał się co najmniej sceptycznie nt. roli tej organizacji zwłaszcza w kontekście obecnej wojny na Ukrainie”.

Mocno dyplomatycznymi określeniami KAI uchwyciła istotę wyzwania, jakim dla katolików w całej wspólnotie państw demokratycznych stał się obecny pontyfikat. Chodzi o zerwanie z nauczaniem poprzedników w sprawach wolności, demokracji, autorytaryzmu i totalitaryzmu, relacji sacrum i profanum, świętości i władzy. Rezultat? W krytykowaniu przez watykańskich dostojników Zachodu nie ma granic, podobnie jak nie istnieją żadne „czerwone linie” w usprawiedliwianiu i „rozumieniu” Rosji oraz Chin.

O. Spadaro stwierdził: „otrzymując broń, Ukraina przygotowywała się do rosyjskiego ataku. Dlaczego zamiast tego nie podążano drogą dialogu bardziej uprzejmie?”. Dlaczego negocjacje nie zakończyły się sukcesem, aby „uniknąć popadnięcia w otchłań wojny, tym bardziej że wszystkie napięcia były dobrze znane?”.

Już nie tylko „szczekające” NATO, lecz sama Ukraina „sprovokowała” inwazję. A więc to ofiara jest winna, bo miała za krótką spódniczkę, bo była za mało empatyczna... W przyszłych procesach sprawców inwazji na Ukrainę na Kremlu nie muszą się martwić o opłacanie adwokatów, bo w Watykanie tę usługę wykonają za darmo.

Rozwinięciem przesłania Jana Pawła II „Nie lękajcie się!” była encyklika „Redemptor hominis” (1979), w której stwierdził, że Chrystus również w naszej epoce wychodzi na spotkanie człowieka ze słowami: „»poznać prawdę, a prawda was wyzwoli«” (J 8, 32); uczyni was wolnymi. Jakże wspaiałym potwierdzeniem tego byli i stale są ci wszyscy ludzie, którzy dzięki Chrystusowi i w Chrystusie osiągnęli prawdziwą wolność i ukazali ją, choćby nawet

w warunkach zewnętrznego zniewolenia”.

W tych czasach nikt nie miał wątpliwości, o jaką prawdę, wolność i zniewolenie chodziło Wojtyle. W Moskwie też nie miało – w czasach sowieckich i za Putina. Wybór Polaka na Stolicę Piotrową sowieckie politbiuro przyjęło jako „wrogie knowanie” USA i wpadło w popłoch. W 2001 r. rosyjska Cerkiew i władze na Kremlu robiły wszystko, by uniemożliwić jego pielgrzymkę do Ukrainy.

Za papieża Bergoglia wszelkie niebezpieczeństwo minęło. W encyklice „Fratelli tutti” Franciszek zdiagnozował, że dla rozwoju światowej wspólnoty potrzeba lepszej polityki. Obecnie przybiera ona postać populizmu i liberalizmu, czyli „pogarda dla słabych może się ukrywać w formach populistycznych, które wykorzystują ich dla swoich demagogicznych celów, lub w formach liberalnych, służących interesom gospodarczym możliwym”. Nie ma zatem podziału na państwa demokratyczne i autorytarne, który zdefiniował podstawowy spór w polityce międzynarodowej.

Podpisując deklarację o ustanowieniu nowego porządku w świecie (4 lutego), Putin i Xi Jinping rzucili rękawicę demokracji i wolności. Dla Stolicy Apostolskiej ich agresywne współdziałanie to spory kłopot, bo we wrześniu 2018 zawarła porozumienie z ChRL o nominacji biskupów katolickich. Miało położyć kres istnieniu dwóch Kościołów – podziemnego i podporządkowanemu władzom. W zamian władze uzyskały prawo do decydowania o nominacjach biskupów.

Przygotowując dokument, Franciszek powiedział (2015): „Szczekajemy naród chiński. Kościół prosi tylko o wolność dla swojej misji, dla swojej pracy; nie ma innych warunków”. O. Spadaro doprecyzował („Porozumienie między Chinami a Stolicą Apostolską”, 2018), że porozumienie zosta-

■
W encyklice „Fratelli tutti” próżno szukać odniesień do wojny w Ukrainie rozpoczętej w 2014, nie ma też śladu refleksji nad losem 1,5 mln uchodźców z Krymu i okupowanej części Donbasu z lat 2014-16

ło „podpisane bez »protektorów«, a nawet w nieposłuszeństwie wobec tych, którzy chcieli, by Stolica Apostolska podlegała porządkom mocarstw zachodnich”.

Nic nie ma za darmo, szczególnie na Wschodzie. We „Fratelli tutti” papież napisał, że społeczne przebaczenie i pojednanie nie może oznaczać zapomnienia. Wymienił Shoah, bombardowania atomowe Hiroszimy i Nagasaki, prześladowania, handel niewolnikami i morderstwa na tle etnicznych. Pamięci – napisał z emfazą – po-

trzebują ofiary (osoby, grupy społeczne lub narody), „by nie ulec logice, która prowadzi do usprawiedliwiania represji i każdej przemocy w imię wielkiego, doświadczanego zła”.

W tej wycieczce ziele dziura po zbrodniach komunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej, Ukrainie, Rosji, Hiszpanii, Chinach, Kambodży i Wietnamie (lista jest dłuższa). Ogółem ponad 100 mln ofiar.

O. Spadaro ochoczo wyjaśnił przyczynę podobnego „zapomnienia” w przypadku Rosji. Za carów zwalczano liberalizm ideami mesjanistycznymi i uniwersalistycznymi, zaś ZSRR wykorzystywał ideologię komunistyczną. Ale Rosja współczesna nie posiada przekonujących idei „zdolnych do wspierania uniwersalnej misji rosyjskiego nacjonalizmu”. Czyli można z nią paktować i brać za sojusznika, bo misja rosyjskiego nacjonalizmu jest regionalna.

W warszawskim wystąpieniu prezydent Biden – katolik – stwierdził, że wojna w Ukrainie jest „kolejną bitwą długiej walki. Węgry 1956; Polska 1956 i ponownie 1981; Czechosłowacja w 1968”. Walka o demokrację nie zakończyła się wraz z zimną wojną, bo „siły autokracji odrodziły się na całym świecie. Jej znamiona są dobrze znane: pogarda dla rządów prawa, pogarda dla wolności demokratycznej, pogarda dla samej prawdy”.

Dodał, że NATO to sojusz obronny, który „nigdy nie dążył do upadku Rosji”. Przypomnił, ile wysiłku włożył dla uniknięcia wojny, natomiast Putin „wielokrotnie mówił, że wojska rosyjskie wzdłuż granicy są w celach szkoleniowych. Wszystkie 180 tys.”. Wojna – mówił – zagraża porządkowi międzynarodowemu, grożąc „powrotem do dziesięcioleci wojen, które pustoszyły Europę, zanim wprowadzono międzynarodowy porządek oparty na zasadach”.

Dla nas to oczywistość, że Putin rozpoczął wojnę w Ukrainie, żeby po jej pokonaniu ruszyć na podbój całej Europy i zniszczyć NATO. Kto nie uznaje tego faktu, ten staje po stronie wojny, a nie pokoju.

Artykuł Spadaro składa się z siedmiu części: „Imperium i wojna”, „Tron i ołtarz”, „Pietas i potestas” („Miłosierdzie i władza”), „Ekumenizm i nacjonalizm”, „Droga Krzyżowa”, „Papież i dyplomacja”, „Dominacja i negocjacje”. Sześć tytułów traktuje o władzy ziemskiej, sposobach jej sprawowania i stosunku do danego problemu Franciszka. Tylko jeden – o Drodze Krzyżowej – bezpośrednio odwołuje się do spraw wiary.

Autor podkreślił „ewangeliczny radykalizm”, „skandaliczność” i „provokacyjny” sposób komunikacji papieża. W 2014 r. nazwał on islamskich terrorystów „ubogimi zbrodniarzami, bo wróg – nawet terrorysta! – pozostaje »synem marnotrawnym«, a nigdy wcale nie diabła”. To właśnie w „skandaliczny” sposób chciał przekazać potrzebę pojednania pomiędzy Ukraińcami i Rosjanami podczas drogi krzyżowej w Kołoseum, a co wywołało falę oburzenia.

O diable i jego roli w dziejach warto poczytać u Kołakowskiego. Ci, którzy zachwycają się skandalami w wykonaniu Franciszka, winni pamiętać, że odwrotną stroną tej metody jest grzech zgorse-

FOT. REWATA DĄBROWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIERSE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki*

III.

wywiozłem z przemyskiego wszystkie papiery ale groby groby pozostawiłem na miejscu i to jest to co mogłem dla siebie uczynić

wynająłem samochód z Krowicy Hołodowskiej i wywiozłem część księgozbioru wraz z orzechową szafą (po co mi to było?) ale groby

groby pozostawiłem w otulinie drzew które mijaliśmy po drodze i to jest to co mogłem sobie zapewnić oprócz orzechowej szafy

IV.

obudziłem się w nocy i odkryłem prawdę której nie chciałem przyjąć moje miejsce jest

albo w polszczyźnie (niczym w kościółku) albo w transporcie czyli po stronie matki w bydlęcym wagonie lecz nie wiem

dokąd miałbym się wynosić podobno pan Czekalski to wie

***Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki** – poeta, urodził się w 1962 r. w Wólce Krowickiej koło Lubaczowa. Laureat Nagrody Literackiej „Nike” i Nagrody Literackiej „Gdynia” (obie 2009) za tom „Piosenka o zależnościach i uzależnieniach”. Mieszka w Warszawie, ale wychował się i dorastał w Przemyskiem, a także w Olsztyńskim, dokąd po akcji „Wisła” władze deportowały jego rodzinę.

Wiersze za wydawnictwem: „mich besuchen menschen die es heute nicht mehr gibt”, Preis der Stadt Münster für Internationale Poesie 2021/2022 an Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki (Lyrik) und Uljana Wolf und Michael Zgodzay (Übersetzung). Herausg. von Aurélie Maurin, Ulf Stolterfoht und dem Kulturamt der Stadt Münster, Daedalus Verlag, Münster 2022.



nia „maluczkich”. Bo na gruncie doktryny wiary nie zawsze odnajdują sens tego, co im się serwuje z Watykanu.

Jan Tombiński, były ambasador UE przy Stolicy Apostolskiej, powiedział w czasie dyskusji o watykańskiej Ostpolitik w Ukraińskim Uniwersytecie Katolickim we Lwowie (1 lipca), że w kurii rzymskiej pracuje wielu kompetentnych ludzi ze znajomością poszczególnych państw i regionów. „Ale gdy papież powiedział coś publicznie, to ci ludzie są zobowiązani do milczenia i przestrzegania wyznaczonej linii, a przynajmniej jej nie zaprzeczają. To w szczególności sposób odnosi się do obecnego pontyfikatu, bo za papieża Benedykta XVI czy św. Jana Pawła II czegoś podobnego nie było”.

Ten, który miał być symbolem uniżenia, bezinteresownej posługi i kolegalności w kierowaniu Kościołem, w istocie przypomina władcę absolutnego. A wyczuwający to dwór nie ustaje w śpiewaniu peanów o wyjątkowości zwierzchnika.

Patrząc ze swojej perspektywy, mają rację. Bergoglio niemal uwolnił Stolicę Apostolską „od dawnych sporów Starożytności przyszłości katolicyzmu decy-

duje się w Afryce, Azji oraz Ameryce Południowej i Łacińskiej. Widząc sekularyzację i demograficzne problemy Europy, Kościół dla wypełnienia misji zleconej mu przez Chrystusa („Idźcie i nauczajcie wszystkie narody”) jest po prostu zobowiązany apostołować tam, gdzie żyje większość ludzkości i trwa poszukiwanie sacrum, a nie ucieczka od niego.

Ale opuszczenie Europy przez Kościół (na razie intelektualne i mentalne) nie jest zabiegiem prostym, bo katolicyzm wyrósł w Europie, w wielkim stopniu ukształtował jej dzieje i ducha. I stąd ruszył na inne kontynenty. „Braterstwo wszystkich” nie jest opcją alternatywną dla tej tradycji, bo musiałoby oznaczać wykluczenie Starożytności z nowego uniwersalizmu kościelnego, zmianę doktryny, rezygnację ze sprzeciwiania się złu (poza złem społecznym) i pojednanie społeczne ufundowane na zapomnianiu o zbrodniach komunizmu, który w Azji nie zniknął, lecz jedynie się przepoczwarzył.

Ukraina swoją walką z rosyjskim imperializmem i kolonializmem pochwyciła Franciszka za skrawek sutanny. Dzięki temu może przystanąć i trochę pomyśleć. Czy z tego skorzysta? ●

Rok temu aresztowali Mackiewicza

PUTIN URODZIŁ SIĘ NA BIAŁORUSI

Obniż wymagania kulturowe ludzi, wciśnij im prostsze, prymitywne wzorce, a będziesz rządził wiecznie

Andriej Jegorow*

Białoruski filozof Władimir Mackiewicz już rok przebywa w więzieniu. Po wyroku pięciu lat nie skorzystał z możliwości odwołania. Jak twierdzi, wniesienie apelacji sugeruje wiarę w rzetelne sądownictwo, które na Białorusi nie istnieje.

Wymiar sprawiedliwości Łukaszenki oskarżył go o utworzenie organizacji ekstremistycznej, organizowanie masowych protestów i znieważenie prezydenta. Mackiewicz publicznie określił stosunek Moskwy do Łukaszenki, sięgając po formułę użytą przez Amerykanów w stosunku do nikaraguańskiego dyktatora Somozy: – Łukaszenka to sukinsyn, ale nasz sukinsyn.

Prokuratorzy i sędziowie uznali te słowa za obelgę. Absurdalność tego, że za użycie idiomatycznego wyrażenia na Białorusi grozi kara pozbawienia wolności, potęguje fakt, że jest ono prawdziwe. Mackiewicz został skazany za to, że po raz kolejny ujawnił niewygodną prawdę: „Zostałem skazany za swoją niezgodę, za swoje teksty”.

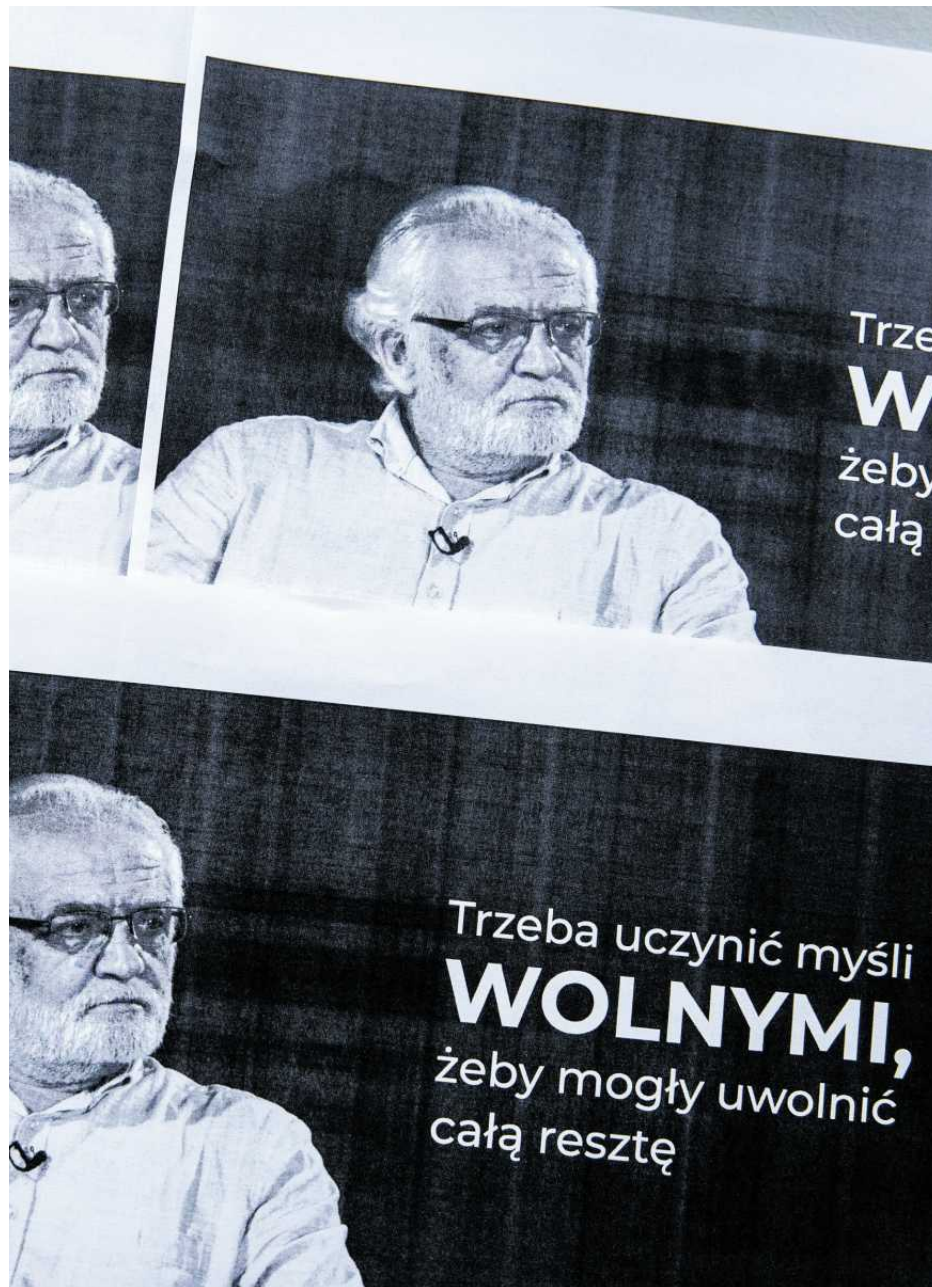
Sama postać Łukaszenki w zasadzie nie interesowała Mackiewicza; wypowiadał się o nim jako o kimś, kto reprezentuje system państwa. Bo nie sposób zrozumieć Białorusi bez zrozumienia jej systemu powiązań politycznych. Mackiewicz nazwał białoruski reżim pierwszym nowoczesnym autorytaryzmem europejskim.

Po tym gdy w 1995 r. Łukaszenka nakazał szturm na ostatni demokratyczny parlament Białorusi, Mackiewicz uznał, że reżim zaczął się przekształcać w faszystowski. Opinia spotkała się z zarzutem, że brak kary za tego typu komentarze świadczy, że nie jest to faszyzm. Teraz władze skorygowały ten logiczny paradoks.

Za sprawą Timothy’ego Snydera uczeni na całym świecie rozpoczęli debatę, czy reżim Putina w Rosji można nazwać faszystowskim. To ważna dyskusja, ale pomija się w niej aspekt związany z genezą putinizmu. A jego główne cechy powtarzają rozwój wcześniejszego białoruskiego autorytaryzmu.

Już w początkowej fazie kształtowania się reżimu białoruskiego Mackiewicz wskazywał na niebezpieczeństwo rozprzestrzenienia się tej zarazy na rozległych obszarach Rosji:

„Na Białorusi masową publiczność mają najbardziej reakcyjne siły Rosji. Ukrainie narzuca się »braterskie« więzi ze wspólnotą rosyjską. Zwycięstwo faszyzmu na Białorusi otwiera drogę dla rosyjskich faszystów. Tam nie będzie litości. Imperialny faszyzm mocarstwa zwiastuje tragedię na skalę światową. Każde zwycięstwo Łuka-



szkenki świętują faszyści z Rosji jako swoje własne” (1995).

Pogłębienie białoruskiego autorytaryzmu i niebezpieczeństwo jego rozprzestrzeniania się nie przyciągały większej uwagi nie tylko dlatego, że sama Białoruś była mało znaczącą w porównaniu z Rosją czy Ukrainą, ale także z powodu tendencji zachodnich intelektualistów, by przymykać oczy na sprawy Europy Wschodniej. Wszystko, co się tu działo, było postrzegane wyłącznie przez pryzmat relacji z Rosją i jej interesów.

Dopiero wojna w Ukrainie przyczyniła się do zwrócenia uwagi na państwa, które za sprawą losów historycznych zostały uwiecznione między Europą a Rosją. Tragizm sytuacji polega na tym, że my, mieszkańcy Europy Wschodniej, nieustannie ostrzegaliśmy nie tylko przed zagrożeniem ze strony imperialnej Rosji, ale także przed niebezpieczeństwem intelektualnej ślepoty wobec naszego regionu. Słowa Istvána Bibó, węgierskiego myśliciela politycznego, z połowy XX w. brzmią dziś proroczo:

„Przywykliśmy do myślenia w złudnych, uniwersalistycznych kategoriach, do założenia, że sprawy małej pod względem terytorium Europy Środkowej i Wschodniej są tylko jednym z wielu mniej lub bardziej

Kiedy Mackiewicz uznał, że białoruski reżim przekształca się w faszystowski, mówiono:
Nie, to nie faszyzm, skoro może tak mówić bezkarnie

ważnych problemów Wschodu czy Zachodu. To wielki błąd. Problemy Europy Środkowej i Wschodniej różnią się od wszystkich małych i dużych problemów Wschodu czy półkuli zachodniej jedynie tą błahostką, że w życiu jednego pokolenia wywołały już dwie wojny światowe. (...)

Region ten może być źródłem [nowej] wojny nie tylko dlatego, że sam ją zacznie, ale także dlatego, że może zostać zaatakowany. Europa Środkowo-Wschodnia, a ściśle Niemcy i państwa na wschód od Niemiec, mimo niewielkich rozmiarów są

• **Władimir (Uładzimir) Mackiewicz** – ur. w 1956 r., filozof białoruski. Od lat otwarcie krytykował władzę, angażował się w działalność edukacyjną, działał w demokratycznych partiach. 4 sierpnia 2021 zatrzymany przez KGB we własnym mieszkaniu, od tej pory uwięziony

FOT. MAREK M. BEREZOWSKI/REPORTER

największym zagrożeniem dla pokoju na świecie; jest to region największej anarchii, niepewności i braku równowagi”.

Bez względu na to, jak mała jest Białoruś, to właśnie ona stworzyła podstawę modelu, który został rozbudowany w Rosji. Cechy ewolucji modelu białoruskiego można łatwo dostrzec w ewolucji reżimu Putina. Żaden z nich nie opiera się na spójnej ideologii. Oba opierają się na etatyzmie i opanowaniu przez państwo wszystkich sfer życia publicznego. Oba konstruuje formalistyczny, scentralizowany łańcuch dowodzenia. Oba zyskują na obniżeniu poziomu kulturalnego i aspiracji ludności. Oba dążą do bierności społeczeństwa i pozbycia się osób, które chcą się samorealizować.

Dochodzą do tego karykaturalny kult jednostki, manipulacje wyborcze, tłumienie aktywności społeczeństwa. Nawet ostatnie zmiany w rosyjskiej konstytucji są ludożę podobne do tych, które miały miejsce na Białorusi 10-15 lat wcześniej.

Oczywiście ani rosyjski, ani białoruski reżim nie przypominają klasycznego włoskiego faszyzmu czy niemieckiego narodowego socjalizmu, jednak stanowią nowe wcielenie tego samego typu idealnego (w rozumieniu Maxa Webera). W „Korzeniach totalitaryzmu” Hannah Arendt przyrzala się wspólnym cechom modelu nazistowskiego i sowieckiego i skonstruowała koncepcję nowego typu idealnego – syste-

mu totalitarnego. Krytycy zarzucali jej, że opisany przez nią typ idealny pod niektórymi względami nie odpowiada rzeczywistości panującej w ZSRR, i wskazywali na zasadniczą różnicę między nazistowskimi Niemcami a ZSRR, tym samym negując pojęcie reżimów totalitarnych. Twierdzili, że „w ZSRR torturowano i zabijano ludzi w inny sposób i z innych powodów niż w III Rzeszy”.

Podobną krytykę można spotkać w odniesieniu do putinizmu. Pojawiają się głosy, że ustrój ten nie przejawia cech kla-

syicznego faszyzmu: kult jednostki wygląda inaczej, rasizm objawia się w nieklasyczny sposób...

Pojawia się jednak pytanie: skoro w Rosji nie ma faszyzmu, to dlaczego w Buczy doszło do masowych morderstw?

Jak powinniśmy nazwać ten współczesnie występujący reżim, jakie są zasady jego funkcjonowania?

Mackiewicz w ostatnich latach operował analogiami odnoszącymi się do „zorganizowanej grupy przestępczej, mafii”, która przejęła kontrolę nad aparatem państwowym. W przeciwieństwie do nowoczesnych społeczeństw, których wewnętrzna organizację regulują powszechnie uznawane zasady prawa i etyki, zorganizowane grupy przestępcze kierują się nie rozumem, lecz zachciankami, własną wolą i siłą. Można uznać ich funkcjonowanie za całkowite przeciwieństwo umowy społecznej i utworzonego na jej podstawie państwa.

W świecie grup przestępczych na czele stoją osoby „o długiej woli” (termin Lwa Gumilowa), które przy zaspokajaniu własnych pragnień nie uznają granic. Rosja atakowała Ukrainę, bo chciał tego Putin, wszystkie inne racjonalne przesłanki miały drugorzędne znaczenie. W momencie przejęcia władzy przez organizację przestępcze w państwie dochodzi do zniszczenia obowiązującego ładu. „Domyślny system prawny” na Białorusi i w Rosji nie stanowi odstępstwa od normy – jest normą w reżimach tego typu.

Reżimy Łukaszenki i Putina nie powinny być postrzegane jako kopie archaicznych form dyktatur; są bardzo zaawansowane pod względem technologicznym. Nowe technologie umożliwiają im manipulacje wyborcze, kontrolę przekazów, wykorzystanie do uzyskania poparcia fragmentacji masowej świadomości w dobie mediów społecznościowych. Można nadać temu nazwę „soft-faszyzmu”, który wykorzystuje możliwości technologiczne i wprowadza stosunkowo łagodne praktyki represyjne.

Niezależnie od tego, jak nazwiemy ten reżim, rozprzestrzenia się on niczym zaraza. Mackiewicz ostrzegał przed groźbą nowego, nowoczesnego autorytaryzmu szerzącego się nie tylko w naszym regionie, ale i na całym świecie. Cechy „modelu białoruskiego” można dostrzec w ruchach politycznych w krajach Unii i nie tylko. Niewątpliwie trend „silnego lidera u władzy” pojawił się dzięki Putinowi, a nie Łukaszence, jednak niewiele to zmienia.

Należy pamiętać, że źródło zarazy nie tkwi w Rosji, dlatego zwycięstwo nad reżimem rosyjskim to nie wszystko. Nowy model faszyzmu rozprzestrzenia się przede wszystkim przez stan świadomości intelektualistów. To właśnie za sprawą rosyjskich uczonych dostrzeżono w białoruskim modelu władzy wiele cech, które następnie wykorzystano przy zaprowadzaniu nowego systemu w Rosji, podsycając przy tym imperialistyczne dążenie do ekspansji.

Mackiewicz patrzy na konflikt geopolityczny w naszym regionie przez pryzmat zderzenia postaw proimperialnej i antyimperialnej. Zwolennicy tej pierwszej, których ze względu na analogię do średniowiecza nazwał gibelinami, postrzegają imperium jako wartość samą w sobie. Stanowi ona metafizyczną podstawę ich światopoglądu:

„Według gibelinów obszerna ekumena [obszar zamieszkaný] to zagrożenie dla ich małego świata. Z kolei ich mały świat również nie jest bezpieczny ze względu na »otoczenie ze wszystkich stron przez wroga«. Nie istnieją żadne uniwersalne prawa, zasady czy normy, nad światem panuje prawo ustanowione przez wspólnotę, która ma największą siłę. Ideальnym rozwiązaniem, zdaniem gibelinów, jest imperium jako najwyższa forma wspólnoty – zreszta ona liczną społeczność, która funkcjonuje według tych samych imperialnych praw,

zasad i norm, dzięki czemu staje się zdolna do przeciwstawienia się wrogiemu światu. Gibelini mają przyjaciół, jednak cała reszta to wrogowie. Kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam”.

Zwolennicy postawy antyimperialnej, „gwelfowie, postrzegają rozległy, ekumeniczny świat równie przyjaźnie, co swój własny. Uważają, że żyją / powinni żyć według tych samych uniwersalnych praw, zasad i norm. Idealem dla gwelfów jest świat składający się z małych społeczności – każda z nich sama o sobie decyduje i żyje po swojemu, jednak pozwala także żyć innym. Połączenia społeczności mogą zachodzić jedynie w momencie potrzeby pokonania wspólnego wroga lub zła”.

Problem polega na tym, że sprzeczności między tymi światopoglądami sprawiają, że „nie istnieje konwencjonalny sposób sugerujący rozwiązanie kwestii dotyczącej ich współistnienia w tej samej sytuacji społeczno-kulturowej”. Świat gwelfów przewiduje miejsce także dla gibelinów, jednak świat gibelinów nie przewiduje go dla gwelfów.

Obecna wojna obejmuje nie tylko działania w przestrzeni fizycznej; jest to także wojna o mentalność. Mackiewicz postrzegał ten rodzaj wojny jako fundamentalny:

„W przypadku wojny o mentalność wszystkie wysiłki są skierowane przede wszystkim na zniszczenie obrazu świata. Obrazu świata nie da się zniszczyć z zewnątrz, człowiek nabywa go w procesie życia i wychowania, staje się on częścią jego świadomości. Wszystkie zdolności umysłowe i twórcze człowieka podtrzymują stabilny obraz świata. Złożoność tego obrazu zwiększa znaczenie myślenia, zarówno teoretycznego, jak i krytycznego, w jego konstruowaniu i utrzymywaniu”.

Ewolucja reżimów na Białorusi i w Rosji opierała się na wojnie mentalnej, która na początku była skierowana przeciwko mieszkańcom tych państw. W Rosji doprowadzono do masowej produkcji świadomości otwartej na dominację i alternatywny obraz rzeczywistości. Jedno z posunięć technologicznych w tym procesie zmierzało do obniżenia wymagań kulturowych ludności, określone przez Mackiewiczą jako „gra w zaniżenie”. Polegała ona na przekierowaniu orientacji na mniej złożone, prostsze i prymitywne wzorce kulturowe we wszystkich sferach życia społecznego.

Ta strategia dobrze wpisywała się w światowe trendy upowszechniania się eklektyzmu, teorii spiskowych, niszczenia holistycznych form światopoglądowych i braku zaufania do ekspertów. Nie powinno zatem dziwić, że osoby podzielające teorie spiskowe na temat pandemii wykazują tendencję do wspierania narracji rosyjskiej propagandy.

„Należy zniszczyć Moskwę”, pisze Mackiewicz. Nie ma na myśli fizycznego zburzenia miasta, tylko zatrzymanie rozwoju określonej postawy moralnej: „Należy zniszczyć ośrodek »imperium zła«, dążącego do rozszerzenia swoich wpływów i suwerenności na całą półkulę, którą, ze względu na swoje wyobrażenie o porządku świata, uważa za swoją. Zniszczenie Moskwy pod tym względem oznacza zniszczenie irracjonalnej koncepcji świata, w której biegunami są Wschód i Zachód; zniszczenie światopoglądu współczesnych gibelinów”.

Wojna w Ukrainie to przykład wojny przeciwko masowemu irracjonalizmowi, przeciwko światopoglądowi, który stwarza i podtrzymuje reżimy Łukaszenki i Putina.

To wojna kulturowa, której nie da się wygrać za pomocą ciężkiej artylerii. Musimy walczyć także na drugim froncie – froncie kulturowym! ●

przeł. Aleksandra Zielinko

***Andriej Jegorow** – białoruski politolog, uczeń Władimira Mackiewicza

BORN IN THE USA

Byłem dumny z Sierżanta Rzeźnika

Kto zrozumie wrestling, ten zrozumie amerykańską politykę.

Maciej Jarkowicz

Moja ciocia Frania z Baltimore uwielbiała wolnoamerykankę. Gdy mieszkaliśmy u niej na początku lat 80., mały telewizor w kuchni był zawsze włączony, a na ekranie poprzebierani jak cyrkowcy zapaśnicy bez przerwy rzucali się po ringu. Największym idolem cioci był Hulk Hogan, potężnie zbudowany, w żółtych slipach, z białym wąsem i czerwoną opaską na czole, najwspanialszy gwiazdor wrestlingu. Personifikacja zwykłego Amerykanina z przedmieść, który staje do walki ze złem.

Za sukcesem Hogana stał niejaki Vince McMahon. To on zamienił wolnoamerykankę w dochodowy interes, z niszowego sportu wyniósł do rangi jednej z ulubionych rozrywek Ameryki. Przed McMahonem przez dekady zawody odbywały się w niewielkich salach, zapaśnicy ubrani byli w zwykłe sportowe stroje, ich popularność ograniczała się do regionu, w którym działała ich firma promocyjna. Jednym z wyjątków był Gorgeous (Sliczny) George. Już w latach 50. zdobył ogólnokrajową sławę, bo wstępował na ring w tunice, strusich piórach, a jego wejście poprzedzał służący, który wykladał dywanik i spryskiwał deski perfumami.

McMahon poszedł tym tropem. Gdy w latach 70. przejął od ojca niewielką firmę promocyjną, zaczął wykupywać konkurentów z innych części kraju. Jednocześnie postawił na rozrywkowy aspekt wrestlingu kosztem sportowego. Zatrudnił scenarzystów i reżyserów, wszedł z kamerami za kulisy, zamienił zapaśników w postaci z bajki, podzielił ich na dobrych (zwanych faces) i złych (heels). Walki stały się punktami kulminacyjnymi wielowątkowej opowieści o rywalizacji dobrych ze złymi, jaka toczyła się też poza ringiem, niczym serial. Finałem każdego sezonu została doroczna WrestleMania transmitowana w systemie pay-per-view. Wkrótce oglądały ją dziesiątki milionów, a na stadiony, gdzie się odbywała, przychodziło po sto tysięcy ludzi.

Dziś 76-letni McMahon odchodzi w niesławie. Wprawdzie dobrowolnie zrezygnował w ubiegłym tygodniu z szefowania WWE (World Wrestling Entertainment), organizacji, którą stworzył, ale tak naprawdę wyrzuca go kulturowe tsunami pod nazwą MeToo. Kilka kobiet oskarża go o molestowanie. Agencje rządowe sprawdzają, czy milionowe ugody, jakie zawierał w ostatnich latach, żeby wyciszać skandale i oskarżenia, były legalne. Na światło dzienne wychodzą zadawnione historie: już w 1992 r. Rita Chatterton, pierwsza kobieta sędzia w WWE, twierdziła, że McMahon ją zgwałcił. Mało kto chciał jej wtedy słuchać.

Gdy miałem siedem lat, ojciec i ciocia Frania zabrali mnie na zawody. Arena była wielka, wypełniona ludźmi, wyciemniona. Oświetlony ring na środku wyglądał jak z baśni. Siedzieliśmy blisko akcji, widziałem liny, przechodzących między nimi zapaśników, słyszałem mlask ciosów i wrzask widzów. W finałowej walce Sgt. Slaughter – Sierżant Rzeźnik mierzył się z Iron Sheikiem – Żelaznym Szejkem. Pierwszy był dobry: ubrany w wojskowy mundur oklejony barwami USA. Drugi – zły, znieawidzony Irańczyk w nawoskowanym, zakręconym do góry wąsie

i złotych butach z ostrymi czubami. Ring otoczony został wysoką siatką. W walkach w klatce wygrywał ten, kto objął przeciwnika i zdołał uciec – przez furtkę albo górą, wspinając się po stalowych drutach. Bijatyka była długa. Tłum na arenie wrzał i wyl. W najbardziej dramatycznym momencie Szejk zdjął złotego buta i lał nim Sierżanta po głowie. Trysnęła krew.

Ale na końcu dobro wygrało ze złem: Sierżant zmiażdżył Szejka. Wracaliśmy do domu miejskim autobusem napchanym kibicami. Byłem dumny z Ameryki i z Sierżanta Rzeźnika, czułem, że należę do potężnej armii. Jak miliony amerykańskich dzieciaków myślałem wtedy, że wolnoamerykanka jest na serio.

W tamtym czasie – był rok 1984 – McMahon prowadził podwójną strategię. Zamieniając wrestling coraz bardziej w teatr, jednocześnie zapewniał, że walki nie są reżyserowane. Gdy znany dziennikarz John Stossel podjął się udowodnienia, że to wszystko ściema, McMahon nasłał na niego jednego z zapaśników. W czasie wywiadu Stossel dociskał potężnego Dr. D(eath), Doktora Śmierć, aby przyznał, że walki są na niby. Ten odpowiedział, powalając Stossela na ziemię ciosem z otwartej ręki. „Jak to na niby?!” – wrzeszczał, poprawiając drugą dłoń. Ponoć to McMahon wszystko ukartował. Po zdarzeniu Doktora wysłano na tournée do Japonii, a Stossel dostał pół miliona dolarów w ramach ugody.

Jednak w 1989 r. szef WWE przyznał, że wrestling nie jest sportem. Zrobił to z powodów biznesowych – teatr obejmują łagodniejsze regulacje i mniejsze podatki. Dziś, w epoce mediów społecznościowych, przedstawienie trwa całą dobę i jest interaktywne. Fani wypowiadający się na portalach współkształtują opowieści. Scenarzyści słuchają ich uważnie. Publiczność ma moc, by doprowadzić bohaterów do chwały albo strącić ich ze szczytu.

W XXI wieku McMahon sam zamienił się w jedną z postaci. Został demonicznym Miliarderem. W sezonie 2006-07 prowadził wojnę z innym, dobrym Miliarderem, deweloperem i gwiazdorem telewizyjnym Donaldem Trumpem. W finale WrestleManii Trump stłukł McMahona, a później ogolił mu głowę.

Polityka jest jak wrestling, szczególnie amerykańska. Teatralna rozrywka, która przynosi stacjom telewizyjnym krociowe zyski. Politycy jak zapaśnicy mają menedżerów wymyślających ich wizerunek. Muszą umieć przemawiać do milionów, promować swoją opowieść. Jeśli nie spodobają się publiczności, zostaną wybuchani. Różnica jest taka, że zapaśnicy nie zarządzają największym mocarstwem na planecie.

Tamtęj nocy w 2007 r. zły McMahon wyzywał widownię od idiotów, a dobry Trump krzyczał, jaka jest wspaniała i mądra. Dziś, kiedy McMahon tonie, Trump – na którym ciąży więcej oskarżeń o molestowanie – pozostaje mesjaszem prawicowej Ameryki.

Kluczowym dla wrestlingu słowem jest „kayfabe”. Oznacza nieprzerwane granie przez gwiazdorów przypisanej im roli, tak aby publiczność wierzyła, że nie są zwykłymi ludźmi, tylko bohaterami z baśni. Trump trwa, bo nikt tak dobrze jak on nie rozumie, czym jest kayfabe. ●

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka”. Książka Macieja Jarkowca dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl

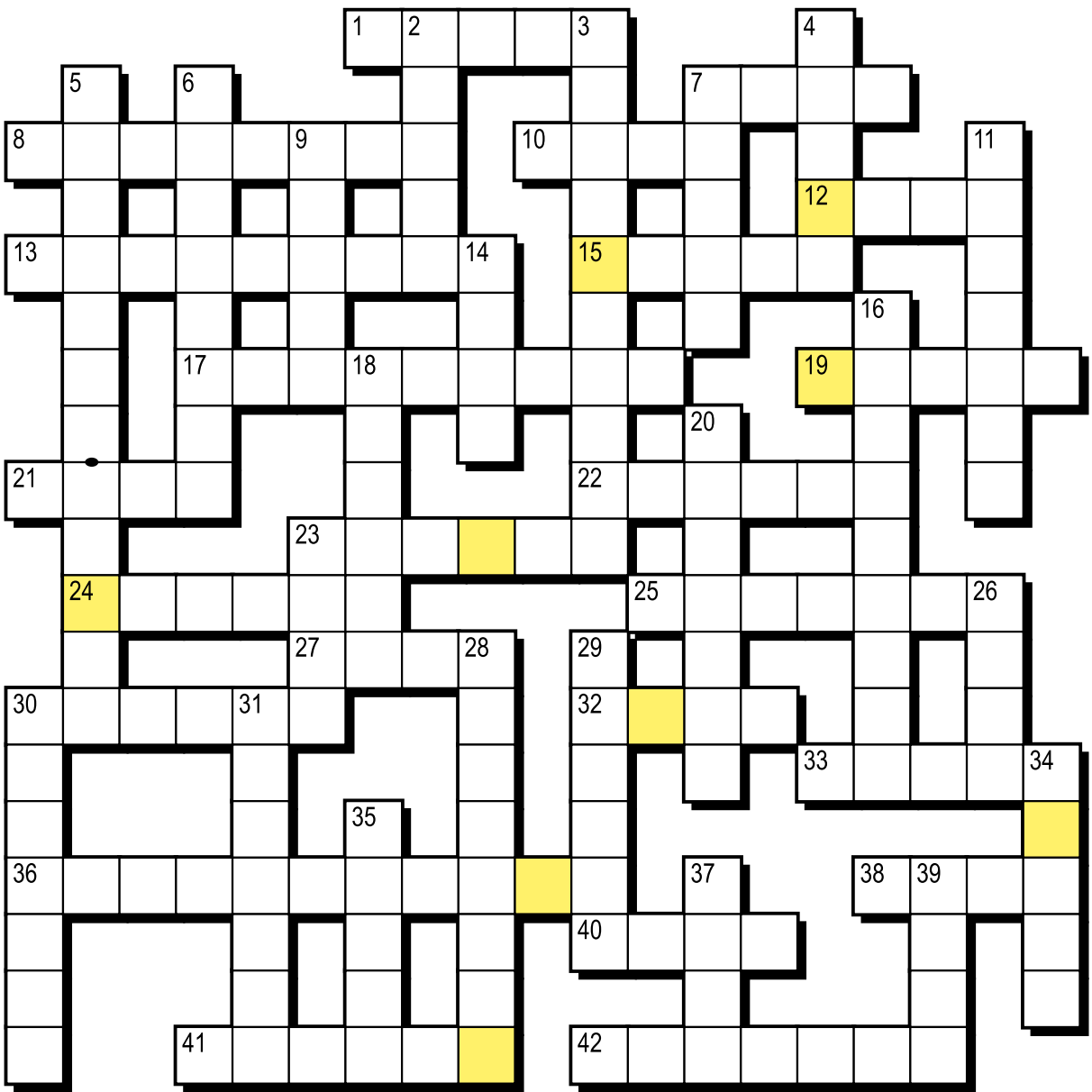




P przed tygodniem sprawdziliśmy Waszą wiedzę o zespole Depeche Mode z okazji rocznicy pierwszego koncertu brytyjskiej grupy w Polsce. Daliście, rzecz jasna, radę – kto jak nie Wy?! – o czym świadczą wiadomości, jakie od Was dostaję, ale fakt, temat „Weekendówki” był dość hermetyczny. Dlatego teraz robimy zwrot o 180 stopni i wypływamy na wody znane niemal wszystkim, bo od dawna wiadomo, że każdy Polak zna się na polityce i piłce nożnej. A zatem pora, by na scenie zagościła ta pierwsza z narodowych namiętności. 6 sierpnia 2010 roku to data zaprzysiężenia na urząd prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego, który w II turze wyborów okazał się lepszy od Jarosława Kaczyńskiego (w sumie w wyborach wystartowało 10 kandydatów). Tego dnia kandydat Platformy Obywatelskiej złożył przysięgę przed Zgromadzeniem Narodowym. W 2015 i 2020 roku 6 sierpnia był z kolei dniem zaprzysiężenia obecnego prezydenta Andrzeja Dudy, który przed siedmioma laty zwyciężył w wyborach, a przed dwoma laty został ponownie wybrany na urząd prezydenta RP, w drugiej turze zwyciężając najpierw Komorowskiego, a w 2020 roku Rafała Trzaskowskiego. Nie mogło być więc innego tematu „Weekendówki” – tylko prezydencka. Rocznicą dotyczy dwóch ostatnich prezydentów RP, ale oczywiście pytania nie ograniczą się li tylko do Bronisława Komorowskiego i Andrzeja Dudy. „Weekendówka” wsiądzie w wehikuł czasu i przeniesie się do dwudziestolecia międzywojennego, popyta o prezydenckie żony, sprawdzi też znajomość hobby głów naszego państwa. Przy układaniu pytań do krzyżówki poprosiliśmy o pomoc Romana Imielskiego, szefa działu krajowego „Gazety Wyborczej”, człowieka, który obcuje z polityką na co dzień, a bywa, że i od święta. A Wy pamiętacie prezydenckie przysięgi z 6 sierpnia? ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 12 z 30.07:
MUZYKA DLA MAS



PREZYDENCI

Hasła Romana Imielskiego oznaczono inicjałami (RI). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rządami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** nagrał piosenkę z refrenem: „Wałęsa! Dawaj moje sto milionów!”
- 7)** potężna broń w ręku prezydenta (RI)
- 8)** prezydenta RP – pięcioletnia
- 10)** imię żony prezydenta z określenia 13 poziomo
- 12)** powoływany przez prezydenta RP
- 13)** imię prezydenta RP w latach 2010-15
- 15)** prezydent ... (wybrany, ale jeszcze przed zaprzysiężeniem)

- 17)** imię Raczkiewicza, prezydenta RP na uchodźstwie w latach 1939-47
- 19)** kierunek studiów ukończony przez prezydentów z określeń 23 pionowo i 37 pionowo
- 21)** ... Demokratyczna z Tadeuszem Mazowieckim i Bronisławem Gremkiem (RI)
- 22)** imię Mościckiego, prezydenta RP w latach 1926-39
- 23)** imię żony 30 poziomo
- 24)** Bolesław, prezydent w latach 1947-52
- 25)** stoi na czele Rady Ministrów
- 27)** pierwsza ..., żona głowy państwa
- 30)** był przewodniczącym „Solidarności”, został prezydentem (RI)
- 32)** zdrobniła forma imienia prezydenta RP w latach 1995-2005

- 33)** ... Prezydencki w Warszawie, na Krakowskim Przedmieściu (RI)
- 36)** Ryszard, w latach 1989-90 prezydent RP na uchodźstwie
- 38)** pierwsza lub druga ... wyborów prezydenckich
- 40)** ... Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, mianowany przez prezydenta RP
- 41)** Prezydent.pl, oficjalna ... internetowa
- 42)** towarzyszy prezydentowi w podróżach, spotkaniach
- Pionowo:**
- 2)** imię żony 23 pionowo
- 3)** ... Prezydenta RP (organ pomocniczy)
- 4)** zgłoszenie swej kandydatury w wyborach

- 5)** dostał ją w 1983 r. Lech Wałęsa, a odebrała jego żona (RI)
- 6)** kabaret znany ze skeczu o spotkaniu Komorowskiego z Obamą
- 7)** miejsce pochówku Lecha Kaczyńskiego
- 9)** ... wyborcza, obowiązuje w przeddzień głosowania
- 11)** „... wasze w gardło nasze!”, toast Lecha Wałęsy
- 14)** nosił je Lech Wałęsa, a także Bronisław Komorowski, ale tylko do pewnego czasu
- 16)** składana wobec Zgromadzenia Narodowego przez nowo wybranego prezydenta
- 18)** ... prezydencka, spotkanie kandydatów w czasie kampanii wyborczej
- 20)** imię 23 pionowo

- 23)** w 2020 r. pokonał Rafała Trzaskowskiego
- 26)** ... Gabinetowa, zwoływana przez prezydenta RP
- 28)** placówka dyplomatyczna, na którą posyła prezydent (RI)
- 29)** ustawa czeka na ... prezydenta
- 30)** Andrzej Duda – narciarz, Lech Wałęsa – ?
- 31)** kiedyś tupolew, dziś boeing do dyspozycji prezydenta (RI)
- 34)** ... doradczce prezydenta RP, np. Rada Bezpieczeństwa Narodowego
- 35)** ... Rzeczypospolitej Polskiej, widnieje m.in. na pieczęci prezydenta RP
- 37)** imię prezydenta, który zginął w katastrofie smoleńskiej
- 39)** na głosy wyborców

Byle do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play